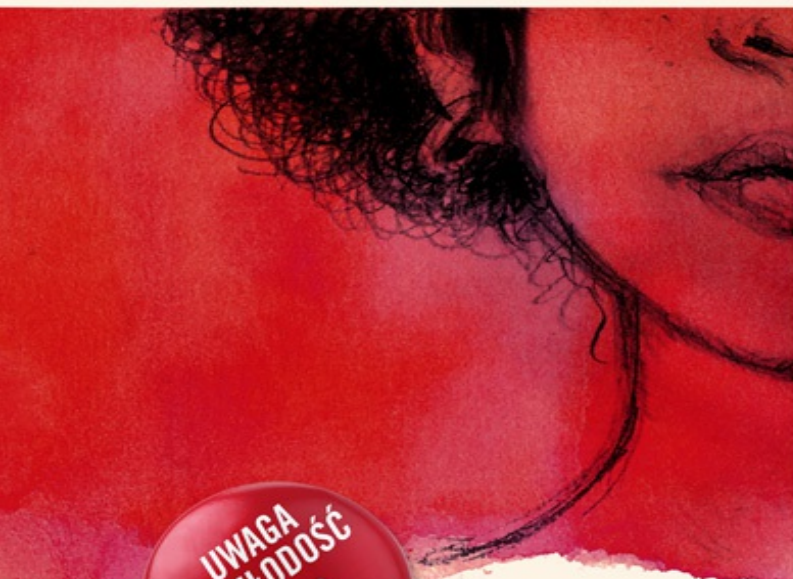


KAŻDEGO DNIA W INNYM CIELE I W INNYM ŻYCIU
KAŻDEGO DNIA ZAKOCHANY W TEJ SAMEJ DZIEWCZYNIE



DAVID LEVITHAN

Każdego dnia

W
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

DAVID LEVITHAN

Każdego dnia

Przełożyła z angielskiego
Donata Olejnik



WROCLAW 2015

Tytuł oryginału
Every Day

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Redakcja
URSZULA ŚMIETANA

Korekta
ANNA BROCKOWSKA-NGUYEN

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM

Text copyright © 2012 by David Levithan

Polish edition © Publicat S.A. MMXV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved.



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-271-5321-0

Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

[Dedykacja](#)

[Dzień 5994](#)

[Dzień 5995](#)

[Dzień 5996](#)

[Dzień 5997](#)

[Dzień 5998](#)

[Dzień 5999](#)

[Dzień 6000](#)

[Dzień 6001](#)

[Dzień 6002](#)

[Dzień 6003](#)

[Dzień 6004](#)

[Dzień 6005](#)

[Dzień 6006](#)

[Dzień 6007](#)

[Dzień 6008](#)

[Dzień 6009](#)

[Dzień 6010](#)

[Dzień 6011](#)

[Dzień 6012](#)

[Dzień 6013](#)

[Dzień 6014](#)

[Dzień 6015](#)

[Dzień 6016](#)

[Dzień 6017](#)

[Dzień 6018](#)

[Dzień 6019](#)

[Dzień 6020](#)

[Dzień 6021](#)

[Dzień 6022](#)

[Dzień 6023](#)

[Dzień 6024](#)

[Dzień 6025](#)

[Dzień 6026](#)

[Dzień 6027](#)

[Dzień 6028](#)

[Dzień 6029](#)

[Dzień 6030](#)

[Dzień 6031](#)

[Dzień 6032](#)

[Dzień 6033](#)

[Dzień 6034](#)

[Przypisy](#)

Dla Paige
Oby szczęście odnalazło Cię każdego dnia

DZIEŃ 5994

Budzę się.

Natychmiast muszę zorientować się, kim jestem. I nie chodzi tylko o ciało – otwarcie oczu, przekonanie się, czy skóra na rękach jest jasna czy ciemna, czy mam długie czy krótkie włosy, grubą czy chudą sylwetkę, jestem chłopakiem czy dziewczyną, mam ciało gładkie czy pokryte bliznami. Do ciała najłatwiej się przystosować, jeśli tylko jest się przyzwyczajonym do tego, że codziennie jest inne. Najtrudniej opanować życie, kontekst, w którym to ciało się znajduje.

Codziennie jestem kimś innym. Pozostaję sobą – wiem o tym – a jednocześnie jestem innym człowiekiem.

Zawsze tak było.



Wszystkie informacje już na mnie czekają. Budzę się, otwieram oczy, dociera do mnie, że jest nowy dzień i znajduję się w nowym miejscu. Klik, i wiem wszystko – to taki mały podarunek na dzień dobry od niezupełnie mojego umysłu. Dzisiaj mam na imię Justin. Nie wiedzieć czemu, zdaję sobie sprawę z tego, kim jestem, a jednocześnie dobrze wiem, że wcale nie jestem Justinem, tylko pożyczam sobie jeden dzień z jego życia. Rozglądam się. To jego pokój. Jego dom. Za siedem minut zadzwoni budzik.

Nigdy nie byłem dwa razy tą samą osobą, jednak zdarzało mi się wcielać w kogoś podobnego. Wszędzie rozrzucone ubrania. O wiele więcej gier komputerowych niż książek. Śpi w bokserkach. Niesmak w ustach podpowiada mi, że sporo pali, ale nie jest aż tak uzależniony, by sięgać po papierosa natychmiast po obudzeniu się.

– Cześć, Justin – mówię. Sprawdzam brzmienie głosu.

Jest niski. W głowie zawsze wydaje się inny.

Justin nie dba o siebie. Swędzi go głowa. Powieki ciężą. Nie wyspał się.

Już wiem, że to nie będzie dobry dzień.



Trudno jest przebywać w ciele osoby, której się nie lubi, ponieważ tak czy inaczej trzeba ją szanować. W przeszłości zniszczyłem życie wielu ludziom. Przekonałem się, że każde wspomnienie o tym długo mnie prześladowuje. Staram się więc zachowywać ostrożność.

Zorientowałem się, że zawsze zamieszkuję ciało rówieśnika. Nie przeskakuję z szesnastu

lat na sześćdziesiąt. W tej chwili to zawsze jest szesnaście. Nie mam pojęcia, jak to działa – i dlaczego właśnie tak. Już dawno przestałem się nad tym zastanawiać. Nigdy do tego nie dojdę, tak samo jak zwykły człowiek nigdy nie rozpracuje sensu swojego istnienia. Po jakimś czasie trzeba po prostu pogodzić się z tym, że się jest. Nie wiadomo, dlaczego. Można snuć rozmaite teorie, ale i tak nie znajdzie się żadnych dowodów.

Mam dostęp do faktów, lecz nie do uczuć. Wiem, że to pokój Justina, jednak nie wiem, czy go lubi. Może ma ochotę zabić śpiących za ścianą rodziców? A może, gdyby nie mama, która przychodzi, by upewnić się, czy wstał, nie byłby w stanie funkcjonować? Nie mam pojęcia. Zupełnie jak gdyby moje prawdziwe „ja” zastępowała osobowość człowieka, którym staję się danego dnia. I chociaż cieszę się, że myślę nadal po swojemu, to jednak od czasu do czasu przydałaby mi się jakaś wskazówka co do przekonań tej drugiej osoby. Wszyscy nosimy w sobie tajemnice, co dobrze widać zwłaszcza od środka.

Dzwoni budzik. Sięgam po koszulę i spodnie, jednak coś mi mówi, że tę koszulę miał na sobie poprzedniego dnia. Wybieram więc inną. Zanoszę ubrania do łazienki, biorę prysznic i ubieram się. Jego rodzice są teraz w kuchni. Nie mają pojęcia, że coś się zmieniło. Mam za sobą szesnaście lat praktyki. Zwykle nie popełniam błędów. Już nie.



Bez trudu rozszyfrowuję sytuację: zazwyczaj rano Justin niezbyt chętnie rozmawia z rodzicami, więc i ja nie muszę tego robić. Nauczyłem się wyczuwać oczekiwania innych – albo ich brak. Wpycham w siebie płatki, zostawiam brudną miseczkę w zlewie, chwytam kluczyki i wychodzę.

Wczoraj byłem dziewczyną w mieście oddalonym o jakieś dwie godziny drogi stąd. Przedwczoraj – chłopakiem mieszkającym trzy godziny drogi od niej. Już zaczynają mi się zamazywać szczegóły. Zapominam o nich, w przeciwnym razie nie mógłbym pamiętać, kim naprawdę jestem.

Justin słucha głośnej okropnej muzyki z głośnej okropnej stacji, na której głośny i okropny didżej przez cały poranek głośno i okropnie żartuje. Ta skromna wiedza o Justinie w zupełności mi wystarcza. Sięgam do jego pamięci, by znaleźć drogę do szkoły, miejsce, w którym zwykle parkuje, i należącą do niego szkolną szafkę. Szyfr do jej otwarcia. Imiona kumpli.

Czasami nie jestem w stanie zmusić się do tego wszystkiego: pójścia do szkoły, akrobacji, by przetrwać dzień. Mówię wtedy, że jestem chory, zostaję w łóżku i czytam książki. Ale po jakimś czasie staje się to dość męczące, a wtedy znów znajduję siły, by stanąć przed nowym wyzwaniem. Nową szkołą, nowymi przyjaciółmi. Na jeden dzień.

Wyciągam podręczniki z szafki Justina i czuję, że ktoś za mną stoi. Odwracam się i dostrzegam dziewczynę. Z jej twarzy można czytać jak z otwartej książki, wszystkie te emocje – ostrożność i nadzieja, zdenerwowanie i uwielbienie. Nie muszę uciekać się do wspomnień Justina, by wiedzieć, że to jego dziewczyna. Nikt inny nie reagowałby w ten

sposób, nie czułby się tak niepewnie w jego obecności. Jest ładna, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Ukrywa się za włosami, jest uszczęśliwiona moim widokiem, a jednocześnie nieszczęśliwa w mojej obecności.

Ma na imię Rhiannon. Przez chwilę – przez ułamek sekundy – myślę, że tak, to imię do niej pasuje. Nie wiem, dlaczego, nie znam jej przecież. Ale jest właściwe. Ponieważ to nie myśl Justina, tylko moja, więc staram się ją zignorować. To nie ze mną Rhiannon chce rozmawiać.

– Hej – mówię niedbałym tonem.

– Hej – szepcze w odpowiedzi.

Patrzy w dół, na swoje zamalowane konwersy. Narysowała na nich kontur miasta, znad podeszwy wychodzą zarysy wieżowców. Coś się zdarzyło między nią a Justinem, a ja nie wiem, co. Pewnie Justin nawet tego nie zauważył.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Na jej twarzy maluje się zaskoczenie, chociaż próbuje je ukryć. Justin nie zadaje zwykle takich pytań. A najdziwniejsze, że ja naprawdę chcę znać odpowiedź. Tym bardziej że jego wcale by ona nie obchodziła.

– Pewnie – odpowiada, chociaż w jej głosie nie ma pewności.

Trudno mi na nią patrzeć. Z doświadczenia wiem, że każda dziewczyna kryje w sobie jakąś prawdę. Ona swoją chowa, ale jednocześnie chciałaby, bym ją zobaczył. To znaczy, by zobaczył ją Justin. Jej prawda czai się pod powierzchnią, tuż poza moim zasięgiem. To dźwięk, który czeka, aż stanie się słowem.

Tak zatraciła się w swoim smutku, że nie ma pojęcia, jak bardzo jest widoczny. Chyba ją rozumiem – a przynajmniej przez chwilę tak mi się wydaje – ale potem zaskakuje mnie przelotnym przejawem determinacji. Odwagi nawet. Unosi wzrok, spogląda mi prosto w oczy i pyta:

– Jesteś na mnie zły?

Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałbym się na nią złościć. Jestem natomiast wściekły na Justina za to, że przez niego ona czuje się taka bezwartościowa. Zdradza to mowa jej ciała: w jego obecności dosłownie się kurczy.

– Nie – odpowiadam. – Wcale nie jestem na ciebie zły.

Mówię jej to, co chciałaby usłyszeć, ale ona nie daje temu wiary. Karmię ją właściwymi słowami, jednak dziewczyna podejrzewa, że w każdym tkwi jakiś haczyk.

To nie mój problem. Jestem tu tylko na jeden dzień, nie mogę rozwiązywać czyichś kłopotów miłosnych. Nie powinienem zmieniać życia innych ludzi.

Odwracam się, wyciągam książki i zamykam szafkę. Dziewczyna stoi w tym samym miejscu, jakby głęboka i rozpaczliwa samotność płynąca z nieudanego związku nie pozwalała jej się ruszyć.

– Nadal masz ochotę na wspólny lunch? – pyta.

Jakże łatwo byłoby mi odmówić. Często tak robię: gdy czuję, że ktoś próbuje mnie wciągnąć do swojego życia, uciekam w przeciwnym kierunku.

Ona jednak ma coś w sobie – ten zarys miasta na trampkach, przebłysk odwagi, niepotrzebny smutek – coś, co sprawia, że chcę się przekonać, w jakie słowo przeobrazi się jej ukryta prawda. Przez długie lata spotykałem się z ludźmi, zupełnie ich nie znając, tym razem w obecności tej dziewczyny czuję delikatne pragnienie, by zacząć poznawać. Nie wiem, czy to chwila słabości, czy odwagi, ale postanawiam spełnić to pragnienie. Dowiedzieć się czegoś więcej.

– Oczywiście – odpowiadam. – Wielką ochotę...

I znów z łatwością odczytuję jej reakcję: wykazałem się zbyt wielkim entuzjazmem. Justin nigdy tego nie robi.

– Ale nie żeby mi jakoś bardzo zależało – dodaję.

Widzę w jej oczach ulgę. To znaczy tyle, ile jest skłonna pokazać, czyli raczej cień ostrożnej ulgi. Zaglądam do wspomnień Justina i wiem, że są razem od ponad roku. Mniej więcej, bo Justin nie pamięta dokładnej daty.

Dziewczyna chwyta mnie za rękę. Jestem zaskoczony, że to takie miłe.

– Cieszę się, że się na mnie nie gniewasz – mówi. – Chciałabym tylko, żeby wszystko grało.

Kiwam głową. Jednego się dotąd nauczyłem: każdy człowiek chce, żeby wszystko grało. Nie marzymy o niczym fantastycznym, cudownym ani wyjątkowym. Z radością godzimy się na to, że wszystko gra, bo tyle nam zwykle w zupełności wystarcza.

Dzwoni pierwszy dzwonek.

– Do zobaczenia później – żegnam się.

Taka niewielka obietnica. Jednak dla Rhiannon to najważniejsze słowa na świecie.



Początkowo trudno mi było przejść przez każdy dzień, nie nawiązując trwalszych relacji z ludźmi, nie pozostawiając za sobą zmian na całe życie. Gdy byłem młodszy, tęskniłem za przyjaźnią i bliskością. Przywiązywałem się, nie zdając sobie sprawy, jak szybko i bezwarunkowo to stracę. Brałem sobie do serca cudze życie, czułem, że przyjaciele osoby, której ciało zająłem, mogą być moimi przyjaciółmi, a ich rodzice – moimi rodzicami. Po jakimś czasie musiałem jednak zmienić strategię. Te wszystkie rozstania łamały mi serce.

Jestem tułaczem, i chociaż bywam samotny, to jestem też cudownie wolny. Nigdy nie będą mnie definiować inne osoby. Nigdy nie odczuję presji rówieśników ani ciężaru rodzicielskich oczekiwań. Postrzegam wszystkich jako elementy całości, skupiam się na tej całości, a nie na jej składowych. Nauczyłem się obserwować – o wiele uważniej niż większość ludzi. Nie oślepia mnie przeszłość, nie motywuje przyszłość. Skupiam się na tym, co tu i teraz, bo żyję wyłącznie w teraźniejszości.

Uczę się. Niekiedy poznaję coś, czego dowiedziałem się już w kilkunastu szkołach. Czasami uczą mnie czegoś zupełnie nowego. Muszę tylko odnaleźć się w obcym ciele,

wejść w obcy umysł i przekonać się, jakie informacje się w nim znajdują. A wtedy się uczę. Gdy odchodzę, zabieram ze sobą jedynie wiedzę.

Wiem tyle rzeczy, o których Justin nie ma pojęcia – i nigdy nie będzie miał. Siedzę w jego ławce na lekcji matmy, otwieram jego zeszyt i zapisuję cytaty, których nigdy nie słyszał. Szekspira, Kerouaca i Dickinson. Jutro albo może nieco później – albo nigdy – zobaczy te słowa napisane swoim własnym pismem i nie będzie miał pojęcia, skąd się wzięły i co w ogóle znaczą.

Pozwalam sobie na zostawienie tylko takiego śladu.

Reszta musi pozostać bez zmian.



Rhiannon nie opuszcza mnie przez cały czas. Szczegóły, które jej dotyczą, przebłytki z pamięci Justina. Drobiazgi, sposób, w jaki opadają jej włosy, jak obgryza paznokcie, determinacja i zrezygnowanie w jej głosie. Zupełnie przypadkowe rzeczy. Widzę, jak tańczy z dziadkiem Justina, który wyznał, że chciałby zatańczyć z ładną dziewczyną. Widzę, jak zakrywa oczy, gdy ogląda horror, jak napawa się swoim strachem. To są pozytywne wspomnienia. Na inne nie patrzę.

Rano widzę ją tylko raz – krótkie spotkanie na korytarzu między pierwszą a drugą lekcją. Uśmiecham się na jej widok, ona odpowiada tym samym. Jakież to proste. Proste, a jednocześnie skomplikowane, jak większość prawdziwych spraw. Po drugiej lekcji łapię się na tym, że jej szukam; to samo robię po trzeciej i czwartej. Zupełnie nad tym nie panuję. Chcę ją tylko zobaczyć. To proste. I skomplikowane.

Przed lunchem jestem już wyczerpany. Ciało Justina jest potwornie zmęczone z braku snu, a ja – tkwiący wewnątrz – czuję się wykończony niepokojem i zbyt intensywnym myśleniem.

Czekam na nią przy szafce Justina. Dzwoni pierwszy dzwonek. Potem drugi. Rhiannon się nie pojawia. Może miałem się z nią spotkać gdzie indziej? Może Justin zapomniał, gdzie się zwykle spotykają?

W takim razie jest przyzwyczajona do jego zapominalskości. Znajduje mnie dokładnie w tej samej chwili, w której mam dać za wygraną. Korytarze są niemal puste, całe głodne stado już się przetoczyło. Tym razem podchodzi bliżej niż poprzednio.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada dziewczyna.

Patrzy na mnie wyczekująco. To Justin zawsze robi pierwszy ruch. To on o wszystkim decyduje.

Bardzo mnie to przygnębia.

Tyle razy to widziałem. Nieuzasadnione uwielbienie. Znoszenie strachu w związku z niewłaściwą osobą tylko dlatego, że nie można znieść myśli o samotności. Ta nadzieja zabarwiona nutą wątpliwości, ta wątpliwość, pod którą czai się nadzieja. Za każdym

razem, gdy widzę te uczucia na czyjejś twarzy, jestem zdołowany. A na twarzy Rhiannon maluje się coś więcej niż tylko wszystkie rozczarowania. Jest w niej łagodność, której Justin nigdy, przenigdy, nie doceni. Ja ją widzę od razu, chociaż nikt inny jej nie dostrzega.

Wkładam wszystkie podręczniki do szafki i zamykam ją. Podchodzę do dziewczyny, kładę rękę na jej ramieniu.

Właściwie nie wiem, co robię. Wiem tylko, że to robię.

– Chodźmy gdzieś – mówię. – Dokąd chciałabyś pójść?

Stoję tak blisko, że mogę obserwować jej niebieskie oczy. I wiem, że nikt inny nie zbliża się do niej, by zobaczyć, jak bardzo są niebieskie.

– Nie wiem – odpowiada.

Chwytam ją za rękę.

– Chodź.

Początkowo idziemy, trzymając się za ręce. A potem zaczynamy biec. Pędzimy, starając się dotrzymać sobie kroku, kluczymy szkolnymi korytarzami, a wszystko, co nie jest nami, staje się zamazaną, nic nieznaczącą plamą. Śmiejemy się, chichoczymy, jest nam wesoło. Zostawiamy jej książki w szafce i wychodzimy z budynku na dwór. Na prawdziwe powietrze, na słońce, drzewa i mniej uciążliwy świat. Opuszczając szkołę, łamię zasady. Wsiadając do samochodu Justina, łamię zasady. Łamię je także wtedy, gdy przekręcam kluczyk w stacyjce.

– Dokąd chciałabyś jechać? – pytam znowu. – Powiedz mi, ale tak naprawdę, na co masz ochotę.

Początkowo nie zdaję sobie sprawy, jak wiele zależy od tego, co ona mi odpowie. Jeśli zaproponuje: „Zabierz mnie do centrum handlowego”, odsunę się. Jeżeli powie: „Jedźmy do ciebie”, też się odsunę. Zrobię to także, gdy oznajmi: „Nie chcę opuszczać szóstej lekcji”. Odsunę się. Powinienem się odsunąć. Nie powinienem tego robić.

– Chcę jechać nad ocean. Zabierz mnie nad ocean – mówi.

Czuję, że się przysuwam.



Dojazd zabiera nam godzinę. Jest koniec września, liście w Maryland nie zaczęły jeszcze zmieniać barwy, ale widać, że już o tym myślą. Zielen jest przytłumiona, wyblakła. Kolory czają się za rogiem.

Przekazuję Rhiannon kontrolę nad odbiornikiem. Jest zaskoczona, lecz nie zwracam na to uwagi. Mam dosyć głośnej okropnej muzyki, wyczuwam, że ona również. W samochodzie rozlega się wreszcie melodia. Rozbrzmiewa piosenka, którą znam, więc zaczynam śpiewać.

And if I only could, I'd make a deal with God^[1]...

Zaskoczenie Rhiannon przeradza się w podejrzliwość. Justin nigdy nie śpiewa.

– Co ci się stało? – pyta.

– To muzyka – odpowiadam.

– Hm.

– Naprawdę.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, a potem się uśmiecha.

– W takim razie... – zaczyna i rusza pokrętle, znajdując inny utwór.

Wkrótce śpiewamy ile sił w płucach. To piosenka pop, niesie w sobie mniej więcej tyle samo treści co balon, ale unosi nas tak jak on.

Mam wrażenie, że czas zwolnił i jakby się rozrzedził. Rhiannon przestaje myśleć o tym, jakie to wszystko niecodzienne, i poddaje się chwili. Chcę podarować jej dobry dzień, po prostu jeden dobry dzień. Przez tyle czasu tułałem się bez celu i nagle pojawił się przede mną ten ulotny sens – mam wrażenie, że ktoś mi go sprezentował. Skoro mogę dać od siebie tylko jeden dzień, dlaczego nie może być on dobry? Dlaczego nie mogę spędzić go z drugim człowiekiem? Dlaczego nie mogę zabrać ze sobą melodii chwili i przekonać się, jak długo będzie trwała? Zasady można znieść. Mogę coś przyjąć. Mogę coś podarować.

Kiedy piosenka dobiega końca, Rhiannon opuszcza szybę i przesuwa rękę przez powietrze, wpuszczając do środka zupełnie nowy rodzaj muzyki. Opuszczam pozostałe szyby i przyspieszam. Wiatr przejmuje kontrolę, rozwiewa nam włosy, można mieć wrażenie, że samochód zniknął, to my jesteśmy prędkością, to my jesteśmy pędem. Rozbrzmiewa kolejny dobry kawałek, a ja chwytam ją za rękę. Jedziemy tak wiele kilometrów, podczas których wypytuję ją o różne rzeczy. Na przykład, jak się miewają jej rodzice. I jak jest teraz, kiedy jej siostra poszła na studia. I czy uważa, że w tym roku zrobiło się inaczej w szkole.

Odpowiedzi przychodzą jej z trudnością. Każdą zaczyna tym samym: „nie wiem”. W większości wypadków jednak wie, potrzeba jej tylko czasu i przestrzeni. Mama chce dla niej dobrze, tata nie do końca. Siostra nie dzwoni, ale to zrozumiałe. Szkoła jak szkoła – Rhiannon chciałaby, żeby się już skończyła, lecz jednocześnie boi się końca, bo wtedy będzie musiała postanowić, co dalej.

Pyta mnie, co ja o tym sądzę.

– Szczerze mówiąc, staram się żyć z dnia na dzień – odpowiadam.

To niewystarczająca odpowiedź, ale zawsze jakaś odpowiedź. Przyglądamy się drzewom, niebu, znakom, drodze. Czujemy swoją obecność. W tej chwili świat składa się tylko z nas dwojga. Nadal śpiewamy, z taką samą beztróską, nie przejmując się, czy trafiamy we właściwe dźwięki i właściwe słowa. Śpiewając, patrzymy na siebie: to nie są dwa solowe wystąpienia, to duet, który nie bierze siebie zbyt serio. To rodzaj rozmowy – można się wiele dowiedzieć o ludziach z historii, które opowiadają, jednak lepiej poznać się ich ze sposobu, w jaki z tobą śpiewają, czy lubią spuszczone czy podniesione szyby, czy w życiu kierują się mapą czy światem, czy przyciąga ich ocean.

Mówi mi, gdzie mam zjechać z autostrady. Puste boczne drogi. To nie lato i nie weekend. Jest środek poniedziałku, więc tylko my zmierzamy w tej chwili w stronę plaży.

– Powinnam być teraz na angielskim – odzywa się.

– Powinienem być teraz na biologii – odpowiadam, zaglądając do planu znajdującego się w głowie Justina.

Jedziemy dalej. Gdy ją zobaczyłem, sprawiała wrażenie, jakby z trudem utrzymywała równowagę na krawężniach i wypustkach. Teraz stoi na równiejszym, przyjaźniejszym podłożu.

Wiem, że to niebezpieczne. Justin nie jest dla niej dobry. Gdy wejdę do złych wspomnień, widzę łzy, awantury, szczątki znośnych spędzonych razem chwil. Ona jest zawsze przy nim, z pewnością mu się to podoba. Lubią ją jego kumple (to też zapewne mu się podoba). Jednak to nie to samo co miłość. Rhiannon od dawna żyje nadzieją związaną z Justinem i nie zdaje sobie sprawy, iż nie ma już żadnych podstaw do nadziei. Nie ma między nimi ciszy, jest wieczny hałas. Głównie z jego strony. Gdybym się postarał, mógłbym dostać się głębiej do sedna ich kłótni. Mógłbym znaleźć wszystkie okruchy, które zbierał za każdym razem, gdy ją niszczył. Gdybym był prawdziwym Justinem, także w tej chwili mógłbym się do czegoś przyczepić. Powiedzieć jej o tym. Wrzasnąć. Pokazać, gdzie jej miejsce.

Ale nie mogę, nie jestem nim. Nawet jeśli ona tego nie wie.

– Po prostu dobrze się bawmy – mówię.

– Okej – odpowiada. – To mi się podoba. Tak często myślę o ucieczce, że fajnie jest w końcu naprawdę uciec. Chociaż na jeden dzień. Miło jest znaleźć się po drugiej stronie okna. Chyba za rzadko to robię.

Jest w niej tyle różnych rzeczy, które chciałbym poznać. A jednocześnie, z każdym wypowiedzianym słowem czuję, że być może jest w niej coś, co już znam. I kiedy się tam dostanę, rozpoznamy się.

Parkuję samochód i ruszamy w stronę oceanu. Zdejmujemy buty, zostawiamy je pod siedzeniami. Kiedy docieramy do piasku, pochylam się, żeby podwinąć nogawki dżinsów, a wtedy Rhiannon biegnie przed siebie. Gdy podnoszę głowę, ona wiruje na plaży, wzbija w górę tumany piasku i woła mnie po imieniu. W takiej chwili wszystko jest lekkością. Wydaje się taka radosna, że aż przystaję i zaczynam się jej przyglądać. Obserwuję. Każę sobie zapamiętać.

– Chodź tutaj! – woła. – No chodź!

Mam ochotę jej powiedzieć, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa. Jednakże to wykluczone. Absolutnie wykluczone.

Mamy plażę dla siebie, ocean także. Mam ją dla siebie – a ona ma mnie.

Dzieciństwo jest po części dziecinne, a po części święte. Nagle okazuje się, że dotykamy tej świętości – biegniemy ku morzu, czujemy pierwszą lodowatą falę omywającą nam kostki, wyciągamy ręce, by złapać muszle, zanim ocean wymyje je nam spomiędzy palców. Wróciliśmy do świata, który potrafi błyszczeć, wchodzimy w niego coraz głębiej. Rozpościeramy ramiona, jakbyśmy chcieli przytulić do siebie wiatr. Rhiannon ochlapuje mnie zdradziecko, więc przeprowadzam kontratak. Mamy mokre spodnie i koszule, ale

zupełnie się tym nie przejmujemy.

Prosi mnie o pomoc w budowaniu zamku z piasku, a kiedy jej pomagam, opowiada mi, że nigdy nie lepiła zamków razem z siostrą – zawsze to była zacięta rywalizacja, przy czym siostra wznosiła jak najwyższe budowle, a Rhiannon przykładała wagę do szczegółów, pragnąc, by każdy zamek przypominał domek dla lalek, którego nigdy nie miała. Widzę echo tamtych detali, kiedy pod jej dłońmi zakwitają wysokie wieżyczki. Nie mam chyba żadnych wspomnień dotyczących zamków z piasku, ale najwyraźniej coś się znajduje w mojej podświadomości, bo wiem, jak trzeba je lepić i formować.

Kiedy zamek jest gotowy, wracamy do wody, żeby opłukać ręce. Odwracam się i widzę, jak nasze ślady łączą się ze sobą, tworząc jedną ścieżkę.

– Co tam jest? – pyta dziewczyna. Widzi, jak się odwracam, dostrzega coś w mojej twarzy.

Jak mam jej to wyjaśnić? Znam tylko jeden sposób:

– Dziękuję.

Patrzy na mnie, jakby nigdy jeszcze nie słyszała takich słów.

– Za co?

– Za to. Za to wszystko.

Ucieczkę. Wodę. Fale. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się poza czasem, chociaż takie miejsce nie istnieje. W głębi duszy ona nadal czeka na jakiś zwrot, na moment, w którym cała ta przyjemność wbije się w nią boleśnie jak ostrze noża.

– Nie ma w tym nic złego – tłumaczę jej. – Nie ma nic złego w byciu szczęśliwym.

Łzy napływają jej do oczu, więc chwytam ją w ramiona. To takie niewłaściwe – a jednocześnie słuszne i prawidłowe. Muszę słuchać własnych słów. Szczęście tak rzadko pojawia się w tym, co mówię, bo dla mnie to niezwykle ulotna sprawa.

– Jestem szczęśliwa – odpowiada. – Naprawdę.

Justin by ją teraz wyśmiał. Popchnąłby ją na piasek i zrobił to, na co miałby ochotę. A przede wszystkim – Justin nigdy by tu nie przyjechał.

Jestem zmęczony nieodczuwaniem. Zmęczony nienawiązywaniem więzi. Chcę tu być razem z nią, chcę być chłopakiem, który spełnia jej nadzieje, choćby tylko w tym krótkim czasie, jaki jest mi dany.

Ocean ofiaruje nam swoją muzykę, wiatr daje nam swój taniec. A my trzymamy się. Początkowo można mieć wrażenie, że siebie nawzajem, ale potem jest tak, jakbyśmy trzymali się czegoś znacznie większego. O wiele większego.

– Co się dzieje? – chce wiedzieć Rhiannon.

– Ciii – odpowiadam. – Nie pytaj.

Całuje mnie. Nie całowałem się z nikim od lat. Nie pozwoliłem sobie na to. Usta ma miękkie jak płatki kwiatów, ale kryje się w nich namiętność. Nie spieszę się, pozwalam, by każda chwila przechodziła płynnie w następną. Czuję jej skórę, jej oddech. Smakuję parę, która unosi się między nami, napawam się jej ciepłem. Ona ma zamknięte oczy, lecz moje są otwarte. Chcę zapamiętać ten moment jako coś więcej niż tylko pojedyncze

doznanie. Chcę zapamiętać całość.

Całujemy się, nic więcej. Całujemy się, nic mniej. Chwilami ona próbuje pójść dalej, ale ja tego nie potrzebuję. Przesuwam palcami po jej ramionach, ona muska moje plecy. Całuję ją w szyję. Ona całuje mnie pod uchem. Za każdym razem, gdy przerywamy, uśmiechamy się do siebie. Oszałamiające niedowierzanie, oszałamiająca wiara. Ona powinna być teraz na angielskim, ja powinienem siedzieć na biologii. Nie powinniśmy nawet zbliżać się do oceanu. Przeciwwstawiliśmy się temu, co szykował dla nas dzisiejszy dzień.

Idziemy wzdłuż plaży, trzymając się za ręce, a słońce obniża się ku horyzontowi. Nie myślę o przeszłości, nie zastanawiam się nad przyszłością. Jestem tak wdzięczny słońcu, wodzie, temu, jak moje stopy zapadają się w piasek, a moja ręka trzyma jej dłoń.

– Powinniśmy to robić co poniedziałek – mówi Rhiannon. – A także co wtorek, środę, czwartek i piątek.

– Znudziłoby nam się – odpowiadam. – Najlepiej więc przeżyć to tylko raz.

– I już nigdy więcej? – Widzę, że jej się to nie podoba.

– Nigdy nie mów nigdy.

– Nigdy nie mówię.

Na plaży jest teraz trochę ludzi – głównie starszych, którzy wybrali się na popołudniowy spacer. Kiwają nam głowami, gdy ich mijamy, niekiedy mówią „dzień dobry”. My też im kiwamy, też się z nimi witamy. Nikt nie pyta, co tu robimy. Nikt o nic nie pyta. Jesteśmy tylko częścią chwili, jak wszystko dookoła.

Słońce opada coraz niżej, a wraz z nim temperatura. Rhiannon drży, więc puszczam jej dłoń i obejmuję ją. Proponuje, żebyśmy wrócili do samochodu i wyjęli z niego koc „do przytulania się”. Znajdujemy go pośród butelek po piwie, pogiętych lin do holowania i takich tam męskich śmieci. Zastanawiam się, jak często Rhiannon i Justin korzystali z koca w takim właśnie celu, ale nie próbuję dostać się do jego wspomnień. Zanoszę koc na plażę i rozkładam na piasku. Kładę się i obserwuję niebo, a Rhiannon robi to samo. Wpatrujemy się w chmury, jesteśmy tak blisko siebie, że czujemy swoje oddechy.

– To chyba jeden z najlepszych dni w moim życiu – mówi. Moje palce znajdują jej dłoń.

– Opowiedz mi o innych takich dniach – proszę.

– Nie wiem...

– Chociaż o jednym. Pierwszym, który przychodzi ci do głowy.

Rhiannon namyśla się przez chwilę, a potem kręci głową.

– Kiedy to głupie.

– Powiedz mi.

Odwraca się do mnie i kładzie mi rękę na klatce piersiowej. Leniwie kreśli palcami kółka.

– Nie wiedzieć czemu, pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to pokaz mody matek i córek. Obiecujesz, że nie będziesz się śmiać?

Obiecuję jej.

Przygląda mi się badawczo, upewnia się, czy nie żartuję. A potem mówi dalej.

– Byłam wtedy w czwartej klasie czy jakoś tak. Renwick’s organizował akcję zbierania pieniędzy dla ofiar huraganu i zaprosili ochotników z naszej klasy. Nie pytałam nawet mamy o pozwolenie, tylko się zapisałam. A kiedy opowiedziałam o tym w domu – sam wiesz, jaka jest moja mama. Była przerażona. Wystarczająco trudno jej wyjść do sklepu, a co dopiero pokaz mody na oczach tylu obcych ludzi. Równie dobrze mogłabym ją poprosić o to, żeby pozowała dla Playboya. O Jezu, to dopiero straszna myśl.

Jej dłoń opiera się teraz o moją pierś. Rhiannon patrzy w niebo.

– Ale najważniejsze jest to, że nie odmówiła. Chyba dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, do czego ją zmusiłam. A jednak nie kazała mi wszystkiego odwołać. Nie, kiedy przyszedł ten dzień, pojechaliśmy do Renwick’s i weszliśmy tam, gdzie kazali nam wejść. Myślałam, że ubiorą nas w identyczne stroje, ale nie. Powiedzieli, że możemy samodzielnie wybrać sobie coś ze sklepu. No i zaczęliśmy wszystko przymierzać. Ja oczywiście rzuciłam się na sukienki, bo wtedy byłam bardziej dziewczęcą. Ostatecznie wybrałam sobie błękitną suknię – falbanka na falbance. Uznałam, że jest bardzo szykowna.

– Jestem pewien, że była elegancka – mówię.

– Przymknij się. – Trąca mnie. – Pozwól mi dokończyć opowieść.

Przytrzymuję jej dłoń, którą opiera na mojej klatce piersiowej. Pochyłam się i całuję ją przelotnie.

– Kontynuuj – mówię. Bardzo mi się to podoba. Nigdy nikt mi niczego nie opowiada, zawsze sam muszę do wszystkiego dochodzić. Wiem, że jeśli ludzie zaczną mi opowiadać, będą oczekiwać, że zapamiętam ich historie oraz ich samych. A tego nie mogę im zagwarantować. Nikt nie wie, czy te historie zostaną, kiedy ja odejdę. Jakie to musi być potworne, kiedy człowiek zaufa drugiej osobie, zwierzy się, a potem to zaufanie rozplynie się w powietrzu. Nie chcę być za to odpowiedzialny, ale przy Rhiannon nie mogę się temu oprzeć.

– A więc znalazłam swoją wymarzoną suknię na bal, i wtedy przyszła kolej na mamę – ciągnie. – Zaskoczyła mnie, bo też ruszyła w stronę wieszaków z sukienkami. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się stroiła. To chyba było najbardziej niesamowite: okazało się, że to nie ja jestem Kopciuszką, tylko ona. Kiedy wybrałyśmy stroje, zrobiono nam makijaż i w ogóle. Mamy za bardzo nie malowali, dodali jej tylko trochę koloru, ale to w zupełności wystarczyło. Była śliczna. Wiem, że trudno w to uwierzyć, znając ją teraz. Jednak tamtego dnia wyglądała jak prawdziwa gwiazda filmowa. Wszystkie inne matki zasypywały ją komplementami. A kiedy przyszedł czas na występ, przeparadowałyśmy przed ludźmi i dostałyśmy brawa. Obie się uśmiechałyśmy, tak prawdziwie. Nie mogłyśmy zatrzymać sobie sukni, ale i tak pamiętam drogę powrotną do domu. Mama ciągle powtarzała, że było świetnie. A gdy wróciłyśmy do domu, tata patrzył na nas jak na kosmitki, lecz, co najważniejsze, wczuł się w rolę. Nazywał nas swoimi supermodelkami i poprosił, żebyśmy zaimprovizowały pokaz w naszym salonie. Co też zrobiłyśmy. Była przy tym kupa śmiechu. I to tyle. Dzień się skończył, już chyba nigdy

więcej nie widziałam mamy umalowanej, ja też nie stałam się modelką. Jednakże dzisiejszy dzień przypomina mi tamten. Wiesz, dlaczego? Bo też jest oderwaniem się od wszystkiego, prawda?

– Na to wygląda – mówię.

– Nie mogę uwierzyć, że ci to opowiedziałam.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Bo to głupie.

– Wcale nie. Brzmi jak opowieść o świetnie spędzonym dniu.

– A jak to było u ciebie?

– Nigdy nie wziąłem udziału w pokazie mody dla matek i córek – żartuję. Chociaż prawdę powiedziawszy, byłem na kilku. Rhiannon trąca mnie lekko w ramię.

– Opowiedz mi o dniu takim jak ten.

Zaglądam do pamięci Justina i już wiem, że przeprowadził się tu, gdy miał dwanaście lat. A więc wszystko, co było wcześniej, będzie się liczyło, ponieważ nie znał wtedy Rhiannon. Próbuję znaleźć wspomnienie Justina, ale w sumie nie chcę tego robić. Chcę jej podarować własne.

– Był taki jeden dzień, kiedy miałem jedenaście lat. – Próbuję przypomnieć sobie imię chłopaka, którego ciało wtedy zajmowałem, jednak to było zbyt dawno temu. – Bawiłem się w chowanego z przyjaciółmi. Byliśmy w lesie i nagle zapragnąłem wejść na drzewo. Znalazłem takie, które miało nisko rosnące gałęzie i zacząłem się wspinać. Coraz wyżej i wyżej, zupełnie naturalnie, jakbym sobie szedł po płaskim terenie. Później wydawało mi się, że to drzewo ma kilkadziesiąt metrów wysokości, kilkaset nawet. W pewnym momencie znalazłem się ponad linią drzew. Wspinałem się dalej, ale wokół nie było już widać innych gałęzi. Byłem tam sam, przywierałem do pnia, wysoko, wysoko nad ziemią.

Nawet teraz widzę przebłyski tamtych wspomnień. Wysokość. Miasto pode mną.

– To było magiczne uczucie – ciągnę swoją opowieść. – Nie można tego inaczej opisać. Słyszałem wrzaski moich kolegów, nakrytych przez szukającego, ale ja znajdowałem się w zupełnie innym miejscu. Po raz pierwszy patrzyłem na świat z góry. To niesamowite wrażenie. Nigdy wcześniej nie latałem samolotem i chyba nawet nie byłem w żadnym drapaczu chmur. A wtedy znalazłem się ponad wszystkim dokoła, wszystkim, co znałem. Była to wyjątkowa chwila, tym szczególniejsza, że zawdzięczałem ją tylko sobie. Nikt mi tego nie podarował, nikt mi nie kazał. Wspinałem się bez końca i to właśnie była moja nagroda. Mogłem patrzeć na świat, bez towarzystwa. Jak się okazało, tego właśnie było mi trzeba.

Rhiannon się do mnie przytula.

– To cudowne – szepcze.

– Zgadza się.

– To było w Minnesocie?

Prawdę powiedziawszy, w Karolinie Północnej, ale sięgam do wspomnień Justina i kiwam głową. Owszem, dla niego to byłaby Minnesota.

– Chcesz wiedzieć, jaki był drugi taki wspaniały dzień? – pyta, przyciskając się do mnie. Przesuwam rękę, żeby nam było wygodniej.

– Pewnie.

– Nasza druga randka.

Przecież to dopiero nasza pierwsza, myślę. Głupota.

– Naprawdę? – pytam.

– Pamiętasz?

Sprawdzam, czy Justin coś pamięta. Nic a nic.

– Impreza u Dacka? – podsuwa mi wskazówkę.

Nadal nic.

– Taaa... – próbuję udawać.

– Hmm... może nie powinnam uważać tego za randkę. Chodzi o nasze drugie spotkanie. Byłeś wtedy taki... taki słodki. Nie rozżłościsz się, jak to powiem?

Nie mam pojęcia, do czego zmierzamy.

– Obiecuję. W tej chwili nie istnieje nic, co mogłoby mnie rozżłościć – mówię i nawet kładę rękę na sercu, żeby to udowodnić.

Rhiannon uśmiecha się.

– Okej. Bo wiesz, ostatnio ciągle ci się spieszy. Na przykład uprawiamy seks, ale nie ma w tym... intymności. Nie, żebym miała coś przeciwko, jest fajnie. Jednak od czasu do czasu dobrze jest tak jak teraz. I właśnie wtedy, na imprezie u Dacka, tak było. Zupełnie jakbyśmy mieli tyle czasu, ile tylko chcemy, a ty pragnąłeś spędzić go ze mną. To mi się ogromnie podobało. Wtedy naprawdę na mnie patrzyłeś. Było tak, jakbyś wspiął się na tamto drzewo i na szczycie znalazł mnie. Absolutnie nasza chwila, chociaż znajdowaliśmy się w cudzym ogrodzie. Nie wiem, czy pamiętasz, że w którymś momencie poprosiłeś, abym się trochę przesunęła, a wtedy znajdę się w świetle księżyca. Powiedziałeś: „W jego poświęceniu twoja skóra błyszczy”. I tak właśnie się czułam – błyszcząca. Ponieważ patrzyłeś na mnie.

Ciekawe, czy ona zdaje sobie sprawę, że teraz jest skąpana w ciepłym pomarańczowym świetle bijącym od horyzontu, gdzie niepełny dzień przechodzi w niepełną noc. Pochyliłam się i omiatam ją cieniem. Całuję ją tylko raz, a potem zapadamy się w siebie, zamykamy oczy i zapadamy w sen. Zasypiając, czuję coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam: to bliskość, ale nie zwyczajna, fizyczna. To silna więź, niewspółmierna do krótkiego czasu naszej znajomości. Wrażenie, które może pochodzić tylko od najbardziej euforycznego uczucia: poczucia przynależności.



Co jest takiego w chwili, w której człowiek się zakochuje? Jak taki nieznaczący przedział czasowy może zawierać w sobie coś tak potężnego? Nagle zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie wierzą w *déjà vu*, wierzą, że już kiedyś przeżyli niejedno życie: to niemożliwe, żeby

lata, które spędziłem na tym świecie, mogły zawierać w sobie to, co teraz czuję. Zakochując się, człowiek ma wrażenie, że za jego uczuciem stoją całe wieki, niezliczone pokolenia, a wszystko przesuwa się i układa tak, by umożliwić to idealne i niesamowite skrzyżowanie dwóch ścieżek. Człowiek czuje w sercu i w kościach – chociaż zdaje sobie sprawę, że to absolutna głupota – że wszystko do tej pory prowadziło do tej właśnie chwili, wszystkie sekretne strzałki wskazywały na ten właśnie kierunek, a czas i wszechświat już dawno temu to wszystko stworzyły. Ty jednak dopiero teraz zdajesz sobie z tego sprawę, dopiero docierasz do miejsca, w którym od zawsze miałeś się znaleźć.



Godzinę później budzi nas dźwięk jej telefonu.

Nie otwieram oczu. Dociera do mnie jej jęk, a później słyszę, jak obiecuje mamie, że niedługo wróci.

Woda przyjęła kolor głębokiej czerni, a niebo stało się granatowe. Chłód wnika w nasze ciała, gdy zwijamy koc i ruszamy, zostawiając na piasku świeże ślady.

Ja prowadzę, ona nawiguje. Ja słucham, ona mówi. Znowu śpiewamy. A potem opiera się o moje ramię i drzemie jeszcze trochę, śni jeszcze trochę. Staram się nie myśleć o tym, co potem się wydarzy.

Staram się nie myśleć o zakończeniach.

Nigdy nie jest mi dane przyglądać się ludziom, kiedy śpią. A przynajmniej nie tak jak teraz.

Jest przeciwieństwem Rhiannon, którą była, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Jej wrażliwość widoczna jest jak na dłoni, ale nie ma w niej żadnego poczucia zagrożenia. Obserwuję, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada, jak się porusza we śnie. Budzę ją dopiero wtedy, gdy potrzebuję wskazówek co do dalszej drogi.

Przez ostatnie dziesięć minut opowiada o tym, co będziemy robić jutro. Trudno mi na to odpowiadać.

– Nawet jeśli to wszystko nie dojdzie do skutku, zobaczymy się przy obiedzie? – pyta.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Może zrobimy coś razem po szkole?

– No chyba. To znaczy, nie bardzo kojarzę, co będzie jutro. Myślami jestem daleko od jutrzejszego dnia.

To brzmi dla niej logicznie.

– No jasne. Jutro to jutro. Zakończmy ten dzień przyjemną nutą.

Gdy wjeżdżamy do miasta, mogę wniknąć do wspomnień Justina bez konieczności pytania jej o drogę, ale i tak chciałbym się zgubić. Przedłużyć chwilę. Uciec.

– Jesteśmy – mówi Rhiannon, gdy podjeżdżamy pod jej dom. Zatrzymuję samochód. Odblokowuję zamki.

Pochyla się i całuje mnie. Moje zmysły ożywiają się, czując jej smak, zapach, dotyk, dźwięk jej oddechu, widok jej ciała odsuwającego się ode mnie.

– To ta przyjemna nuta – mówi i, zanim zdołam cokolwiek powiedzieć, wysiada i znika. Nawet nie zdążyłem się pożegnać.

Domyślam się – i słusznie – że rodzice Justina przyzwyczaili się, że syn nie wraca na obiad i nie daje znaku życia. Próbują na niego nakrzyczeć, ale widać, że wszyscy odgrywają tylko swoje zwykłe role, a kiedy Justin wpada do swojego pokoju, wygląda to jak stare przedstawienie odgrywane na nowo.

Powinienem odrobić jego lekcje (zawsze pilnuję takich rzeczy, jeśli tylko jestem w stanie je zrobić), lecz moje myśli ciągle uciekają do Rhiannon. Wyobrażam sobie, co robi w domu, jak unosi się niesiona cudownymi chwilami, które razem spędziliśmy. Jak wierzy, że wszystko teraz będzie inaczej, że Justin się nagle zmienił.

Nie powinienem był tego robić. Wiem, że to nie było właściwe posunięcie, nawet jeśli każda część mojego ciała i mojego jestestwa kazała mi to robić. Zadręczam się tym przez długie godziny. Nie da rady cofnąć czasu, nie jestem w stanie zapomnieć.

Już kiedyś raz się zakochałem. A przynajmniej tak sądziłem – do dzisiaj. Miał na imię Brennan, wydawało mi się to takie realne, chociaż opierało się głównie na słowach. Głębokich, uderzających prosto w serce. Byłem głupi, sądząc, że możliwa jest wspólna przyszłość. A przecież nie było żadnej przyszłości. Próbowałem nią pokierować, jednak okazało się to niemożliwe.

To była łatwa sytuacja w porównaniu z dzisiejszą. Zakochać się to jedno, a co innego – poczuć, że ktoś zakochuje się w tobie. Czuć się odpowiedzialnym za tę miłość.

Opcja pozostania w tym ciele nie istnieje. Nawet jeżeli nie zasnę, zmiana i tak nastąpi. Kiedyś sądziłem, że jeśli będę czuwał przez całą noc, zostanę tam, gdzie jestem. Ale nie, zostałem wyrwany z ciała, które zajmowałem. A wyrwanie z ciała jest odczuwalne dokładnie tak, jak sugeruje nazwa. Każdy nerw aż pulsuje od bólu odrywania, a potem od bólu wnikania w nowe ciało. Od tamtego momentu przesypiam każdą noc. Uznałem, że walka z tym nie ma najmniejszego sensu.

Zdaję sobie sprawę, że muszę do niej zadzwonić. Numer mam w telefonie Justina. Nie mogę pozwolić, by łudziła się, że jutrzejszy dzień będzie taki sam jak dzisiejszy.

– Hej! – mówi, odbierając.

– Hej.

– Jeszcze raz dziękuję ci za dzisiaj.

– Taaa.

Wcale nie chcę tego robić, nie chcę niczego psuć. Jednak wiem, że muszę.

– Jeśli chodzi o dzisiaj...

– Chcesz mi powiedzieć, że nie możemy codziennie urywać się z lekcji? To do ciebie niepodobne.

Niepodobne do mnie.

– Taaa – mówię. – No wiesz, nie chcę, żebyś myślała, że każdy dzień będzie taki jak

dzisiaj. Bo nie będzie, no nie? Nie może być.

Zapada milczenie. Ona wyczuwa, że coś jest nie tak.

– Wiem – odpowiada ostrożnie. – Ale przecież i tak może być lepiej, prawda?

– Nie mam pojęcia. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Dzisiaj to było coś, ale, no wiesz, to nie jest wszystko.

– Wiem o tym.

– Okej.

– Okej.

Wzdycham.

Zawsze istnieje cień szansy, że jakimś cudem wywarłem wpływ na Justina. Zawsze jest nadzieja, że zmieni się jego życie – oraz on sam. Ja jednak nigdy się o tym nie przekonam. Rzadko widuję ciała po ich opuszczeniu. Czasem się to zdarza, ale zwykle mijają miesiące albo nawet lata. Jeśli w ogóle zdołam je rozpoznać. Chciałbym, żeby Justin był dla niej lepszy, ale nie mogę pozwolić, by się tego spodziewała.

– To wszystko – mówię. Mam wrażenie, że Justin by tak właśnie powiedział.

– W takim razie do jutra.

– Taa, do jutra.

– I jeszcze raz dzięki. Bez względu na to, jakie jutro czekają nas konsekwencje, było warto.

– No.

– Kocham cię – mówi.

A ja chcę jej powiedzieć to samo. Pragnę jej oświadczyć, że ja też ją kocham. W tym momencie czuję to każdą cząsteczką mojego ciała – jednak to potrwa jeszcze tylko dwie godziny.

– Miłych snów – mówię i rozłączam się.

Na biurku leży notes.

„Pamiętaj, że kochasz Rhiannon” – zapisuję jego pismem. Jestem pewien, że nie będzie pamiętał, że coś takiego napisał.

Siadam przy jego komputerze. Otwieram moją pocztę, umieszczam w niej jej dane, numer telefonu, adres mailowy, a także adres Justina i hasło do jego skrzynki. Opisuję dzisiejszy dzień i wysyłam do siebie.

A potem czyszczę historię.

To dla mnie trudne.

Przyzwyczałem się do tego, kim jestem i jak wygląda moje życie. Nigdy dotąd nie pragnąłem zostać w danym ciele, zawsze byłem gotów je opuścić.

Ale nie dzisiaj.

Teraz prześladuje mnie myśl, że jutro ona tu będzie, a ja nie.

Chcę zostać.

Modłę się o to.

Zamykam oczy i wypowiadam w myślach życzenie.

DZIEŃ 5995

Budzę się z myślą o wczorajszym dniu. To, że pamiętam, sprawia mi radość. Świadomość, że to przeszłość, sprawia mi ból.

Nie ma mnie tam – ani w łóżku Justina, ani w jego ciele. Dzisiaj jestem Leslie Wong. Przespałem pobudkę budzika i teraz budzi mnie jakaś rozzłoszczona kobieta.

– Wstawaj! – krzyczy, szarpiąc moje nowe ciało. – Masz dwadzieścia minut, potem Owen odjeżdża!

– Okej, mam – mamroczę.

– Mam! Nie wiem, co by twoja matka powiedziała, gdyby tu była.

Szybko zaglądam do umysłu Leslie. A więc to babcia. Mama już wyszła do pracy.

Stojąc pod prysznicem, napominając się, że muszę się pospieszyć, zatracam się na chwilę w myślach o Rhiannon. Jestem pewien, że mi się śniła i zaczynam się zastanawiać: czy jeśli sen zaczął się, gdy jeszcze tkwiłem w ciele Justina, on nadal o niej śnił? Czy obudzi się myśląc o niej ciepło?

A może to kolejna złudna nadzieja z mojej strony?

– Leslie! Wychodź!

Kończę kąpiel, wycieram się i pospiesznie się ubieram. Wygląda na to, że Leslie nie jest zbyt popularna. Na tych paru zdjęciach przyjaciół, które ma u siebie w pokoju, nie widać większej zażyłości między nimi, a ciuchy, które nosi, pasują bardziej na trzynasto- niż na szesnastolatkę. Wchodzę do kuchni, jej babcia rzuca mi groźne spojrzenie.

– Nie zapomnij klarnetu!

– Nie zapomnę – obiecuję.

Przy stole siedzi chłopak i patrzy na mnie z wściekłością. Domyślam się, że to brat Leslie i zaraz to potwierdzam. Owen. Starszy ode mnie. Mój transport do szkoły.

Przywykłem już do tego, że większość poranków w większości domów wygląda dokładnie tak samo. Gramolę się z łóżka, włożę pod prysznic. Mamroczę coś podczas śniadania. A jeśli rodzice nadal śpią, wychodzę na palcach z domu. Żeby nie umrzeć z nudów, szukam zawsze jakichś odmian.

Tym razem tą odmianą jest Owen, który, ledwie wchodzimy do auta, zapala jointa. Zakładam, że to stały element jego poranka, więc staram się nie pokazywać po Leslie zaskoczenia, które mnie ogarnęło.

Mimo to jakieś trzy minuty później Owen rzuca: „Nikommu ani słowa”. Wyglądam przez okno. Dwie minuty później odzywa się ponownie.

– Nie potrzebuję twojej opinii, jasne?

Po jointcie już nie ma śladu, ale brat wcale przez to nie złagodniał.

Wolę być jedynakiem. Doceniam to, że w ogólnym rozrachunku rodzeństwo bywa bardzo pomocne – jest ktoś, z kim można dzielić sekrety rodzinne, ktoś z twojego pokolenia, kto

wie, czy dobrze wszystko pamiętasz, ktoś, kto widzi cię w wieku ośmiu, osiemnastu i czterdziestu ośmiu lat, i zupełnie mu to nie przeszkadza. Doskonale to rozumiem. Jednak na krótką metę rodzeństwo to w najlepszym wypadku utrudnienie, a w najgorszym – horror. Większość upokorzeń, jakie przeżyłem w moim – przyznaję niezwykłym – życiu zawdzięczałem braciom i siostram, przy czym starsze rodzeństwo wiodło w tym zdecydowany prym. Początkowo byłem naiwny, zakładałem, że bracia i siostry to naturalni sprzymierzeńcy, wspaniali towarzysze. I czasami sytuacja na to pozwalała – na przykład podczas rodzinnej wycieczki albo w jakąś leniwą niedzielę, kiedy zabawa ze mną była dla nich jedyną dostępną rozrywką. Jednak w zwyczajne dni wszystko polega na rywalizacji, a nie współpracy.

Zdarzają się chwile, gdy zastanawiam się, czy rodzeństwo to nie są jedyne osoby wyczuwające, że coś jest nie tak z człowiekiem, którego ciało zająłem, i od razu starają się to wykorzystać. Kiedy miałem osiem lat, starsza siostra powiedziała mi, że teraz razem uciekniemy – po czym całkowicie zrezygnowała z części „razem”. Zostawiła mnie na dworcu kolejowym, gdzie błąkałem się długimi godzinami, zbyt przerażony, żeby poprosić kogokolwiek o pomoc. Bałem się, że dowie się o tym i zarzuci mi zepsucie zabawy. Gdy byłem dzieckiem, moi bracia – zarówno starsi, jak i młodszy – mocowali się ze mną, bili mnie, kopali, gryźli, popychali i obrzucali taką liczbą wyzwisk, że nawet nie jestem w stanie ich spamiętać.

Zwykle mam nadzieję, że trafi mi się ciche i spokojne rodzeństwo. Początkowo uznałem, że Owen należy do tej kategorii, ale w aucie przekonuję się, jak bardzo się myliłem. Znowu po przyjeździe do szkoły mam wrażenie, że jednak miałem rację. W obecności innych rówieśników Owen staje się niewidzialny, pochyla głowę i wchodzi do środka, zostawiając mnie w tyle. Żadnego „do zobaczenia”, żadnego „miłego dnia”. Tylko rzut oka na zatrzaśnięte po mojej stronie drzwi auta i pospieszne kliknięcie pilota.

– Na co tak patrzysz? – rozlega się czyjś głos za moim lewym ramieniem, gdy obserwuję, jak Owen wchodzi do szkoły.

Odwracam się i muszę dokonać poważnej analizy umysłu Leslie.

To Carrie. Najlepsza przyjaciółka od czwartej klasy.

– Na mojego brata.

– Po co? Przecież to taki dupek.

To dziwne: nie mam nic przeciwko myśleniu o nim w taki sposób, ale kiedy słowa te wychodzą z ust Carrie, mam ochotę go bronić.

– Chodź – mówię.

– Chodź? Żartujesz sobie?

Zaczynam się zastanawiać: ona wie coś, o czym ja nie mam pojęcia. Postanawiam się nie odzywać.

Widzę, że z radością zmienia temat.

– Co robiłaś wczoraj wieczorem? – pyta.

Od razu widzę przed oczami obraz Rhiannon. Staram się go zamazać, ale nie jest to

łatwe. Kiedy człowiek doświadczy bezkresu, widzi go wszędzie, gdzie spojrzy, przebija on przez każde słowo, które chce wypowiedzieć.

– Nic szczególnego – odpowiadam, nie zadając sobie trudu, by wnikać w umysł Leslie.

– A ty?

– Nie dostałaś mojego esemesa?

Mamrocę coś o tym, że mój telefon się rozładował.

– To wyjaśnia, dlaczego jeszcze mnie nie zapytałaś! Wiesz, co się stało? Corey zagadał mnie na czacie! Rozmawialiśmy chyba z godzinę.

– Łał.

– No nie? – Carrie wzdycha z zadowoleniem. – Tyle czasu musiało upłynąć. Nawet nie wiedziałam, że zna mój nick. Bo chyba mu nie zdradziłaś, co?

Znów wnika. To jedno z tych pytań, które może nieźle nabruździć, może nie od razu, ale w przyszłości. Jeśli Leslie powie, że nie pisnęła ani słówka Coreyowi, a Carrie przekona się, że jednak to zrobiła, ich przyjaźń może zawisnąć na włosku. To samo może się stać, jeśli Leslie wyzna, że powiedziała Coreyowi, a potem okaże się, że nie.

Chodzi o Coreya Handlemanna, chłopaka, w którym Carrie się podkochuje od co najmniej trzech tygodni. Leslie nie zna go zbyt dobrze, a ja nie jestem w stanie wydobyć z jej umysłu żadnej informacji na temat przekazywania mu nicku Carrie. Uznaję, że mogę bezpiecznie wyrazić się w tej kwestii.

– Nie. – Kręcę głową. – Nie powiedziałam mu.

– Pewnie musiał się nieźle napracować, żeby go zdobyć – stwierdza. (Albo – jak sądzę – zobaczył go na twoim profilu facebookowym.)

Od razu ogarniają mnie wyrzuty sumienia w związku z tymi cynicznymi myślami. To najtrudniejsza rzecz w przyjaźni z osobami, do których nie czuje się żadnego przywiązania – nie daję im żadnego wotum zaufania. A na tym właśnie opiera się przecież przyjaźń.

Carrie jest niezmiernie podekscytowana Coreym, więc i ja udaję podobny entuzjazm. Dopiero kiedy się rozdzielamy, uderza we mnie uczucie, które – jak sądziłem – mam pod kontrolą. Zazdrość. I chociaż nie wyrażam tego w myślach tyloma słowami, czuję zazdrość w związku z faktem, że Carrie może mieć Coreya, podczas gdy ja nigdy nie będę miał Rhiannon.

To głupota, napominam sam siebie. Nie bądź śmieszny. W życiu, które jest ci dane, nie ma miejsca na zazdrość. Jeżeli dopuścisz ją do siebie, rozszarpie cię na strzępy.



Trzecia lekcja to zajęcia z instrumentów. Mówię nauczycielce, że zostawiłem klarnet w domu, choć w rzeczywistości mam go w szafce. Leslie dostaje uwagę i musi iść na ciche zajęcia, ale mam to w nosie. Nie umiem grać na klarnecie.

Plotki o Carrie i Coreyu roznoszą się z prędkością światła. Wszyscy nasi znajomi o tym mówią, większość z zadowoleniem. Nie wiem, czy to dlatego, że uznają to za idealny

związek, czy raczej dlatego, że Carrie wreszcie przestanie gadać na ten temat.

Kiedy spotykamy się podczas przerwy obiadowej, jestem zaskoczony tym, jaki on jest nijaki. Ludzie w rzeczywistości rzadko są tak atrakcyjni, jak się wydają w oczach zakochanych w nich osób. Podejrzewam, że na tym to właśnie polega. W sumie to niemal podnosi na duchu, gdy się pomyśli, że związek z drugim człowiekiem tak mocno rzutuje na postrzeganie świata.

Corey podchodzi podczas obiadu, żeby się przywitać, ale nie siada z nami, chociaż robimy mu miejsce przy naszym stoliku.

Carrie chyba tego nie zauważa. Jest podekscytowana faktem, że podszedł, nie marzyła nawet o tej rozmowie na czacie, nie sądziła, że przerodzi się ona w realny kontakt... a kto wie, co będzie dalej? Tak jak podejrzewałem, Leslie nie obraca się w kręgach doświadczonych nastolatków. Te dziewczyny myślą o pocałunkach, a nie o seksie. Ich bramą pożądania są usta, nic więcej.

Znów mam ochotę uciec, podarować sobie resztę dnia, ale bez niej nie miałyby to sensu.

Mam wrażenie, że marnuję czas. W sumie zawsze tak jest, przecież moje życie do niczego nie prowadzi.

Z wyjątkiem tego jednego popołudnia.

Wczorajszy dzień to zupełnie inny świat. Chciałbym do niego wrócić.



Na początku szóstej lekcji, zaraz po przerwie obiadowej, mój brat zostaje wezwany do gabinetu dyrektora.

Początkowo sądzę, że coś źle usłyszałem, ale potem widzę, jak ludzie w klasie się na mnie gapią – łącznie z Carrie, która ma w oczach współczucie. Najwyraźniej jednak się nie przesłyszałem.

Nie denerwuję się, uznaję, że gdyby stało się coś naprawdę złego, oboje zostalibyśmy wezwani. Nikt z naszej rodziny nie umarł, nasz dom nie spłonął. To sprawa Owena, a nie moja.

Carrie przysłała mi liścik: „Co się stało?”

Wzruszam ramionami w jej stronę. Skąd mam niby wiedzieć? Mam tylko nadzieję, że nie straciłem środka transportu.

Szósta lekcja dobiega końca, zbieram moje rzeczy i idę na angielski. Omawiamy *Beowulfa*, więc jestem dobrze przygotowany. Przerabiałem ten poemat niezliczone razy.

Zostało mi jeszcze jakieś dziesięć kroków do sali, kiedy ktoś chwyta mnie za rękę.

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Owenem.

Zakrwawionym Owenem.

– Ciiii... – mówi. – Chodź ze mną.

– Co się stało?

– Cicho, okej?

Rozgląda się, jakby ktoś go gonił. Postanawiam iść z nim, w końcu to bardziej ekscytujące od *Beowulfa*.

Docieramy do kantorka sprzątaczek. Każe mi wejść do środka.

– Chyba sobie żartujesz – mówię.

– Leslie.

Nie toleruje sprzeciwu, więc wchodzę za nim do środka i bez trudu znajduję włącznik światła.

Oddycha ciężko i przez chwilę nic nie mówi.

– Powiedz, co się stało – odzywam się.

– Wygląda na to, że mam kłopoty.

– Phi. Słyszałam, że zostałeś wezwany na dywanik do dyrektora, dlaczego cię tam nie ma?

– Byłem. To znaczy, zanim usłyszałem wezwanie. A potem... odszedłem.

– Uciekłeś z gabinetu dyrektora?

– Taaa. To znaczy z poczekalni. Mogę się założyć, że poszli sprawdzić moją szafkę.

Z przecięcia na łuku brwiowym kapie krew.

– Kto cię uderzył?

– Nieważne. Przymknij się i mnie posłuchaj, okej?

– Słucham, ale ty nic nie mówisz!

Myślę, że Leslie zwykle nie pyskuje starszemu bratu, lecz nic mnie to nie obchodzi. On i tak nie zwraca na mnie uwagi.

– Słuchaj, zadzwonią do domu, tak? Musisz mnie wesprzeć. – Podaje mi kluczyki. – Wróć do chaty po szkole i zorientuj się, jak wygląda sytuacja. Zadzwonię do ciebie.

Na szczęście potrafię prowadzić.

Nie odzywam się, co uznaje za znak zgody.

– Dzięki – mówi.

– Wracasz do dyrektora? – pytam.

Odchodzi bez słowa.

Na koniec dnia Carrie ma dla mnie najświeższe wieści – i nie ma znaczenia, czy są prawdziwe. To plotki, które krążą po szkole, a z którymi pragnie się ze mną podzielić.

– Twój brat i Josh Wolf pobili się podczas przerwy obiadowej na boisku. Podobno chodziło o narkotyki, twój brat jest niby dilerem, czy coś w tym stylu. No wiesz, wiedziałam, że pali trawkę i tak dalej, ale nie miałam pojęcia, że tym handluje. Zostali z Joshem zaciągnięci do gabinetu dyrektora, jednak Owen postanowił zwać. Wyobrażasz to sobie? Pisali do niego, że ma wracać, lecz chyba tego nie zrobił.

– Skąd to wszystkie wiesz? – pytam.

– Od Coreya! – Carrie aż się zapowietrza z podekscytowania. – Nie było go przy tym, ale chłopaki, z którymi się kumpluje, byli świadkami bijatyki i tak dalej.

Widzę, że najistotniejszą informacją w tym wszystkim jest to, że to Corey jej wszystko powiedział. Jej pragnienie, bym jej pogratulowała, nie wynika wcale z egoizmu, ale

wyraźnie widać, co jest dla niej najważniejsze.

– Muszę wracać do domu – mówię.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? Nie będziesz musiała stawiać temu czoła w pojedynkę.

Przez ułamek sekundy wydaje mi się to kuszącą propozycją. Jednak potem wyobrażam sobie, jak zdaje Coreyowi dokładną relację z tego, co się wydarzyło. I chociaż to bezpodstawne założenie, wystarczy, żebym nie chciał jej obecności.

– Dam sobie radę – odpowiadam. – Jeśli już, będę dzięki temu wyglądała na dobrą córeczkę.

Carrie wybucha śmiechem, bardziej dla wsparcia niż z rozbawienia.

– Pozdrów ode mnie Coreya – dodaję żartobliwie, zamykając szafkę.

Znów się śmieje – tym razem ze szczęścia.



– Gdzie on jest?

Nie zdążyłem nawet przekroczyć progu kuchni, kiedy zaczęło się przesłuchanie.

Widzę ojca Leslie, jej mamę i babcię, i nie muszę nawet zaglądać do jej umysłu, by wiedzieć, że rzadko kiedy wszyscy zbierają się razem o piętnastej.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Dobrze, że mi nic nie powiedział, dzięki temu nie będę musiał kłamać.

– Jak to: nie masz pojęcia? – pyta ojciec. To naczelny inkwizytor w naszej rodzinie.

– Po prostu nie mam pojęcia. Dał mi kluczyki, ale nie chciał powiedzieć, dokąd idzie.

– A ty pozwoliłaś mu odejść?

– Nie goniła go policja – mówię. A potem zastanawiam się, czy może faktycznie go ścigali. Babcia prychnie z odrazy.

– Zawsze trzymasz jego stronę – ciągnie ojciec. – Jednak tym razem powiesz nam wszystko.

Nawet nie zdaje sobie sprawy, że właśnie mi pomógł. Teraz wiem, że Leslie wspiera Owena. A więc intuicja mnie nie zawiodła.

– Prawdopodobnie wiecie więcej niż ja – odpowiadam.

– Dlaczego twój brat i Josh Wolf mieliby się bić? – Moja mama jest autentycznie zdumiona. – Przecież oni się tak lubią!

Docieram do wspomnienia, w którym Josh Wolf ma dziesięć lat, co oznacza, że w którymś momencie mój brat zapewne się z nim przyjaźnił. Ale to już przeszłość.

– Siadaj – poleca ojciec, wskazując na kuchenne krzesło.

Siadam.

– A teraz mów. Gdzie on jest?

– Naprawdę nie wiem.

– Ona mówi prawdę – wtrąca się matka. – Zawsze poznam, kiedy kłamię.

Ja sam zbyt się kontroluję, żeby nawet spróbować narkotyków, niemniej zaczynam rozumieć, dlaczego Owen lubi się naćpać.

– Zapytam inaczej – zabiera głos ojciec. – Czy twój brat handluje narkotykami?

Doskonałe pytanie. Intuicja podpowiada mi, że nie, ale wiele zależy od tego, co wydarzyło się na boisku między nim a Joshem.

Milczę tylko i patrzę.

– Josh twierdzi, że narkotyki, które miał w kieszeni, sprzedał mu twój brat. Chcesz powiedzieć, że to nieprawda? – naciska ojciec.

– A znaleźli coś przy Owenie?

– Nie – odpowiada moja matka.

– A w szafce? Przeszukali jego szafkę?

Matka kręci głową.

– W jego pokoju? Znaleźliście coś w pokoju?

Matka wydaje się zaskoczona.

– Przecież wiem, że przeszukaliście jego pokój – mówię.

– Niczego nie znaleźliśmy – odzywa się ojciec. – Póki co. Musimy jeszcze zajrzeć do samochodu. Daj mi, proszę, kluczyki...

Mam nadzieję, że był na tyle mądry, żeby posprzątać w aucie. Tak czy inaczej, to nie moja sprawa. Oddaję kluczyki.

Nie do wiary, mój pokój też przekopali.

– Przykro mi – odzywa się matka z korytarza. W oczach ma łzy. – Pomyśleliśmy, że mógł coś schować u ciebie. Bez twojej wiedzy.

– Nie szkodzi – odpowiadam, głównie po to, żeby się jej pozbyć. – Zabiorę się za sprzątanie.

Jak się okazało, nie byłem wystarczająco szybki. Dzwoni mój telefon, trzymam go tak, żeby nie dojrzała imienia Owena na wyświetlaczu.

– Cześć, Carrie – mówię.

Owen jest na tyle bystry, że ścisza głos, by go nie słyszeli.

– Są wściekli? – pyta szeptem.

Mam ochotę się roześmiać.

– A jak myślisz?

– Aż tak źle?

– Przeszukali jego pokój, ale niczego nie znaleźli. Teraz robią rewizję w aucie!

– Nie mów jej tego! – woła matka. – Rozłącz się.

– Przepraszam, ale mojej mamie nie za bardzo się podoba, że z tobą o tym rozmawiam. Gdzie jesteś? W domu? Mogę do ciebie później oddzwonić?

– Nie wiem, co robić.

– No właśnie. W końcu będzie musiał wrócić do domu, prawda?

– Słuchaj... spotkajmy się za pół godziny na placu zabaw, okej?

– Okej. Muszę kończyć.

Rozłączam się. Matka nadal się we mnie wpatruje.

– To nie na mnie jesteś wściekła! – przypominam jej.

Biedna Leslie będzie musiała jutro zająć się bałaganem w pokoju, ja nie zamierzam trudzić się odgadywaniem, gdzie co powinno się znaleźć. To oznaczałoby zbyt częste wnikanie do jej umysłu, a moim priorytetem jest znalezienie placu zabaw, o którym mówił Owen. Cztery ulice stąd jest szkoła podstawowa. Zakładam, że to ten plac miał na myśli.

Niełatwo wyrwać się z domu. Czekam, aż cała trójka wróci do pokoju Owena, żeby ponownie przewrócić go do góry nogami, i wtedy wymykam się na zewnątrz. To ryzykowne posunięcie – kiedy tylko się zorientują, że zniknąłem, przyjdzie mi zapłacić za to ogromną cenę. Chcę wierzyć, że jeśli wrócę z Owenem, zostanie mi to wybaczone.

Wiem, że powinienem skupić się na bieżących sprawach, jednak nie mogę przestać myśleć o Rhiannon. Ona też skończyła już lekcje. Czy spędza czas z Justinem? A jeśli tak, czy on dobrze ją traktuje? Czy zostało w nim cokolwiek z wczorajszego dnia?

Mam nadzieję, chociaż nigdy nie pozwalam sobie niczego oczekiwać.

Nie ma śladu po Owenie, więc idę na huśtawki i przez chwilę wiszę w powietrzu. W końcu brat pojawia się na chodniku i od razu zmierza w moją stronę.

– Zawsze wybierasz tę huśtawkę – mówi, siadając na sąsiedniej.

– Naprawdę?

– Taaa.

Czekam, aż powie coś jeszcze. On jednak milczy.

– Owen – odzywam się wreszcie. – Co się wydarzyło?

Potrząsa głową. Nie zamierza mi nic mówić.

Przestaję się huścić, stawiam stopy na ziemi.

– To idiotyzm. Masz pięć sekund, żeby powiedzieć mi, co się stało, albo wracam do domu i zostaniesz ze wszystkim sam.

Owen wydaje się zaskoczony.

– A co mam mówić? Josh Wolf dostarcza mi trawki i wczoraj się o to pobiliśmy. Twierdził, że jestem mu winien kasę, lecz to nieprawda. Zaczął mnie popychać, więc mu oddałem. Zostaliśmy złapani. Miał przy sobie marihuanę, powiedział, że to ja mu ją sprzedałem. Bardzo sprytnie. Oczywiście wyparłem się wszystkiego, ale on jest w zaawansowanej grupie na każdym z przedmiotów, więc jak myślisz, komu uwierzą?

Najwyraźniej jest przekonany, że to prawda, jednak czy rzeczywiście od tego się wszystko zaczęło? Nie wiem.

– No nic – mówię. – Musisz wrócić do domu. Ojciec przeszukał twój pokój, ale nie znalazł żadnych narkotyków. Niczego nie było też w twojej szafce i jak się domyślam – w samochodzie, w przeciwnym razie już bym o tym wiedziała. Więc chwilowo nie jest najgorzej.

– Przecież ci mówię, że nie ma żadnych narkotyków. Wypaliłem całą trawkę dzisiaj rano, dlatego potrzebowałem nowej od Josha.

– Josha, twojego dawnego przyjaciela.

– O czym ty gadasz? Nie przyjaźnimy się od... nie wiem... odkąd skończyliśmy osiem lat. Wyczuwam, że to był ostatni raz, kiedy Owen miał przyjaciela.

– Chodźmy – mówię. – To jeszcze nie koniec świata.

– Łatwo ci mówić.

Nie spodziewałem się, że ojciec go uderzy, ale ledwo Owen przekracza próg domu, dostaje cios.

Wydaje mi się, że oprócz mnie nikogo to nie dziwi.

– Coś ty zrobił? – wrzeszczy ojciec. – Coś ty, idioto, najlepszego zrobił?!

Stajemy z matką między nimi. Babcia obserwuje sytuację z boku, wydaje się nieco rozbawiona.

– Nic nie zrobiłem! – protestuje Owen.

– Dlatego uciekłeś? Dlatego wyrzucili cię ze szkoły? Ponieważ nic nie zrobiłeś?

– Nie wyrzucą go ze szkoły, dopóki nie usłyszą jego wersji wydarzeń – prostuję, pewien, że tak właśnie będzie.

– Nie wtrącaj się! – Ojciec rzuca mi ostrzeżenie.

– Usiądźmy i porozmawiajmy na spokojnie – sugeruje moja matka.

Wściekłość aż paruje z ojca. Usuwam się w cień, podejrzewam, że to częsta reakcja Leslie w kontaktach z rodziną.

Zaczynam tęsknić za chwilą, gdy się obudziłem rano, nie wiedząc jeszcze, jakie paskudztwa przyniesie mi ten dzień.

Siadamy. Owen, matka i ja – my na sofie, mama na krześle. Ojciec krąży nad nami, a babcia stoi w drzwiach, jakby pełniła straż.

– Jesteś handlarzem narkotyków!

– Nie jestem – oponuje Owen. – Po pierwsze, gdybym był, miałbym kupę pieniędzy. Po drugie, znaleźlibyście u mnie zapasy narkotyków!

Uważam, że powinien się zamknąć.

– Josh Wolf handluje narkotykami – wyrywam się. – A nie Owen.

– Co w takim razie robił twój brat? Kupował od niego?

A może to ja powinienem się przymknąć.

– Nasza bójka nie miała nic wspólnego z narkotykami – mówi Owen. – Po prostu później je przy nim znaleźli.

– W takim razie o co wam poszło? – pyta matka, jak gdyby pobicie się dwóch kumpli z dzieciństwa było dla niej najbardziej zdumiewającą rzeczą na świecie.

– O dziewczynę. Pobiliśmy się o dziewczynę.

Ciekawe, czy przemyślał sobie tę odpowiedź, czy przyszła mu do głowy na gorąco. Tak czy inaczej, to chyba jedyna odpowiedź, która natychmiast... może nie uszczęśliwiła rodziców, lecz na pewno złagodziła ich gniew. Nie chcą, żeby ich syn kupował czy sprzedawał narkotyki albo napastował innych. Ale bójka o dziewczynę? To jak najbardziej dopuszczalne. Zwłaszcza że, jak się domyślam, nigdy wcześniej Owen nie rozmawiał z nimi o dziewczynach.

Mój brat wyczuwa, że opanował sytuację, więc ciągnie:

– Jeśli ona się dowie... O Jezu, nie może się dowiedzieć. Wiem, że niektóre dziewczyny lubią, jak się o nie ktoś bije, ale ona do nich nie należy.

Mama kiwa głową na znak aprobaty.

– Jak ona się nazywa? – pyta ojciec.

– Muszę ci mówić?

– Tak.

– Natasha Lee.

Łał. Zrobił z niej nawet Azjatkę. Cudownie.

– Znasz ją? – pyta mnie ojciec.

– Tak. Jest śliczna – mówię, po czym odwracam się do Owena i ciskam na niego udawane gromy. – Ten nasz Romeo nigdy nie zdradził, że mu się podoba. Chociaż teraz, kiedy to powiedział, wszystko zaczyna mieć sens. Ostatnio dziwnie się zachowywał.

– To prawda. – Matka kiwa głową.

Czerwone oczy – mam ochotę powiedzieć. Zajadanie się chipsami. Gapienie się w jeden punkt. Znowu chipsy. To musi być miłość, bo cóż innego?

To, co zanosilo się na prawdziwą wojnę, staje się teraz naradą wojenną. Rodzice debatują, co powiedzieć dyrektorowi, zwłaszcza w kwestii ucieczki. Mam nadzieję, że Natasha Lee rzeczywiście chodzi do naszej szkoły, bez względu na to, czy Owen się w niej podkochuje, czy nie. Nie znajduję jej we wspomnieniach Leslie. Jeśli nawet jej imię jest mi znane, w tej chwili zapadło się w nicość.

Teraz, kiedy ojciec dostrzegł wyjście z twarzą z tej sytuacji, stał się wręcz przyjacielski. Karą dla Owena jest posprzątanie pokoju przed obiadem.

Nie wierzę, że zareagowałiby podobnie, gdybym to ja – jako Leslie – pobiła jakąś dziewczynę albo chłopaka.

Idę za Owenem do jego pokoju. Kiedy zamykają się za nami drzwi, odcinając nas od rodziców, mówię:

– To było sprytne.

Spogląda na mnie z nieukrywaną złością.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Wynoś się z mojego pokoju.

To właśnie dlatego wolę być jedynakiem.

Czuję, że Leslie by odpuściła, wobec tego ja też powinienem to zrobić. To zasada, które się trzymam – nie należy zaburzać życia, w którym się znalazłem. Muszę zostawiać je w takim stanie, w jakim je zastałem. Ale jestem wkurzony, wobec czego odchodzę od moich zasad. Myślę, że Rhiannon pochwaliliby to, chociaż nie ma pojęcia, kim jest Owen i Leslie. Kim ja dziś jestem.

– Posłuchaj mnie, ty zakłamanym, naćpanym gnojku. Będiesz dla mnie miły, jasne? I nie tylko dlatego, że chronię ci tyłek, ale ponieważ w tym momencie jestem jedyną osobą na świecie, która cię dobrze traktuje. Jasne?

Zszokowany i może nawet odrobinę skruszony, mamrocze coś na znak zgody.

– To dobrze – mówię i strącam mu z półki parę rzeczy. – Miłego sprzątanania.



Nikt się nie odzywa przy kolacji.
Nie sędzę, żeby to była niezwykła sytuacja.



Czekam, aż wszyscy zasną i włączam komputer. Znajduję w mojej skrzynce adres mailowy oraz hasło do konta Justina i loguję się na jego pocztę.

Jest mail od Rhiannon, wysłany o 22.11.

J,
nie rozumiem, czy zrobiłam coś nie tak? Wczorajszy dzień był taki cudowny, a dzisiaj znów jesteś na mnie zły. Chcę, żebyśmy byli razem. Żeby wszystkie dni kończyły się przyjemną nutą. Nie tak jak dzisiaj.

Z całego serca
R.

Okręcam się na krześle. Chciałbym jej odpowiedzieć, zapewnić ją, że będzie lepiej – ale nie mogę.

Już nim nie jesteś, napominam siebie. Nie ma cię tam.

A potem myślę: Co ja najlepszego zrobiłem?



Słyszę, jak Owen tłucze się po pokoju. Ukrywa dowody? Czy nie może zasnąć ze strachu?

Ciekawe, czy mu się jutro uda.

Chciałbym do niej wrócić. Chciałbym wrócić do wczorajszego dnia.

DZIEŃ 5996

Nie ma wczoraj, jest jutro.

Zasypiając, mam jakiś przebłysk pomysłu, ale gdy się budzę, w przebłysku nie ma ani grama światła.

Dzisiaj jestem chłopakiem. Nazywam się Skylar Smith. Gram w piłkę nożną, jednak nie jestem gwiazdą zespołu. W moim pokoju jest czysto, choć bez przesady. Widzę konsolę.

Jestem gotów wstać. Rodzice jeszcze śpią.

Znajduję się w mieście oddalonym o cztery godziny jazdy od Rhiannon.

To za daleko.

Dzień przebiega bez większych emocji. Jak to często bywa. Jedyne napięcie przynosi mi odpowiednio szybkie wnikanie do umysłu Skylara i znajdowanie potrzebnych informacji.

Najgorszy jest trening. Trener ciągle woła nas po imieniu, muszę jak szalony sprawdzać w umyśle Skylara, kto jest kim. To nie jest jego najlepszy dzień, jeśli chodzi o osiągnięcia, ale najważniejsze, że nie robi z siebie idioty.

Potrafię uprawiać większość sportów, jednak znam swoje ograniczenia. Przekonałem się o tym boleśnie, kiedy miałem jedenaście lat. Obudziłem się w ciele dzieciaka, który przebywał akurat na obozie narciarskim. Pomyślałem sobie: kurczę, jazda na nartach zawsze mi się podobała. Postanowiłem spróbować. Nauczyć się po drodze. Uznałem, że to nie może być aż tak trudne.

Ten mały właśnie awansował z oślej łączki na trudniejszą trasę, a ja nawet nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje coś takiego jak ośła łączka. Myślałam, że jazda na nartach to jak zjeżdżanie na sankach. Każdy stok się nada.

Złamałem mu nogę w trzech miejscach.

Bolało, jak nie wiem co i zastanawiałem się, czy gdy się obudzę następnego dnia, nadal będę odczuwał ból, chociaż przecież znajdę się już w kolejnym ciele. Zamiast bólu czułem coś równie paskudnego – silne, ciężkie, przerażające wyrzuty sumienia. Zupełnie jakbym przejechał go samochodem, zżerało mnie poczucie winy, że przeze mnie znalazł się w szpitalu.

A gdyby umarł... ciekawe, czy ja też umarłbym wraz z nim. Nie dowiem się tego. Choć w sumie nie ma to znaczenia. Czy umrę, czy też obudzę się następnego dnia, jakby nic się nie stało, sama świadomość czyjejś śmierci mnie zniszczy. Dlatego też uważam. Piłka nożna, baseball, hokej na trawie, koszykówka, rugby, pływanie, lekkoatletyka – nie mam z tym problemu, ale obudziłem się kiedyś w ciele hokeisty na lodzie, szermierza, gościa jeżdżącego konno, a ostatnio nawet gimnastyczki.

Odpuściłem sobie te treningi.

Za to jestem naprawdę dobry w grach komputerowych. To powszechne zainteresowanie wszystkich, zupełnie jak telewizja czy internet. Bez względu na to, gdzie się znajdę, zwykle mam dostęp do tych gier, a one mnie wyciszają.

Po treningu kumple Skylara przychodzą do niego pograć w *World of Warcraft*. Gadamy o szkole i o dziewczynach (oprócz Chrisa i Davida, którzy wolą rozmawiać o chłopakach). To najlepszy sposób na marnowanie czasu, bo w rzeczywistości wcale nie jest to zmarnowany czas – człowiek siedzi w otoczeniu przyjaciół, gada o jakichś bzdetach, a czasami także i o poważnych sprawach, patrząc w ekran i przekazując to i owo.

Może nawet dobrze bym się bawił, gdybym był w stanie oderwać się myślami od miejsca, w którym chciałbym się znaleźć.

DZIEŃ 5997

To niesamowite, jak się rozwija następny dzień.

Budzę się wcześnie – o szóstej.

Jako dziewczyna.

Posiadająca samochód i prawo jazdy.

Mieszkająca w mieście oddalonym od Rhiannon zaledwie o godzinę drogi.

Przepraszam w myślach Amy Tran, ruszając spod jej domu pół godziny po pobudce. To, co robię, to bez wątpienia dziwaczna forma porwania. Mam jednak silne przeczucie, że Amy Tran nie miałaby nic przeciwko temu. Gdy się rano ubierałem, do wyboru miałem czerń, czerń, czerń lub... czerń. Ale nie w stylu goth – nie było tam koronkowych rękawiczek – tylko raczej rockowym. Na płycie w samochodowym odtwarzaczu Janis Joplin przeplata się z Brianem Eno. Co dziwne, to udana mieszanka.

Nie mogę się opierać na wspomnieniach Amy, jedziemy bowiem do miejsca, w którym nigdy nie była. Zaraz po prysznicu sprawdziłem drogę na mapie Google, wpisałem adres szkoły Rhiannon, poczekałem, aż ukaże się na ekranie. Proszę, jakie proste. Wydrukowałem ją i wyczyściłem historię.

Jestem bardzo dobry w czyszczeniu historii.

Wiem, że nie powinienem tego robić. Wiem, że tylko rozjątrzam ranę, zamiast wspomóc jej gojenie. Zdaję sobie sprawę, że dla mnie i Rhiannon nie ma przyszłości.

To, co robię, to jedynie przedłużanie przeszłości o jeden dzień.

Zwykli ludzie nie muszą decydować, co jest warte zapamiętania. Hierarchia sama się tworzy, pojawiają się powtórzenia, te same osoby, oczekiwanie, nadzieja, trwałe osadzenie w dłuższej historii. Ja jednak muszę podejmować decyzję co do wagi każdego mojego wspomnienia. Pamiętam zaledwie garstkę osób, a żeby to działało, muszę trzymać się mocno wspomnień: jedyne powtórzenia, jakie są dla mnie dostępne – jedyne sposób, by ponownie zobaczyć tych ludzi – to przywoływanie ich obrazów w umyśle.

Sam wybieram, co chcę zapamiętać, i decyduję się na Rhiannon.

Raz za razem przywołuję jej obraz, wyczarowuję ją przed oczami. Jeśli tego zaniecham, pozwolę jej zniknąć.

Rozbrzmiewa ta sama piosenka, którą słyszeliśmy w samochodzie Justina: *And if I only could, I'd make a deal with God...*

Czuję, że wszechświat próbuje mi coś przekazać. Nie ma znaczenia, czy to prawda, czy nie, najważniejsze, że ja to czuję i w to wierzę.

Rośnie we mnie coś potężnego.

Wszechświat kiwa głową w rytm piosenek.



Staram się zachowywać jak najmniej nudnych, nieistotnych wspomnień z dnia codziennego. Ważne dane – owszem. Przeczytane książki, potrzebne informacje. Jak na przykład zasady gry w piłkę nożną. Fabuła *Romea i Julii*. Numer, pod który należy zadzwonić w nagłych wypadkach. Takie rzeczy pamiętam.

Ale co mam zrobić z tysiącami zwyczajnych wspomnień, tysiącami codziennych informacji, które gromadzi każdy człowiek? Miejsce, w którym leżą kluczyki do samochodu. Urodziny mamy. Imię pierwszego psa. I aktualnego. Kod do szafki w szkole. Położenie szuflady ze sztukami. Numer kanału, na którym jest MTV. Nazwisko najlepszego przyjaciela. Niepotrzebne mi są takie rzeczy. Z czasem mój umysł przystosował się do sytuacji i wszystkie takie dane zapadają się w niebyt, gdy nastaje kolejny ranek.

I dlatego to niezwykle – chociaż niezbyt zaskakujące – że znam dokładne położenie szafki Rhiannon.

Mam nawet gotowe wytłumaczenie, gdyby ktoś mnie pytał: oglądam szkołę, ponieważ moi rodzice zastanawiają się nad przeprowadzką do tego miasta. Nie pamiętam, czy na szkolnym parkingu każdy ma przypisane sobie miejsce – na wszelki wypadek parkuję jak najdalej, a potem wchodzę do szkoły.

Jestem jedną z wielu dziewczyn na korytarzach. Pierwszoklasiści pomyślą, że jestem ze starszej klasy, a uczniowie ze starszych klas – że z młodszej. Mam ze sobą plecak Amy – czarny z elementami anime. Jest wypełniony książkami, które tutaj do niczego by mi się nie przydały. Sprawiam wrażenie osoby, który ma przed sobą konkretny cel. Bo tak jest.

Jeżeli wszechświat chce, żeby to się stało, Rhiannon powinna czekać przy swojej szafce.

Tak sobie mówię i rzeczywiście – stoi tuż przede mną. Czasami pamięć płata figle. Niekiedy piękno prezentuje się najlepiej na odległość. Jednakże nawet z tego miejsca, dziesięć metrów dalej, wiem, że rzeczywistość dokładnie odpowiada moim wspomnieniom.

Pięć metrów.

Nawet na zatłoczonym korytarzu dostrzegam w niej coś, co promieniuje w moją stronę.

Trzy.

Stara się z odwagą przyjmować to, co przynosi jej dzień, a to niełatwe zadanie.

Półtora.

Stoję przed nią, a ona nie ma pojęcia, kim jestem. Mogę tak sobie stać i się jej przyglądać. Widzę, że wrócił jej smutek. Ale nie jest to smutek pełen piękna, bo taki należy do mitów. Smutek zamienia nasze twarze w glinianą maskę, a nie w porcelanę. Rhiannon się ociąga.

– Cześć – mówię cienkim, obcym głosem.

Początkowo nie załapuje, że mówię do niej.

Chwilę później zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

– Cześć – odpowiada.

Zauważyłem, że większość osób instynktownie odnosi się ostro do nieznanomych. Spodziewają się ataku, a każde pytanie może im w czymś przeszkadzać. Rhiannon jest

jednak inna. Nie wie, kim jestem, ale jej to nie zawadza. Nie zakłada od razu najgorszego.

– Nie stresuj się, nie znasz mnie – zapewniam ją pospiesznie. – Tylko... jestem tu po raz pierwszy. Chciałam obejrzeć sobie szkołę, bo może będę do niej chodzić. Spodobała mi się twoja torba i spódniczka i pomyślałam sobie, że – no wiesz – że się przywitam. Bo szczerze mówiąc, jestem tu sama jak palec.

Wiele osób przeraziłyby te słowa. Jednak nie Rhiannon. Podaje mi rękę, przedstawia się i pyta, dlaczego nikt mnie nie oprowadza.

– Nie wiem.

– To może zaprowadzę cię do sekretariatu? Na pewno coś wymyślą.

Wpadam w panikę.

– Nie! – wyrzucam z siebie, po czym próbuję jakoś zamaskować ten wybuch. No i przedłużyć czas spędzony w jej obecności. – Tylko... jestem tu nieoficjalnie. Nawet moi rodzice nie wiedzą, że tu przyjechałam. Powiedzieli mi, że się tu przeprowadzimy i... chciałam zobaczyć miasto i szkołę, i przekonać się, czy mam się czego bać.

Rhiannon kiwa głową.

– Brzmi sensownie. Czyli poszłaś na wagary, żeby odwiedzić naszą szkołę?

– Właśnie tak.

– Do której chodzisz klasy?

– Do drugiej.

– To tak jak ja. Zobaczmy, czy nam się uda. Chcesz iść dzisiaj ze mną na lekcje?

– Byłoby świetnie.

Wiem, że jest zwyczajnie miła, chociaż irracjonalnie pragnę, żeby pojawił się cień rozpoznania. Żeby dostrzegła coś poza tym ciałem, zajrzała w głąb mnie, zauważyła, że jestem tą samą osobą, z którą spędziła popołudnie nad oceanem.

Idę za nią. Po drodze przedstawia mnie swoim koleżankom, z ulgą witam się z każdą, zadowolony, że w jej życiu są też inni ludzie, nie tylko Justin. Widząc, jak włącza mnie do swojej rzeczywistości, jak sprawia, że absolutnie obca osoba może poczuć się częścią jej świata, jeszcze bardziej mi na niej zależy. To, że wzbudza ciepłe uczucia, gdy przebywa w towarzystwie swojego chłopaka, to raz, ale ona zachowuje się podobnie w kontaktach z zupełnie obcą dziewczyną. Przestałem uważać, że jest po prostu miła, teraz sędzę, że to dobroć. A to dowód jej prawdziwego charakteru. Dobroć wiąże się z tym, kim jesteś, a miłe obejście – z tym, jak chcesz wypaść w oczach innych.

Justin pojawia się między drugą a trzecią lekcją. Mijamy go na korytarzu, ledwo dostrzega Rhiannon, a mnie kompletnie ignoruje. Nie zatrzymuje się, tylko kiwa nieznacznie głową. Widzę, że ją to boli, ale nie mówi ani słowa.

Przed matematyką, która przypada na czwartej lekcji, mam wrażenie, że ten dzień zamienił się w bardzo wymyślną postać tortury. Jestem tu, obok niej, ale nie mogę nic zrobić. Nauczyciel lewituje w świecie twierdzeń matematycznych, a ja siedzę w milczeniu. Piszę do niej liścik, to wymówka, żebym mógł dotknąć jej ramienia, przekazać parę słów. Jednak nie niosą żadnej ważnej treści. To słowa nieznajomej.

Chciałbym się dowiedzieć, czy ją zmieniłem. Czy tamten dzień ją zmienił, choćby tylko chwilowo.

Pragnę, żeby mnie zobaczyła, chociaż wiem, że to niemożliwe.



Justin dołącza do nas podczas obiadu.

Dziwnie widzieć znów Rhiannon, dowiadywać się, że jest dokładnie taka, jaką ją zapamiętałem, ale jeszcze dziwniejszym doświadczeniem okazuje się siedzenie naprzeciwko kretyna, którego ciało zamieszkiwałem zaledwie trzy dni temu. Wspomnienia z lustra wcale mi nie pomagają. Justin jest przystojniejszy, niż sądziłem, a jednocześnie brzydszy. Ma atrakcyjne rysy twarzy, ale to, co z nimi robi, już takie się nie wydaje. Ma przyklejony grymas osoby, która nie potrafi ukryć swojego poczucia niższości. Jego wzrok ciska gromy, a cała sylwetka świadczy o zuchwałości w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak.

Musiał wydawać się nie do poznania, gdy znalazłem się w jego skórze.

Rhiannon wyjaśnia mi, kim jestem i skąd przyjechałam, a on daje wyraźnie odczuć, że ma to gdzieś. Mówi, że zostawił w domu portfel, więc ona idzie kupić mu coś do jedzenia. Kiedy wraca, dziękuje jej, a ja czuję się niemal rozczarowany. Jestem pewien, że to zwyczajne słowo podziękowania urośnie w jej oczach do czegoś wielkiego.

Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tamtym dniu, o tym, co on z niego pamięta.

– Jak daleko stąd do oceanu? – zwracam się do Rhiannon.

– To zabawne, że pytasz – odpowiada. – Pojechaliśmy tam ostatnio, droga zabrała nam jakąś godzinę.

Patrzę na niego, znów oczekuję jakiegoś przebłysku. Ale on tylko je.

– Fajnie było? – pytam go.

Odpowiada Rhiannon:

– Cudownie.

On nadal milczy, więc próbuję ponownie:

– To ty prowadziłeś?

Spogląda na mnie, jakbym zadawał wyjątkowo idiotyczne pytania – co zapewne nie mija się z prawdą.

– Tak, ja. – To wszystko, na co go stać.

– Było wspaniale – ciągnie Rhiannon. Widzę, że uszczęśliwia ją wspomnienie tamtych chwil. A to tylko pogłębia mój smutek.

Nie powinienem był tu przyjeżdżać. Nie trzeba było próbować.

Powinienem sobie iść.

Ale nie mogę. Jestem z nią. Staram się udawać, że tylko to się liczy.

Gram dalej.



Wcale nie chcę się w niej kochać. Nie chcę być zakochany.

Ludzie zwykle zakładają, że miłość będzie trwała, tak samo jak wierzą w trwałość swojego ciała. Nie zdają sobie sprawy, że najlepsza w miłości jest jej regularna obecność w życiu. Kiedy już do tego dojdą, zyskają dodatkowy fundament. Jeśli jednak nie można liczyć na jej regularną obecność, wtedy zostaje w życiu tylko jedna podwalina.



Siedzi tuż obok, a ja mam ochotę musnąć jej ramię. Pocałować w szyję. Szepnąć prawdę do ucha.

Zamiast tego przyglądam się, jak odmienia czasowniki. Przysłuchuję się, jak powietrze w klasie wypełnia się obcym językiem, wypowiedanym w przypadkowych porywach.

Próbuję coś rysować w zeszytach, ale kiepski ze mnie artysta, więc wychodzą mi niewłaściwe kształty i koślawe linie. Nie mogę przywiązywać się do niczego, co wiąże się z nią.



Dzwoni ostatni dzwonek. Rhiannon pyta mnie, gdzie zaparkowałem, a wtedy wiem, że to koniec. Zapisuje na kartce swój adres mailowy. To pożegnanie. Być może rodzice Amy Tran zadzwonili już na policję. Może godzinę drogi stąd rozpoczęło się zakrojone na szeroką skalę poszukiwanie. To okrutne z mojej strony, ale zupełnie się tym nie przejmuję. Chciałbym, żeby Rhiannon zaproponowała mi wspólne wyjście do kina, zaprosiła mnie do siebie albo zasugerowała, że wybierzemy się na plażę. Wtedy pojawia się Justin. Zniecierpliwiony. Nie wiem, co zamierzają robić, jednak mam złe przeczucia. Nie byłby aż tak natarczywy, gdyby w grę nie wchodził seks.

– Odprowadzisz mnie do samochodu? – pytam.

Szuka wzrokiem pozwolenia u Justina.

– Pójdę po auto – mówi on.

Mamy więc dla siebie tyle czasu, ile potrzeba na przejście do parkingu. Wiem, że muszę coś od niej uzyskać, ale nie jestem pewien, co.

– Powiedz mi coś, czego nikt o tobie nie wie – proszę.

– Słucham? – Patrzy na mnie dziwnie.

– Zawsze proszę ludzi, żeby powiedzieli mi o sobie coś, czego nikt inny nie wie. To nie musi być nic wielkiego. Po prostu cokolwiek.

Kiedy załapuje, o co mi chodzi, widzę, że podoba jej się to wyzwanie. Jeszcze bardziej ją za to lubię.

– Okej – odpowiada. – Kiedy miałam dziesięć lat, próbowałam przebić sobie ucho igłą do szycia. Doszła do połowy, a wtedy zemdlałam. W domu nie było nikogo, więc nikt nie wiedział. Oprzytomniałam z igłą wbitą do połowy ucha i kroplami krwi na koszulce. Wyciągnęłam ją, posprzątałam i już więcej tego nie próbowałam. Dopiero w wieku czternastu lat poszłam z mamą do centrum handlowego, żeby przebić uszy. Nie miała pojęcia o mojej wcześniejszej próbie. A co ty mi powiesz?

Mam tyle egzystencji do wyboru, niestety większości z nich nie pamiętam.

Nie pamiętam też, czy Amy Tran ma przebite uszy, więc to musi być inny temat.

– Kiedy miałam osiem lat, wykradłam siostrze *Forever*^[2] Judy Blume. Pomyślałam, że skoro napisała ją autorka *Superfudge*, to musi być dobra książka. No cóż, szybko zrozumiałam, dlaczego moja siostra trzymała ją pod łóżkiem. Nie jestem pewna, czy wszystko dobrze zrozumiałam, ale stwierdziłam, że to jawna niesprawiedliwość: chłopak może nazwać swój... eee... narząd, a dziewczyna nie może swojego? Więc nadałam mojemu imię.

Rhiannon śmieje się.

– Jakie?

– Helena. Wieczorem przy kolacji przedstawiłam ją wszystkim. Poszło naprawdę dobrze.

Dochodzimy do mojego samochodu. Rhiannon nie wie, czym przyjechałam, ale za nami już nic nie stoi, więc nie możemy iść dalej.

– Bardzo miło było cię poznać – mówi. – Mam nadzieję, że zobaczymy się w przyszłym roku.

– Ja też – odpowiadam. – I mnie również było bardzo miło.

Dziękuję jej na pięć różnych sposobów. A potem podjeżdża Justin i trąbi.

Nasz czas dobiegł końca.



Rodzice Amy Tran nie zadzwonili na policję. Nawet nie wrócili jeszcze do domu. Sprawdzam nagrane wiadomości, ale szkoła się nie kontaktowała.

To jedyne szczęście, jakie mnie dzisiaj spotkało.

DZIEŃ 5998

Ledwo się budzę, a wiem, że coś jest nie tak. Coś chemicznego.

To nawet nie jest rano. Spałem do południa. Ponieważ moje ciało siedziało do późna w nocy, ćpając. Teraz też chciałoby znaleźć się na haju. Natychmiast.

Już wcześniej trafiłem do ciała miłośnika trawki, budziłem się nadal pijany po imprezie

z poprzedniego wieczora. Jednakże to coś gorszego, o wiele gorszego. Dzisiaj nie będzie szkoły. Nie będzie budzących mnie rodziców. Jestem sam, znajduję się w brudnym pomieszczeniu, leżę na brudnym materacu, przykryty kocem, który wygląda, jakby został ukradziony jakiemuś dziecku. Z sąsiednich pomieszczeń dobiegają mnie wrzaski.

Czasami zdarza się, że ciało przejmuje całe życie. Zdarza się, że pragnie, domaga się, dyktuje warunki. Człowiek nie ma pojęcia, że podarowuje mu klucz do życia, a jednak to robi. A wtedy ciało przejmuje kontrolę. Człowiek pogrzebie w instalacji nerwowej i instalacja zaczyna rządzić.

Wcześniej doświadczyłem jedynie przebłysków czegoś takiego, teraz czuję to naprawdę. Czuję, jak mój umysł zaczyna od razu walczyć z ciałem. Nie jest łatwo. Nie wyczuwam żadnej przyjemności, muszę więc znaleźć odpowiednie wspomnienie. Muszę trzymać się tego, że jestem tu zaledwie na jeden dzień i muszę go jakoś przetrwać.

Próbuję z powrotem zasnąć, ale ciało mi na to nie pozwala. Ono jest rozbudzone i dobrze wie, czego mu potrzeba.

Wiem, co muszę zrobić, chociaż nie mam pojęcia, co się dzieje. Nigdy wcześniej nie znalazłem się w podobnej sytuacji, jednak nie raz musiałem walczyć z własnym organizmem. Byłem już chory, i to poważnie, a wtedy jedyne, co miałem do zrobienia, to przetrwać dzień. Początkowo sądziłem, że będę mógł w tym krótkim czasie zdziałać coś, co polepszy sytuację, lecz wkrótce poznałem własne ograniczenia. Nie da się zmienić ciała w jeden dzień, zwłaszcza jeśli to nie umysł tak naprawdę sprawuje nad nim kontrolę.

Nie chcę stąd wychodzić, bo jeśli to zrobię, wszystko się może zdarzyć. Rozglądam się z rozpaczą w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mi pomóc. Mój wzrok pada na zdezelowany regał, na którym stoi parę starych książek. Stwierdzam, że to one mnie uratują. Otwieram thriller i skupiam się na pierwszej linijce. „Ciemność spłynęła na Manassas w stanie Wirginia...”^[3]

Ciało nie chce czytać, bo aż pulsuje od tkwiącego w nim naelektryzowanego drutu kolczastego. Próbuje mnie przekonać, że istnieje tylko jeden sposób, by to zmienić, jeden sposób, żeby zakończyć ból i poczuć się lepiej. Moje ciało mnie zabije, jeśli go nie posłucham. Wrzeszczy na mnie, forsuje działanie według swojej własnej logiki.

Czytam drugie zdanie.

Zamykam zamek w drzwiach.

Czytam trzecie zdanie.

Organizm kontratakuję. Trzęsą mi się ręce, pojawiają się zaburzenia widzenia. Nie jestem pewien, czy mam w sobie dość siły, by się temu oprzeć.

Przekonuję siebie, że po drugiej stronie znajduje się Rhiannon. Że to wcale nie jest bezsensowne życie, nawet jeśli mój organizm próbuje mi to wmówić.

Mój organizm wymazał wszystkie wspomnienia, żeby zrobić miejsce dla swoich argumentów. Nie mam za bardzo w co wnikać, muszę więc oprzeć się na moich własnych wspomnieniach, niezwiązanych z tym ciałem.

Muszę odseparować się od tego wszystkiego.

Czytam następne zdanie, i jeszcze kolejne. Nie interesuje mnie ta opowieść. Przesuwam się od słowa do słowa, walcząc od słowa do słowa z moim ciałem.

Bezskutecznie. Mój organizm daje mi do zrozumienia, że chce oddać kał i zwymiotować. Najpierw normalnie, a potem odwrotnie: załatwić się przez usta i zwymiotować drugim końcem. Wszystko się pomieszało. Mam ochotę drapać ściany paznokciami. I krzyczeć. Uderzać siebie bez końca.

Muszę sobie wyobrazić umysł jako fizyczną rzecz, coś, co może zapanować nad ciałem. Muszę sobie wyobrazić, jak umysł przytrzymuje ciało.

Czytam następne zdanie.

I następne.



Ktoś łomocze do drzwi. Wrzeszczę, że jestem zajęty czytaniem.

Zostawiają mnie w spokoju.

I tak nie mam tego, czego chcą.

To, czego chcą, znajduje się poza tym pomieszczeniem.

Nie wolno mi stąd wychodzić.

Nie wolno mi wypuszczać mojego ciała z tego pokoju.

Wyobrażam sobie, jak idzie korytarzem. Jak siedzi obok mnie. Wyobrażam sobie, że jej wzrok napotyka mój.

A potem wyobrażam sobie, jak wsiada do jego samochodu i przestaję o niej myśleć.



Moje ciało mnie zatruwa. Robię się wściekły: że tu jestem, że moje życie wygląda tak, a nie inaczej. Że tyle rzeczy pozostaje poza moimi możliwościami.

Jestem wściekły na siebie.

„Nie chcesz tego powstrzymać?” – pyta moje ciało.

Muszę odejść od niego jak najdalej.

Chociaż przecież tkwię w jego środku.



Muszę iść do łazienki. Koniecznie muszę skorzystać z łazienki.

Ostatecznie sikam do butelki po napoju, rozpryskując mocz dookoła.

Ale to i tak lepsze niż wyjście z tego pokoju.

Jeśli stąd wyjdę, nie powstrzymam mojego ciała i dostanie to, czego tak bardzo pragnie.



Jestem na dziewięćdziesiątej stronie, ale nie pamiętam nic z tego, co przeczytałem.
Słowo po słowie.



Walka wyczerpuje moje ciało.
Wygrywam.



To błąd myśleć o ciele jako o naczyniu, przecież jest tak samo aktywne jak umysł i dusza. A im bardziej się człowiek mu poddaje, tym trudniejsze będzie jego życie. Tkwiłem już w ciele kogoś, kto głoduje, kto oczyszcza swój organizm, w ciele obżartucha i osoby uzależnionej. Wszyscy ci ludzie uważają, że dzięki podejmowanym działaniom ich życie jest lepsze, ale w końcu ciało i tak nad nimi zwycięża.

Byłe tylko ta porażka nie nastąpiła w czasie, w którym ja to ciało zajmuję.



Udaje mi się wytrwać do zachodu słońca. Dwieście sześćdziesiąt pięć stron. Trzęsę się pod plugawym kocem. Nie wiem, czy to kwestia temperatury panującej w pomieszczeniu, czy mojego organizmu.

Już prawie – mówię sobie.

Moje ciało próbuje mnie przekonać, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. W tym momencie nie jestem pewien, czy ma na myśli narkotyki czy śmierć.

Podejrzewam, że to może nawet nie mieć znaczenia.



Wreszcie ciało chce iść spać.
Pozwalam mu na to.

DZIEŃ 5999

Umysł mam kompletnie wyprany, ale wiem, że Nathan Daldry porządnie się wyspał.

Nathan to dobry chłopak. W jego pokoju panuje idealny porządek. Chociaż jest dopiero sobota rano, zrobił wszystkie lekcje na poniedziałek. Ustawił budzik na ósmą, by nie zmarnować dnia. Zapewne o dwudziestej drugiej był już w łóżku.

Siadam przy jego komputerze i sprawdzam pocztę. Piszę kilka notek o ostatnich dniach, żeby je zapamiętać. A potem loguję się do skrzynki Justina i dowiaduję się, że dzisiaj wieczorem jest impreza u Steve'a Masona. Adres Steve'a znajduję w wyszukiwarce Google. Gdy sprawdzam odległość dzielącą dom Nathana i dom Steve'a, okazuje się, że dzieli je dziewięćdziesiąt minut drogi.

Hmm, chyba Nathan pojedzie dzisiaj na imprezę.



Najpierw muszę przekonać jego rodziców.

Mama przerywa mi, gdy loguję się do swojej skrzynki i czytam to, co napisałem o dniu spędzonym z Rhiannon. Pospiesznie zamykam okno i nie oponuję, kiedy przypomina, że dzisiaj nie jest dzień komputerowy, a poza tym mam zejść na śniadanie.

Szybko się przekonuję, że rodzice Nathana to bardzo mili ludzie, którzy wychodzą z założenia, że ich miłego podejścia nie należy ani kwestionować, ani wystawiać na próbę.

– Czy mogę pożyczyć samochód? – pytam. – Dzisiaj jest szkolny musical, chciałbym go zobaczyć.

– A odrobiłeś lekcje?

Kiwam głową.

– Prace domowe?

– Zrobię.

– Wrócisz przed północą?

Potwierdzam. Postanawiam nie wspominać o tym, że jeśli nie wrócę do północy, zostanę wyrwany z zamieszkiwanego ciała. Chyba by im się to nie spodobało.

Nie mam wątpliwości co do tego, że wieczorem nie będą korzystali z auta. Należą do tych rodziców, którzy nie uznają życia towarzyskiego. Zamiast tego mają telewizję.

Przez większość dnia pomagam w domu. Kiedy zrobię wszystko, co trzeba, i zjem obiad z rodziną, mogę jechać.



Impreza ma zacząć się o siódmej. Wiem, że będę musiał poczekać do dziewiątej, bo dopiero wtedy zjawi się wystarczająco dużo ludzi, żeby moja obecność stała się niezauważalna. Jeśli wejdem, kiedy w środku będzie zaledwie parę osób, będę musiał się cofnąć. Uznaję jednak, że na tak mało liczne imprezy Justin z pewnością nie chodzi, to nie jego bajka.

Natomiast Nathana najbardziej interesowałyby zapewne imprezy z planszówkami i Dr Pepper. W drodze do miasta Rhiannon wnikam w jego wspomnienia. Głęboko wierzę, że każdy człowiek ma przynajmniej jedną dobrą historię do opowiedzenia. Niestety, u Nathana trudno taką znaleźć. Jedyny cień emocji, jaki znajduję w jego życiu, dotyczy przeszłości, gdy miał dziewięć lat i odszedł jego pies April. Od tamtej pory nic specjalnie nim nie wstrząsnęło. Większość jego wspomnień wiąże się z zadaniami domowymi. Ma przyjaciół, lecz rzadko robią cokolwiek razem poza szkołą. Kiedy wyrósł z Małej Ligii, porzucił sport. Z tego, co widzę, nigdy w życiu nie pił niczego mocniejszego niż piwo, a i to miało miejsce na grillu z okazji Dnia Ojca, bo skłonił go do tego wujek.

Zwykle potraktowałbym to jako wyznacznik. W normalnych okolicznościach nie wychylałbym się z bezpiecznej strefy.

Ale nie dzisiaj. Nie, skoro mam okazję znów zobaczyć Rhiannon.

Pamiętam wczorajszy dzień i to, że cienka nić w jakiś sposób prowadząca do niej potrafiła mi przetrwać potworny mrok. Być może rozumiem to opacznie, może po prostu potrzebuję celu w życiu i dlatego się w niej zakochuję. Uważam jednak, że to nie tak. Sądzę, że gdybym jej nie spotkał, wiódłbym dalej nieświadome życie.

A teraz pozwalam, żeby moje życie zawładnęło życiem osób, których ciała zamieszkują. Nie trzymam się ich bezpiecznej strefy, chociaż wiem, czym to grozi.



Podjeżdżam pod dom Steve'a Masona koło dwudziestej, ale nigdzie nie widzę samochodu Justina. W ogóle niewiele jest aut. Siedzę więc i czekam, aż w końcu ludzie zaczynają się zjeżdżać. Chociaż spędziłem półtora dnia w ich szkole, nikogo nie poznaję. Widocznie kręcili się na uboczu.

Wreszcie, tuż po wpół do dziesiątej, pojawia się Justin. Rhiannon przyjechała razem z nim, na co liczyłem. Gdy wysiadają, on idzie przodem, ona nieco za nim. Wsiadam z mojego samochodu i ruszam ich śladem.

Boję się, że ktoś będzie stał przy drzwiach, jednak impreza już się rozkręciła i wewnątrz panuje chaos. Ci, którzy przyjechali wcześniej, są na granicy upicia, a reszta stara się nadrobić zaległości. Zdaję sobie sprawę, że się wyróżniam – garderoba Nathana pasuje bardziej do oficjalnej debaty niż sobotniej imprezy – na szczęście nikt nie zwraca na to uwagi. Wszyscy są zbyt zajęci sobą albo swoimi towarzyszami, by zauważyć jakiegoś przypadkowego dziwaka.

Światła są przygaszone, muzyka gra głośno, mam trudności ze znalezieniem Rhiannon.

Jednakże już sam fakt, że znalazłem się w tym samym budynku co ona, wzbudza moje nerwowe podekscytowanie.

Justin jest w kuchni, gada z kolegami. Wygląda na wyluzowanego, jakby znalazł się w swoim żywiole. Kończy piwo i natychmiast zabiera się za następne.

Mijam go, przechodzę przez pokój dzienny i trafiam do saloniku. Ledwo przekraczam próg, a wiem, że ona tam jest. Chociaż z głośników podłączonych do laptopa grzmi muzyka, ona pochyla się nad zbiorem płyt i przerzuca opakowania. Obok rozmawiają dwie dziewczyny, mam przeczucie, że wcześniej ona także była zaangażowana w tę rozmowę, ale postanowiła się z niej wyłączyć.

Podchodzę i zauważam, że jedna z płyt, na którą patrzy, zawiera piosenkę znaną mi z naszej wspólnej jazdy nad ocean.

– Podoba mi się ta muza – mówię, machając w kierunku płyt. – A tobie?

Przestraszyłem ją, zupełnie jakbym swoim stwierdzeniem przerwał głęboką ciszę. „Zauważam cię – mam ochotę powiedzieć. – Dostrzegam cię, nawet jeśli nikt inny tego nie robi. I zawsze będę cię dostrzegał”.

– Tak – mówi. – Mnie także.

Zaczynam śpiewać piosenkę, tę z samochodu. A potem mówię:

– A najbardziej podoba mi się ten kawałek.

– Czy my się znamy? – pyta.

– Jestem Nathan – odpowiadam, co nie jest ani zaprzeczeniem, ani potwierdzeniem.

– A ja Rhiannon.

– Śliczne imię.

– Dzięki. Kiedyś go nienawidziłam, ale już mi przeszło.

– Dlaczego?

– Bo nikt nie wie, jak je napisać. – Przygląda mi się uważnie. – Chodzisz do Octaviana?

– Nie. Przyjechałem tu tylko na weekend. Do kuzyna.

– A kto jest twoim kuzynem?

– Steve.

To ryzykowne kłamstwo, zważywszy na fakt, że nie mam pojęcia, który to Steve i nie wiem, jak to sprawdzić.

– To wiele wyjaśnia.

Już zaczyna się odsuwać ode mnie, zapewne w taki sam sposób odsunęła się wcześniej od swoich koleżanek.

– Nie cierpię mojego kuzyna – mówię.

To zwraca jej uwagę.

– Nienawidzę tego, jak traktuje dziewczyny, i jego przekonania, że może kupić sobie przyjaciół, organizując takie imprezy jak ta. I że rozmawia z tobą tylko wtedy, gdy czegoś potrzebuje. Nie cierpię tego, że jest chorobliwie niezdolny do miłości.

Zdaję sobie sprawę, że nie mówię wcale o Stevie, tylko o Justinie.

– W takim razie, dlaczego tu jesteś?

– Ponieważ chcę zobaczyć, jak to się wszystko sypie. Bo kiedy ta impreza zostanie przerwana – a jeśli nadal będzie taka głośna, to z pewnością tak się stanie – chcę być świadkiem. Oczywiście, z bezpiecznej odległości.

– Chcesz powiedzieć, że on jest niezdolny do kochania Stephanie? Przecież chodzą ze sobą od ponad roku.

Przepraszając w duchu Steve’a i Stephanie, mówię:

– To nic nie znaczy, prawda? Związek trwający ponad rok może oznaczać, że kochasz tę drugą osobę, ale równie dobrze możesz tkwić w pułapce.

Początkowo myślę, że przesadziłem. Przeczuję, że Rhiannon analizuje moje słowa, jednak nie mam pojęcia, co z nimi robi. Wypowiedane słowa brzmią zupełnie inaczej w uszach słuchacza, bo mówca słyszy je niejako od środka. W końcu Rhiannon się odzywa:

– Mówisz z własnego doświadczenia?

To zabawne, gdy się pomyśli, że Nathan – który, z tego, co widzę, nie był na randce od zakończenia szkoły podstawowej – miałby mówić z autopsji, ale ona go nie zna, co oznacza, że mogą być sobą. Nie, żebym ja miał jakieś doświadczenie w tej materii. Raczej doświadczenie w obserwacji.

– Jest mnóstwo rzeczy, które trzymają człowieka w związku – wyjaśniam. – Strach przed samotnością. Obawa, że zaburzy się spokój w życiu. Decyzja trwania przy czymś, co jest przeciętne, bo nigdy nie wiesz, czy przypadkiem nie zmieni się na lepsze. A może chodzi o irracjonalne przekonanie, że jednak wszystko będzie lepiej, nawet jeśli człowiek ma pewność, że on się nigdy nie zmieni.

– On?

– Uhm.

– Rozumiem.

Początkowo nie wiem, co ona rozumie – przecież mówiłem o niej. A potem dociera do mnie, co wywnioskowała z użycia takiego, a nie innego zaimka.

– Nie masz z tym żadnego problemu? – pytam. Uznaję, że może poczuje się bezpieczniej, sądząc, że Nathan jest gejem.

– Absolutnie żadnego.

– A ty? – pytam. – Spotykasz się z kimś?

– Tak – odpowiada. I dodaje bez emocji: – Od ponad roku.

– Dlaczego nadal jesteście razem? Strach przed samotnością? Chęć stabilizacji? Czy irracjonalne przekonanie, że on się zmieni?

– Tak, tak i tak.

– A więc...

– Ale on potrafi być cudowny. I wiem, że w głębi duszy jestem dla niego pępkiem świata.

– W głębi duszy? To brzmi jak chęć stabilizacji. Człowiek nie powinien zapuszczać się tak głęboko, żeby znaleźć w sobie miłość.

– Zmieńmy temat, dobrze? To nie jest rozmowa na imprezę. Zdecydowanie wolałam,

kiedy mi śpiewałeś.

Już mam wspomnieć o innej piosence, której słuchaliśmy podczas naszej podróży na plażę – z nadzieją, że może jakimś cudem mi ją to przywróci – a wtedy zza mojego ramienia rozlega się głos Justina.

– Kto to? – Jeśli wcześniej, w kuchni, był zrelaksowany, teraz wydaje się wkurzony.

– Nie martw się. On jest gejem.

– Przecież widzę po jego ciuchach. Co tu robisz?

– Nathan, to Justin, mój chłopak. Justin – to Nathan.

Mówię „cześć”, ale on nie odpowiada.

– Widziałaś Stephanie? – pyta. – Steve jej szuka. Chyba znowu się zesłi.

– Może jest w piwnicy.

– Niiieee, tam tańczą.

Widzę, że Rhiannon jest podekscytowana tą wiadomością.

– Masz ochotę potańczyć? – pyta Justina.

– Jeszcze czego! Nie przyjechałem tu tańczyć, tylko pić.

– Jakież to urocze – odpowiada Rhiannon, chyba bardziej (jak sędzę) ze względu na mnie. – Będiesz miał coś przeciwko, jeśli potańczę z Nathanem?

– A jesteś pewna, że to gej?

– Mogę ci zaśpiewać kawałki z musicali, jeśli potrzebujesz dowodu – zgłaszam się.

Justin klepie mnie po plecach.

– Lepiej tego nie rób, koleś. Idźcie tańczyć.

I tak oto Rhiannon prowadzi mnie do piwnicy domu Steve’a Masona. Gdy wchodzimy na schody, pod stopami czujemy brzmienie basów. Tutaj rozbrzmiewa zupełnie inna muzyka – miarowe uderzenia i rytmy. Świecą się jedynie czerwone lampki, więc widzimy zaledwie zarysy zlewających się ze sobą par.

– Hej, Steve! – woła Rhiannon. – Polubiłam twojego kuzyna!

Gość, który najwidoczniej jest Stevem, kiwa głową. Nie wiem, czy nie usłyszał, co powiedziała, czy jest tak pijany.

– Widziałaś Stephanie? – wrzeszczy.

– Nie! – odkrzykuje mu Rhiannon.

Wchodzimy na parkiet. Smutna prawda jest taka, że mam mniej więcej takie samo doświadczenie taneczne jak Nathan. Staram się zatracić w muzyce, ale to niespecjalnie działa. Więc próbuję zatracić się w Rhiannon. Poddać całkowicie jej osobie, stanowić jej cień, jej uzupełnienie, drugi element pasujących do siebie połówek. Znaleźliśmy nasz wspólny rytm i się go trzymamy. Łapię się na tym, że śpiewam razem z wokalistą, śpiewam jej, i najwyraźniej budzi to jej aplauz. Znowu przeradza się w beztroską dziewczynę, a ja przeradzam się w kogoś, dla kogo liczy się tylko ona.

– Nie jesteś taki najgorszy! – Rhiannon próbuje przekrzyknąć muzykę.

– A ty jesteś świetna! – odkrzykuję.

Wiem, że Justin tu nie zejdzie. Czuje się bezpiecznie, wiedząc, że jestem

homoseksualnym kuzynem Steve'a Masona, a ja czuję się równie bezpiecznie ze świadomością, że nikt nam nie przeszkodzi. Jedna romantyczna piosenka przechodzi w drugą, zupełnie jakby kolejni wokaliści przejmowali pałeczkę od swoich poprzedników, a każdy starał się nam coś podarować. Fale dźwiękowe pchają nas w swoje objęcia, oplatają nas niczym barwy. Jesteśmy skupieni na sobie nawzajem i na mocy, która nas wypełnia. Nie czujemy sufitu ani ścian. Dookoła znajduje się jedynie otwarte pole naszej ekscytacji, poruszamy się drobnymi krokami, niekiedy nasze stopy nie odrywają się nawet od ziemi. Tańczymy tak długo, wydaje się, że niezliczone godziny, a jednocześnie to tylko ułamek chwili. Tańczymy, dopóki ktoś nie zapali światła, nie wyłączy muzyki i nie powie, że to koniec imprezy, bo sąsiedzi narzekają na hałas i pewnie zaraz zjawi się tu policja.

Rhiannon wydaje się tak samo rozczarowana jak ja.

– Muszę odszukać Justina – mówi. – Dasz sobie radę?

Mam ochotę powiedzieć, że nie. Nie dam sobie rady, dopóki nie pójdzie ze mną tam, gdzie poniesie mnie teraz los.

Proszę ją o adres mailowy, a kiedy unosi brwi, wyjaśniam, że w dalszym ciągu jestem gejem.

– Niedobrze – mówi. Chciałbym, żeby powiedziała coś więcej, ale ona dyktuje mi swój adres, a wtedy ja podaję jej fikcyjne namiary na konto, które zamierzam założyć zaraz po powrocie do domu.

Ludzie uciekają. W oddali słychać policyjne syreny, z pewnością obudziły tyle samo osób co nasza impreza. Nie widzę glin, bo pędzę do swojego auta. Wiem, że jest późno, jednak dopiero, gdy wsiadam do samochodu i patrzę na wyświetlacz, uświadamiam sobie, jak bardzo.

Dwudziesta trzecia piętnaście.



Nie ma mowy, żebym zdążył przed północą.

Sto dziesięć na godzinę.

Sto dwadzieścia.

Sto trzydzieści.

Jadę jak najszybciej się da, lecz to i tak zbyt wolno.

Za dziesięć dwunasta zjeżdżam na pobocze. Jeżeli zamknę oczy, uda mi się zasnąć przed północą. Potrafię bardzo szybko zapadać w sen.

Biedny Nathan Daldry. Obudzi się przy drodze międzystanowej, godzinę jazdy od domu. Mogę sobie wyobrazić, jaki będzie przerażony.

Jestem potworem, robiąc mu coś takiego.

Ale mam swoje powody.

DZIEŃ 6000

Czas, żeby Roger Wilson udał się do kościoła.

Szybko zakładam najlepsze niedzielne ubranie, które albo on sam, albo jego matka przygotowała poprzedniego wieczoru. A potem schodzę na dół i jem śniadanie z mamą oraz trzema siostrami. Na horyzoncie nie widać ojca. Nie szukając zbyt wnikliwie, szybko znajduję informację, że odszedł zaraz po narodzinach najmłodszej córki. Od tego czasu matka z trudem wiąże koniec z końcem.

W domu znajduje się tylko jeden komputer. Muszę odczekać, aż mama Rogera zajmie się przygotowaniem córek do wyjścia, dopiero wtedy mogę szybko go włączyć i stworzyć konto mailowe, które podałem wczoraj Rhiannon. Pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że do tej pory nie próbowała się ze mną skontaktować.

Wywołują mnie – czas wychodzić do kościoła. Wylogowuję się, czyszczę historię i dołączam do siedzących w aucie sióstr. Mija kilka minut, zanim jestem w stanie powiedzieć, która jak ma na imię – Pam ma jedenaście lat, Lacey dziesięć, a Jenny – osiem. Tylko Jenny cieszy się z wyprawy na mszę.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, dziewczęta udają się do szkoły niedzielnej, a ja wraz z matką idę do głównego zgromadzenia wiernych. Przygotowuję się do obrządku baptystów, próbując przypomnieć sobie, co odróżnia go od innych nabożeństw, w których uczestniczyłem.

Przez lata miałem okazję uczestniczyć w wielu różnych obrządkach religijnych, a każdy z nich utwierdza mnie tylko w przekonaniu, że wszystkie religie mają ze sobą o wiele więcej wspólnego niż ktokolwiek jest skłonny przyznać. Tylko opowieści się różnią. Każdy człowiek chce wierzyć w jakąś wielką siłę. Każdy czuje silną potrzebę przynależności, a przy tym towarzystwa. Ludzie pożądamy mocy ziemskiego dobra, poszukują bodźca, by stać się jej częścią. Chcą udowodnić swoją wiarę i przynależność poprzez rytuały i modły. Pragną dotknąć tej wielkiej siły.

Dopiero w szczegółach sprawa się komplikuje i pojawia się kość niezgody: niemożność zrozumienia, że bez względu na przekonania religijne, rasę oraz pochodzenie geograficzne wszyscy jesteśmy w 98% podobni do siebie. Owszem, istnieją biologiczne różnice między płciami, ale jeśli potraktuje się biologię jako kwestię procentów, te dysproporcje nie są aż tak wielkie. Rasy różnią się między sobą wyłącznie pod względem konstrukcji społecznej, a nie cech wrodzonych. A religie – czy człowiek wierzy w Boga, w Jahwe czy Allaha, najprawdopodobniej chodzi mu o to samo. Nie wiedzieć czemu, lubimy skupiać się na tych dwóch procentach, które nas dzielą, i większość konfliktów na świecie wynika właśnie z tego.

Jestem w stanie nawigować przez moje życie tylko dzięki tym 98 procentom podobieństw.

Myślę o tym w czasie nabożeństwa. Zerkam co chwilę na matkę Rogera, która wydaje

się taka zmęczona i przytłoczona. Wierzę w nią tak samo jak w Boga – pokładam ufność w wytrzymałość ludzką, niedającą się nawet wtedy, gdy życie rzuca pod nogi jedną kłodę za drugą. Być może to także zobaczyłem w Rhiannon – chęć wytrwania.

Po mszy jedziemy do babki Rogera na niedzielny obiad. Nie ma tam komputera, a nawet gdyby był, nie miałbym szansy skontaktować się z Rhiannon. Traktuję więc ten dzień jako odpoczynek. Gram z siostrami w gry, a kiedy przychodzi czas na odmówienie modlitwy przed jedzeniem, splatam dłonie z moją rodziną.

Jedyny dysonans pojawia się w drodze powrotnej, gdy na tylnym siedzeniu wybucha awantura. Jako siostry wszystkie trzy dziewczyny mają zapewne niemal 99 procent wspólnych cech, ale zupełnie nie zdają sobie z tego sprawy. Wolą kłócić się o to, jakie zwierzątko dostaną... chociaż nic nie wskazuje na to, by w najbliższej przyszłości coś takiego miało się ziścić. To kłótnia dla samej zasady.

Gdy wracamy do domu, nie spieszę się z pytaniem, czy mogę skorzystać z komputera. Stoi w bardzo widocznym miejscu i żeby sprawdzić pocztę, muszę poczekać, aż wszyscy znajdą się w innych pomieszczeniach. Moje siostry kręcą się po domu, więc idę do pokoju Rogera i odrabiam jego lekcje najlepiej, jak potrafię. Liczę na to, że Roger chodzi spać później niż jego siostry, i jak się okazuje, mam rację. Po kolacji dziewczęta mają godzinę na obejrzenie telewizji, a telewizor stoi w tym samym pokoju co komputer. W końcu mama woła je do spania. Rozlegają się gorączkowe protesty, ale mama jest nieugięta. To swoisty rytuał, który ona zawsze wygrywa.

Podczas gdy mama pilnuje mycia i szykuje moim siostrom ubrania na jutro, mam kilka minut dla siebie. Szybko sprawdzam konto, które założyłem rano, ale nie przyszedł żaden mail od Rhiannon. Uznaję, że wychodząc z inicjatywą, nic nie stracę, więc wpisuję jej adres i zanim zdolałam się powstrzymać, zaczynam pisać wiadomość.

Hej, Rhiannon,

chciałem tylko powiedzieć, że świetnie było Cię poznać i z Tobą tańczyć. Przykro mi, że policja nas rozdzieliła. I chociaż nie jesteś w moim typie, jeśli chodzi o pleć, absolutnie pozostajesz w moim typie jako człowiek.

Napisz czasem choć parę słów.

N.

Wydaje mi się, że to dość bezpieczny tekst. Zręczny, a przy tym niewskazujący na bezkrytyczne podejście autora do samego siebie. Mail szczery, ale bez narzucania się. To zaledwie kilka linijek, jednak czytam je kilkanaście razy i dopiero wtedy wysyłam. Wypuszczam słowa w eter, zastanawiając się, jakie do mnie wrócą. Jeśli w ogóle.

Zasypianie moich sióstr to dłuższy proces – z tego, co słyszę, kłócą się, który rozdział ma być czytany na dobranoc – więc loguję się do mojej własnej poczty. To takie proste. Jedno kliknięcie i natychmiast pojawia się skrzynka ze znajomymi kategoriami.

Tym razem jednak mam wrażenie, że wszedłem do pomieszczenia, w którym znajduje się bomba.

Tuż pod newsletterem z księgarni pojawia się bowiem wiadomość pochodząca od... Nathana Daldry'ego.

W temacie widnieje tylko jedno słowo: OSTRZEŻENIE.

Czytam:

Nie mam pojęcia, kim albo czym jesteś i co mi zrobiłeś wczoraj, ale musisz wiedzieć, że nie ujdzie ci to płazem. Nie pozwolę, żebyś mnie opętał i zniszczył mi życie. Nie zamierzam milczeć. Wiem, co się zdarzyło i wiem, że to ty w jakiś sposób jesteś za to odpowiedzialny. Zostaw mnie w spokoju, nie zajmuj mojego ciała.

– Wszystko w porządku?

Odwracam się. Matka Rogera stoi na progu.

– Jasne – odpowiadam i zasłaniam sobą ekran.

– To dobrze. Masz jeszcze dziesięć minut, a potem chciałabym, żebyś pomógł mi rozładować zmywarkę i poszedł spać. Czeka nas długi tydzień.

– Dobrze, mam. Przyjdę za dziesięć minut.

Wracam do maila. Nie wiem, jak odpowiedzieć i czy w ogóle powinienem to robić. Przypominam sobie niejasno, że mama Nathana przerwała mi, kiedy siedziałem przy komputerze. Zapewne zamknąłem okno, lecz nie wyczyściłem historii, więc kiedy Nathan włączył pocztę, pokazał mu się mój adres. Nie zna mojego hasła, moja skrzynka powinna być bezpieczna, ale na wszelki wypadek będę musiał je zmienić i szybko przenieść stare wiadomości.

„Nie zamierzam milczeć”.

Ciekawe, co to znaczy.



Nie dam rady przenieść wszystkich moich maili w ciągu dziesięciu minut, ale przynajmniej mogę zacząć.

Roger!

Woła mnie mama, wiem, że muszę iść. Jednak wyczyszczenie historii i wyłączenie komputera nie powstrzymuje moich myśli. Rozmyślam o tym, jak Nathan obudził się na poboczu. Próbuję sobie wyobrazić, co musiał czuć. Prawda jest taka, że nie wiem. Miał wrażenie, że w coś się wpakował? A może od razu wyczuł, że coś jest nie tak, że ktoś przejął kontrolę nad jego ciałem? Czy był o tym przekonany, gdy odpalił komputer i zobaczył mój adres mailowy?

Kim jestem jego zdaniem?

Czym jestem jego zdaniem?

Wchodzę do kuchni, a mama Rogera patrzy na mnie z z troskaniem. Widzę, że ona i syn mają ze sobą dobry kontakt.

Potrafi czytać w swoim synu jak w otwartej księdze. Przez lata mieli tylko siebie. On pomagał jej wychowywać siostry, a ona wychowywała jego.

Gdybym naprawdę był Rogerem, mógłbym jej wszystko powiedzieć. Bez względu na to, jak trudno byłoby jej to zrozumieć, stanęłaby po stronie swojego syna. Bezwarunkowo

i z wielkim zaangażowaniem.

Ale nie jestem synem ani jej, ani nikogo innego. Nie mogę zdradzić, co gnębi dzisiaj Rogera, ponieważ nie ma to związku z tym, kim on będzie jutro. Więc bagatelizuję niepokój mamy, mówię jej, że to nic ważnego, a potem pomagam jej opróżnić zmywarke. Pracujemy w milczącej zgodzie, aż zadanie jest wykonane i czas jest iść spać.

Początkowo nie mogę zasnąć, leżę w łóżku i wpatruję się w sufit. Cóż za ironia: chociaż codziennie budzę się w innym ciele, zawsze miałem poczucie kontroli nad sytuacją.

Teraz jednak tak się nie czuję.

Teraz zamieszane są w to inne osoby.

DZIEŃ 6001

Następnego dnia znajduję się jeszcze dalej od Rhiannon. Dzieli nas cztery godziny drogi, a ja tkwię w ciele Margaret Weiss. Na szczęście Margaret posiada laptopa i zanim pojedziemy do szkoły, mogę zerknąć do skrzynki.

Czeka na mnie wiadomość:

Nathan!

Cieszę się, że do mnie napisałeś, ponieważ zgubiłam karteczkę, na której zanotowałam Twój adres. Dla mnie rozmowa z Tobą i taniec także były cudowne. Jak ta policja śmiała nas rozdzielić! Ty również jesteś w moim typie, jeśli chodzi o człowieka – nawet jeśli nie wierzysz w związki, które trwają dłużej niż rok. (Nie mówię, że nie masz racji, jury nie wydało jeszcze werdyktu).

Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem, ale mam nadzieję, że Steve wkrótce zorganizuje kolejną imprezę. Choćby po to, żebyś mógł być świadkiem jej zepsucia.

Buziaki,

Rhiannon

Wyobrażam sobie, jak się uśmiechała, pisząc te słowa i ja też od razu się uśmiecham. A potem otwieram moją właściwą skrzynkę i widzę wiadomość od Nathana.

Przekazałem policji ten adres mailowy. Nie myśl, że ci się upieczę.

Policji?

Natychmiast wklepuję nazwisko Nathana do wyszukiwarki i pojawia się artykuł z dzisiejszą datą.

TO SZATAN NIM KIEROWAŁ

Zatrzymany przez policję miejscowy nastolatek twierdzi,
że został opanowany przez nieczyste siły

Kiedy w niedzielę rano policjanci pukali w szybę samochodu stojącego na poboczu Route 23, nie mieli pojęcia, jaką historię usłyszą z ust śpiącego wewnątrz szesnastoletniego Nathana Daldry'ego, zamieszkałego przy Arden Lane.

Większość nastolatków próbowałaby tłumaczyć się nadużyciem alkoholu, jednak nie Nathan. Chłopak twierdził, że nie wie, jak się znalazł w aucie przy szosie, i uznał, że najwyraźniej został opętany przez szatana.

„To było niczym lunatykowanie – wyjaśnił naszemu reporterowi. – Przez cały dzień to coś sprawowało kontrolę nad moim ciałem. Kazało mi okłamać rodziców i pojechać na imprezę do miasta, w którym nigdy nie byłem. Nie pamiętam szczegółów, wiem tylko, że to nie byłem ja”.

Sprawa jest tym bardziej tajemnicza, że – jak twierdzi chłopak – po powrocie do domu znalazł w komputerze cudzą pocztę.

„Nie byłem sobą” – mówi Nathan Daldry.

Sierżant Lance Houston wyjaśnia, że ponieważ nie znaleziono śladów alkoholu we krwi nastolatka, a samochód nie został ukradziony, chłopcu nie postawiono żadnych zarzutów.

„Jestem pewien, że ma powody, by trzymać się tej wersji wydarzeń. Ja mogę tylko powiedzieć, że nie popełnił żadnego wykroczenia” – mówi policjant.

Nathanowi to jednak nie wystarcza.

„Jeśli ktokolwiek doświadczył czegoś podobnego, proszę, odezwijcie się. Jestem pewien, że jest nas więcej”.

To strona lokalnej gazety, nie ma się czym przejmować. A policja najwyraźniej nie traktuje sprawy priorytetowo. Jednakże i tak się denerwuję. Przez te wszystkie lata nikt nigdy nie wywinął mi takiego numeru.

Wyobrażam sobie nawet, jak to wyglądało. Nathan budzi się na poboczu, gdy policjant stuka w szybę samochodu. Być może nawet widzi migające światła, omiatające ciemność czerwoną i niebieską poświatą. Szybko dociera do niego, że znalazł się w tarapatach – północ dawno minęła, rodzice go zamordują. Ubranie śmierdzi papierosami i piwem, ale nie może sobie przypomnieć, czy się upił albo naćpał. Ma pustkę w głowie, jak obudzony lunatyk. Jedyne, co wyczuwa, to moja obecność. Pojedyncze wspomnienie tego, że nie był sobą. Gdy policjant pyta go, co tu robi w środku nocy, odpowiada, że nie wie. Gdy pyta go, co robił wcześniej, mówi, że nie ma pojęcia. Kaza mu wysiąść i dmuchnąć w balonik. Okazuje się, że jest absolutnie trzeźwy. Jednak policjant domaga się odpowiedzi, więc Nathan mówi mu prawdę: że coś przejęło kontrolę nad jego ciałem. Ponieważ nie jest w stanie wyobrazić sobie nikogo zdolnego do takiego czynu, uznaje, że to musiał być szatan. Tej historii będzie się trzymał. To dobry dzieciak, jest pewien, że wszyscy go wesprą. Że mu uwierzą.

Policjant chce tylko, by Nathan wrócił bezpiecznie do domu. Może nawet go eskortuje, zawiadamiając wcześniej rodziców. Ci na pewno nie śpią, gdy chłopak wraca. Są zaniepokojeni i źli. Powtarza im tę samą historię co policjantom. Sami nie wiedzą, co mają o tym myśleć. W międzyczasie jakiś dziennikarz słyszy, jak policja rozmawia o tym przez krótkofalówkę albo też wiadomość rozchodzi się po komisariacie. O dzieciaku, który wymknął się na imprezę, a potem próbował zrzucić winę na szatana. Dziennikarz dzwoni w niedzielę do państwa Daldrych i Nathan postanawia z nim porozmawiać. Bo przecież dzięki temu jego opowieść stanie się bardziej realna.

Mam wyrzuty sumienia, a jednocześnie chcę się bronić. Czuję się winny, ponieważ mu to zrobiłem, bez względu na intencje, jakie mi przyświecały. A chcę się bronić, bo przecież nie zmusiłem go, żeby zareagował tak, a nie inaczej, w sposób, który tylko pogorszy jego sytuację, a może i moją.

Ze względu na jedną szansę na milion, że Nathanowi uda się przeświecić moją korespondencję, postanawiam, że nie będę już sprawdzał mojej poczty z cudzych domów. Bo jeśli Nathan do niej dotrze, dotrze również do większości rodzin, w których się znalazłem w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat... a to wywoła chaos.

Z jednej strony miałbym ochotę napisać do niego i wszystko mu wyjaśnić, ale nie jestem pewien, czy jakiegokolwiek wyjaśnienie okazałoby się wystarczające. Zwłaszcza że nie mam odpowiedzi na większość pytań. Już dawno przestałem ich szukać. Jednak podejrzewam, że Nathan tak łatwo nie zrezygnuje.



Chłopak Margaret Weiss, niejaki Sam, uwielbia się z nią całować. Na okrągło, i nie ma znaczenia, czy to publiczne, czy prywatne miejsce. Jeśli tylko ma okazję – działa.

Nie jestem w nastroju.

Postanawiam więc szybko, że Margaret będzie przeziębiona. Pocałunki ustają, zaczynają się wyrazy uwielbienia. Sam wpadł po uszy i otacza Margaret słodkimi, ale niebezpiecznymi ruchomymi piaskami swojej miłości. Wiem, że ona zwykle odpłaca mu tym samym. Nic nie jest dla niej tak ważne jak Sam. To cud, że ma jeszcze przyjaciół.

Na fizyce mamy kartkówkę. Sądząc po tym, co znalazłem w umyśle Margaret, wiem więcej na ten temat niż ona. To jej szczęśliwy dzień.

Nie mogę się doczekać, kiedy dorwę się do szkolnego komputera, jednak najpierw muszę pozbyć się Sama. Co prawda udało mi się oddalić go od ust Margaret, ale nadal nie jestem w stanie odseparować go od jej bioder. Podczas obiadu wkłada jej rękę do tylnej kieszeni spodni i dąsa się, kiedy ona nie odpowiada tym samym. Później mają godzinę wspólnej nauki w świetlicy, Sam przez cały czas ją głąska i opowiada o filmie, który oglądali poprzedniego wieczoru.

Na ósmej lekcji są jedyne zajęcia, na które chodzą osobno, więc postanawiam to wykorzystać. Kiedy tylko Sam odprowadza ją do klasy i odchodzi, zwalnim się u nauczycielki, idę do pielęgniarki, a potem udaję się prosto do biblioteki.

Najpierw kończę przenoszenie wiadomości z mojej starej skrzynki. Zostają tylko dwa maile od Nathana. Nie mogę się zmusić, by je wykasować, tak samo, jak nie jestem w stanie zamknąć mojego konta. Z jakiegoś powodu chcę, żeby mógł się ze mną kontaktować. Uważam, że jestem mu to winien.

Otwieram nową pocztę z zamiarem odpisania Rhiannon. Ku mojemu zdziwieniu w skrzynce znajduje się kolejny mail od niej. Otwieram go, jestem oszołomiony.

Nathan,

jak się okazuje, Steve nie ma kuzyna o imieniu Nathan i nikt z jego krewnych nie był obecny na imprezie. Jesteś w stanie to wytłumaczyć?

Rhiannon

Nie deliberuję. Nie rozważam za i przeciw. Tylko piszę i klikam „wyślij”.

Rhiannon,

tak, jestem w stanie to wyjaśnić. Czy możemy się spotkać? Muszę wytłumaczyć Ci to osobiście.

Całusy,

Nathan

Nie żebym planował powiedzieć jej prawdę. Chcę tylko zyskać na czasie i wymyślić najlepsze kłamstwo.

Dzwoni ostatni dzwonek. Wiem, że za chwilę Sam zacznie szukać Margaret. Znajduję go przy szafkach, zachowuje się, jakbyśmy się nie widzieli przez kilka tygodni. Kiedy go całuję, udaję, że ćwiczę dla Rhiannon. Kiedy go całuję, czuję się, jakbym ją zdradzał. Myślami jestem kilka godzin drogi stąd, przy niej.

DZIEŃ 6002

Następnego dnia rano mam wrażenie, że wszechświat stoi po mojej stronie, ponieważ budzę się w ciele Megan Powell, zaledwie godzinę drogi od Rhiannon.

A kiedy sprawdzam pocztę, znajduję wiadomość od niej.

Nathan,

lepiej, żeby to było dobre wytłumaczenie. Spotkajmy się o siedemnastej w kawiarni, która jest w księgarni Clover Bookstore.

Rhiannon

Na co odpowiadam:

Rhiannon,

będę o siedemnastej, chociaż nie w takiej postaci, w jakiej spodziewasz się mnie zobaczyć. Bądź cierpliwa i wysłuchaj mnie do końca.

A

Megan Powell będzie musiała wyjść nieco wcześniej z treningu cheerleaderek. Przeszukuję jej szafę i wyciągam strój, który najbardziej pasuje do stylu Rhiannon. Przekonałem się, że ludzie ufają tym, którzy ubierają się podobnie. A mnie dzisiaj będzie potrzebne jej zaufanie, cokolwiek postanowię.

Przez cały dzień zastanawiam się nad tym, co jej powiedzieć i jak ona na to zareaguje. Czuję, że wyjawienie prawdy byłoby zbyt niebezpieczne. Nikomu jeszcze jej nie zdradziłem. Ba, nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Żadne kłamstwo nie wydaje się właściwe. Im dłużej rozmyślam nad możliwymi wymówkami, tym mocniej dociera do mnie, że jestem skłonny do zwierzenia się jej

ze wszystkiego. Zaczynam rozumieć, że moje życie nie będzie prawdziwe, dopóki ktoś inny go nie pozna. A ja chcę mieć prawdziwe życie. Skoro ja się do niego przyzwyczaiłem, może inna osoba też mogłaby?

Jeśli mi zaufa, jeśli poczuje potęgę tego, co nas połączyło, uwierzy mi.

A jeżeli mi nie zaufa, jeżeli nie poczuje mocy, wtedy będę dla niej jeszcze jednym wariatem, jakich nie brakuje na świecie.

W sumie nie mam nic do stracenia.

Chociaż, rzecz jasna, będę miał wrażenie, że straciłem wszystko.

Wymyślam wizytę u lekarza jako pretekst zwolnienia Megan z treningu i o czwartej siedzę w aucie, zmierzając w kierunku Rhiannon.

Trafiam na korki, gubię drogę, więc docieram do księgarni z dziesięciominutowym spóźnieniem. Zaglądam przez szybę kawiarni i widzę, że już siedzi, przegląda czasopismo i od czasu do czasu zerka na drzwi. Chciałbym, żeby czas się zatrzymał, żeby ta chwila trwała wiecznie. Boję się, że kiedyś zatęsknię za tą minutą poprzedzającą słowa, które zaraz padną, będę chciał cofnąć się w czasie, by nie dopuścić do tego, co za chwilę się stanie.

Oczywiście Rhiannon nie spodziewa się nadejścia Megan, więc wydaje się przestraszona, kiedy podchodzę do jej stolika i zajmuję miejsce.

– Przepraszam, zajęte – mówi.

– W porządku – odpowiadam. – Nathan mnie przysłał.

– On cię przysłał? Gdzie jest? – Rhiannon rozgląda się dookoła, jakby spodziewała się, że ukrył się za regałem.

Ja też się rozglądam. Dookoła znajdują się ludzie, a nikt nie jest tak blisko, żeby słyszeć, co mówimy. Wiem, że powinienem poprosić Rhiannon, by się ze mną przeszła, ponieważ nie powinno być nikogo w pobliżu, gdy jej powiem. Jednak nie jestem pewien, czy się zgodzi, moja prośba mogłaby ją przestraszyć. Będę musiał powiedzieć jej tutaj.

– Rhiannon – zaczynam. Spoglądam jej w oczy i znów to czuję. Bliskość. Poczucie tego, co nas otacza. Tę więź.

Nie mam pojęcia, czy ona też to czuje, nie mam pewności, ale w każdym razie nie rusza się z miejsca. Odpowiada spojrzeniem na spojrzenie. Utrzymuje bliskość.

– Tak? – szepcze.

– Muszę ci coś powiedzieć. To zabrzmiało naprawdę bardzo dziwnie. Musisz wysłuchać całej historii. Zapewne będziesz chciała wyjść albo mnie wyśmiać. Chciałbym jednak, żebyś to, co powiem, potraktowała poważnie. Wiem, że to nieprawdopodobne, ale taka jest prawda. Rozumiesz?

W jej oczach czai się teraz lęk. Chciałbym chwycić ją za rękę, potrzymać, lecz wiem, że nie mogę. Jeszcze nie.

Staram się, by mój głos brzmiał spokojnie. Szczerze.

– Codziennie rano budzę się w innym ciele. Tak jest od urodzenia. Dzisiaj obudziłem się jako Megan Powell, którą widzisz przed sobą. Trzy dni temu, w sobotę, jako Nathan

Daldry. Jeszcze dwa dni wcześniej byłem Amy Tran, która odwiedziła twoją szkołę i spędziła z tobą dzień. A w zeszły poniedziałek byłem Justinem, twoim chłopakiem. Sądziłaś, że to z nim jedziesz nad ocean, w rzeczywistości pojechałaś ze mną. Wtedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, a ja od tamtej chwili nie potrafię o tobie zapomnieć.

Milknę.

– To żart, prawda? – pyta. – To musi być żart.

– Na plaży opowiedziałaś mi historię o pokazie mody dla matek i córek oraz o tym, że wtedy po raz ostatni widziałas swoją mamę w makijażu. Kiedy Amy poprosiła cię, żebyś powiedziała jej coś, czego nikomu wcześniej nie mówiłaś, zaprezentowałaś historię przebiccia ucha w wieku dziesięciu lat, a ona w zamian opowiedziała ci o książce *Forever* Judy Blume. Nathan podszedł do ciebie, gdy przeglądałaś płyty i zanucił piosenkę, którą śpiewałaś z Justinem w drodze nad ocean. Rozmawiał z tobą o związkach trwających ponad rok, a ty powiedziałaś, że w głębi duszy Justin cię bardzo kocha, na co on stwierdził, że w głębi duszy to za mało. Te wszystkie osoby... to byłem ja. Na jeden dzień. Teraz jestem Megan Powell i chciałem ci powiedzieć prawdę, zanim znów zmienię ciało. Ponieważ uważam, że jesteś wyjątkowa. Ponieważ nie chcę spotykać cię jako inne osoby, tylko jako ja.

Widzę niedowierzanie malujące się na jej twarzy, widzę, że szuka jakiegoś punktu zaczepienia. I nie może go znaleźć.

– To Justin cię w to wkręcił? – pyta z obrzydzeniem w głosie. – Naprawdę uważacie, że to zabawne?

– To wcale nie jest zabawne – odpowiadam. – To prawda. Nie oczekuję, że od razu zrozumiesz, bo wiem, jak niewiarygodnie to brzmi, ale przysięgam, że nie kłamię.

– Nie rozumiem, dlaczego mi to robisz. Przecież nawet się nie znamy!

– Posłuchaj mnie, proszę. Wiesz, że to nie Justin był z tobą wtedy na plaży. Czujesz to w głębi serca. Nie zachowywał się jak Justin. Nie robił tego co zwykle. To dlatego, że to byłem ja. Wcale tego nie chciałem. Nie chciałem się w tobie zakochać, jednak tak się stało i nie mogę tego wymazać. Nie potrafię zapomnieć. Całe życie żyłem w ten sposób i dopiero po spotkaniu ciebie zapragnąłem, żeby to się skończyło.

Strach nie opuścił jej twarzy i ciała.

– Ale dlaczego akurat ja? Przecież to nie ma sensu!

– Ponieważ jesteś wyjątkowa. Ponieważ jesteś miła dla nieznajomej dziewczyny, która trafiła do twojej szkoły. Ponieważ chcesz znaleźć się po drugiej stronie okna, przeżyć swoje życie, a nie tylko o nim myśleć. Ponieważ jesteś śliczna. Ponieważ taniec z tobą w piwnicy Steve'a w sobotni wieczór to było jak pokaz fajerwerków. A kiedy leżałem obok ciebie na plaży – jak oaza spokoju. Wiem, uważasz, że Justin kocha cię w głębi duszy, ale ja kocham się na wskroś i na wylot.

– Dostyc! – Głos jej się nieco łamie. – Po prostu... wystarczy, okej? Rozumiem chyba, co mówisz, chociaż to zupełnie pozbawione sensu.

– Wiesz, że tamtego dnia to nie on był z tobą nad oceanem, prawda?

– Nic nie wiem! – woła na tyle głośno, że kilka osób spogląda w naszą stronę. Zauważyła to, więc ścisza głos. – Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Jest bliska łez. Wyciągam rękę i chwytam jej dłoń. Nie wydaje się uszczęśliwiona tym faktem, ale nie zabiera ręki.

– Zdaję sobie sprawę, że to dużo – mówię. – Uwierz mi, wiem o tym.

– To nie jest możliwe – szepcze.

– Jest. Ja jestem tego dowodem.

Kiedy wyobrażałem sobie wcześniej tę rozmowę, sądziłem, że może pójść w jednym z dwóch kierunków: objawienia lub obrzydzenia. My jednak utkwiliśmy gdzieś pośrodku. Rhiannah nie traktuje moich słów poważnie – a przynajmniej nie na tyle, żeby mogła mi uwierzyć. A jednak nie wybiegła z kawiarni, nie próbuje mi udowodnić, że to tylko głupi kawał, który ktoś postanowił jej zrobić.

Już wiem, że jej nie przekonam. Nie w ten sposób. Nie w tym miejscu.

– Słuchaj – mówię. – A może spotkajmy się jutro o tej samej porze? Pojawię się w innym ciele, jednak to nadal będę ja. Może wtedy łatwiej ci będzie to zrozumieć.

Podchodzi sceptycznie do pomysłu.

– Przecież możesz kazać komuś tu przyjechać.

– Mogę, tylko po co? To nie jest kawał ani żart, to moje życie.

– Jesteś szalona.

– Tak tylko mówisz, przecież wiesz, że nie jestem. Tyle jeszcze wyczuwasz.

Teraz ona patrzy mi prosto w oczy. Ocenia mnie. Szuka śladów czegoś znajomego.

– Jak masz na imię? – pyta.

– Dzisiaj jestem Megan Powell.

– Nie. Pytam o twoje prawdziwe imię.

Aż się zapowietrzam, nikt nigdy nie zadał mi takiego pytania. A i ja się nie przedstawiałem.

– A – odpowiadam.

– Po prostu A?

– Po prostu. Wymyśliłem je jako dziecko. To był sposób utrzymania własnej tożsamości mimo przechodzenia z ciała do ciała, z życia do życia. Potrzebne było mi coś prostego i czystego. Zdecydowałem się na pierwszą literę alfabetu.

– A co sądzisz o moim imieniu?

– Już ci mówiłem. Uważam, że jest śliczne, chociaż ty twierdziłaś kiedyś, że jest trudne do napisania.

Wstaje, więc i ja się podnoszę.

Nie rusza się. Widzę, że przez jej umysł przebiega wiele myśli, ale nie mam pojęcia, jakie są. Zakochanie się w drugiej osobie nie oznacza, że wiesz, co ta druga osoba czuje, wiesz tylko, co ty czujesz.

– Rhiannon.

Unosi rękę, żeby mnie powstrzymać.

– Wystarczy – mówi. – Nie teraz. Jutro. Dam ci jutro. Bo tylko w ten sposób się dowiem, prawda? Jeśli to, co mówisz, dzieje się naprawdę, potrzebuję więcej niż jednego dnia.

– Dziękuję.

– Podziękujesz mi, jeżeli przyjdę – odpowiada. – To naprawdę zagmatwane.

– Wiem.

Zakłada kurtkę i rusza w stronę drzwi. W pewnym momencie zatrzymuje się i odwraca.

– Wiesz, tamtego dnia wcale nie czułam, że to on. Nie do końca. A on zachowuje się tak, jakby go tam nie było. Nic nie pamięta. Oczywiście można to wytłumaczyć na tysiąc różnych sposobów, ale to fakt.

– Fakt – potwierdzam.

Potrzęsa głową.

– Jutro – mówię.

– Jutro – powtarza. To ciut mniej niż obietnica, lecz odrobinę więcej niż złudna nadzieja.

DZIEŃ 6003

Kiedy się budzę następnego dnia, nie jestem sam.

Dziękuję pokój z moimi braćmi – Paulem i Tomem. Paul jest o rok starszy, a Tom to mój bliźniak. Mam na imię James.

James jest wielki, gra w futbol amerykański. Tom wydaje się podobnego wzrostu, a Paul jest jeszcze potężniejszy.

W pokoju panuje porządek, ale zanim przekonam się, w jakim mieście przyszło mi mieszkać, już wiem, że na pewno nie jest to porządna dzielnica. Wielka rodzina w maleńkim domu. Z pewnością nie ma tu komputera, a James nie posiada samochodu.

To Paul ma za zadanie – z własnej woli czy też nie – obudzić nas i wysłać do szkoły. Nasz ojciec jeszcze nie wrócił z nocnej zmiany, mama już wyszła do pracy. Nasze dwie siostry już prawie skończyły poranną toaletę, teraz nasza kolej.

Wnikam w umysł Jamesa i dowiaduję się, że mieszkam w miasteczku w sąsiedztwie miejscowości Nathana. Ponad godzinę drogi od Rhiannon.

To będzie ciężki dzień.



Jazda autobusem do szkoły zabiera nam czterdzieści pięć minut. Najpierw idziemy do stołówki na darmowe śniadanie. Zdumiewa mnie apetyt Jamesa. Pochłaniam naleśnik za naleśnikiem, a on jest nadal głodny. Tom nie zostaje w tyle.

Na szczęście na pierwszej godzinie mam okienko. Niestety, James nie odrobił lekcji.

Staram się uporać ze wszystkim jak najszybciej i zostaje mi dziesięć minut na skorzystanie z komputera.

W skrzynce znajduję wiadomość od Rhiannon, wysłaną o pierwszej w nocy.

A,
chciałabym Ci wierzyć, lecz nie wiem, jak.
Rhiannon

Odpisuję:

Rhiannon,
nie musisz wiedzieć, jak. Po prostu podejmij decyzję, a samo się stanie.
Jestem teraz w Laurel, ponad godzinę drogi od Ciebie. W ciele chłopaka o imieniu James, gracza w futbol amerykański. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale jak wszystko, co Ci powiedziałem, jest prawdą.
Uściski
A

Mam jeszcze czas na sprawdzenie drugiego adresu mailowego. Jak się okazuje, czeka na mnie kolejna wiadomość od Nathana.

Nie możesz wечно unikać moich pytań. Chcę wiedzieć, kim jesteś. Chcę wiedzieć, dlaczego robisz to, co robisz. Powiedz mi.

Znowu go ignoruję. Nie mam pojęcia, czy jestem mu winien wyjaśnienie, czy nie. Pewnie coś jestem mu winien, jednak nie mam pewności, czy to powinno być wytłumaczenie.

Udaje mi się wytrwać do przerwy obiadowej, a wtedy chciałbym od razu popędzić do biblioteki i sprawdzić pocztę. Tylko że Jamesowi towarzyszy Tom, a do tego odczuwam głód – boję się, że jeśli teraz czegoś nie zjem, będę musiał czekać aż do kolacji. Sprawdziłem, James ma w portfelu jakieś trzy dolary, nie więcej.

Dostaję darmowy lunch i szybko go połykam. A potem oznajmiam, że idę do biblioteki, co wywołuje lawinę kpín ze strony Toma, wychodzącego z założenia, że „biblioteki są dla bab”. Jako prawdziwy brat, odparowuję tekstem: „To wyjaśnia, dlaczego nie możesz znaleźć dziewczyny”. Zaczynamy się mocować. To wszystko zabiera mi czas, tak potrzebny na zrobienie tego, co muszę zrobić.

Kiedy docieram do biblioteki, wszystkie komputery są zajęte. Muszę przez dobre dwie minuty wisieć nad głową jakiegoś pierwszorocznika, zanim wystraszy się na tyle, by mnie wpuścić. Pospiesznie sprawdzam połączenie i wychodzi mi na to, że do miasta Rhiannon dojadę trzema autobusami. Jestem na to gotów, ale przeglądam jeszcze pocztę i okazuje się, że dwie minuty wcześniej Rhiannon wysłała mi maila.

A,
masz samochód? Jeśli nie, mogę do ciebie przyjechać. W Laurel jest Starbucks. Podobno w ich lokalach nigdy nie dzieje się nic złego. Daj znać, czy Ci to odpowiada.

Rhiannon

Odpisuję:

Rhiannon,
byłbym wdzięczny, gdyby udało Ci się przyjechać. Dziękuję.
A

Dwie minuty później przychodzi nowa wiadomość:

A,
będę o siedemnastej. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak dzisiaj wyglądasz.
(Ale nadal w to nie wierzę).
Rhiannon

Cały drzę z podekscytowania. Miała czas zastanowić się nad tym wszystkim i nie odwróciła się ode mnie. To więcej niż mogłem się spodziewać. Staram się zachować ostrożność i nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, żeby mi nie zostały odebrane.

Reszta dnia w szkole mija bez większych wrażeń... oprócz pewnej chwili w czasie siódmej lekcji. Pani French, nasza nauczycielka biologii, pastwi się nad chłopakiem, który nie odrobił zadania domowego. Miał do wykonania eksperyment, jednak nie zrobił nic.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło – tłumaczy się leń. – Chyba opętał mnie szatan!

Wszyscy wybuchają śmiechem, nawet pani French kręci głową.

– No, ja też zostałem opętany przez diabła – odzywa się inny chłopak. – Po tym, jak wypłem siedem piw!

– Dosyć tego! – ucisza klasę nauczycielka.

Po sposobie, w jaki to mówią, wiem, że historia Nathana najwidoczniej dotarła i tutaj.

– Hej – zagaduję Toma, gdy idziemy na trening piłkarski. – Słyszałeś o tym chłopaku w Monroeville, który twierdzi, że został opętany przez szatana?

– No pewnie, idioto. Przecież wczoraj o nim gadaliśmy. Było w wiadomościach.

– No tak, ale czy słyszałeś może coś nowego?

– A co tu może być nowego? Gostek dał się przyłapać na debilnym kłamstwie i teraz różni szaleńcy religijni robią z niego swoją maskotkę. Normalnie aż mi go żal.

Niedobrze, myślę sobie. Bardzo niedobrze.

Nasz trener marudzi, że musi iść z żoną do szkoły rodzenia, chociaż dzięki temu kończy wcześniej trening. Mówię Tomowi, że polecę do Starbucksa, a on patrzy na mnie, jakbym uległ całkowitemu i nieodwracalnemu zniewieścieniu. Liczyłem na jego odrazę i dlatego witam ją z ulgą.

Kiedy przychodzi, jej jeszcze nie ma, więc zamawiam małą czarną kawę – na tyle mnie stać – po czym siadam i czekam. Kawiarnia jest zatłoczona, więc staram się wyglądać odpychająco, żeby nikt nie zajął wolnego krzesła przy moim stoliku.

W końcu, po jakichś dwudziestu minutach, pojawia się Rhiannon. Przebiega wzrokiem tłum, więc macham ręką. I chociaż ostrzegałem, że jestem futbolistą, i tak wydaje się nieco

zaskoczona, ale podchodzi.

– Okej – mówi, siadając. – Zanim powiemy choć jedno słowo, chciałabym zobaczyć twój telefon. – Najwyraźniej na mojej twarzy rysuje się dezorientacja, bo dodaje: – Chcę sprawdzić każdą rozmowę, którą miałeś w ciągu ostatniego tygodnia, i każde odebrane połączenie. Jeżeli to nie jest wielki żart, nie masz nic do ukrycia.

Podaję jej aparat Jamesa. Radzi sobie z nim lepiej niż ja.

Po kilku minutach poszukiwań wydaje się usatysfakcjonowana.

– A teraz cię przepytam – mówi, zwracając mi telefon. – Po pierwsze, co miałam na sobie w dniu, w którym Justin zabrał mnie na plażę?

Próbuję to sobie wyobrazić. Przywołać wspomnienie szczegółów, jednak już mi umknęły. Pamiętam samą Rhiannon, ale nie jej ubranie.

– Nie wiem – przyznaję. – A ty pamiętasz, w co ubrany był Justin?

Zastanawia się przez chwilę.

– Rzeczywiście, nie pamiętam – mówi. – Uprawialiśmy seks?

Potrząsam głową.

– Leżeliśmy na kocu służącym do tego celu, jednak tylko się całowaliśmy, to nam wystarczyło.

– Co powiedziałam do ciebie, zanim wysiadłam?

– Że to ta przyjemna nuta.

– Zgadza się. Szybko, jak ma na imię dziewczyna Steve'a?

– Stephanie.

– O której skończyła się impreza?

– Piętnaście po jedenastej.

– A kiedy znajdowałaś się w ciele dziewczyny, którą zabrałam na wszystkie lekcje, co było na liściku, który mi podałeś?

– Coś w rodzaju: „Te lekcje są tak samo nudne jak w mojej szkole”.

– Jakie miałeś guziki na plecaku?

– Małe kotki anime.

– Hmm, albo jesteś rewelacyjnym kłamcą, albo codziennie zmieniasz ciało. Nie mam pojęcia, która wersja jest prawdziwa.

– Ta druga.

Ponad ramieniem Rhiannon dostrzegam kobietę, która patrzy na nas zagadkowo. Czyżby usłyszała, o czym rozmawiamy?

– Wyjdźmy na zewnątrz – proponuję szeptem. – Mam wrażenie, że możemy mieć nieproszonych słuchaczy.

Rhiannon nie pali się do tego pomysłu.

– Może gdybyś był drobną dziewczyną – mówi. – Nie jestem pewna, czy do końca zdajesz sobie z tego sprawę, ale dzisiaj jesteś wielkim, budzącym grozę facetem. Nadal mam w głowie wyraźny głos mojej mamy: „żadnych ciemnych zaułków!”.

Pokazuję przez okno na stojącą przy chodniku ławkę.

– Całkowicie publiczne miejsce, tylko że nikt nie będzie podsłuchiwał.

– Okej.

Gdy wychodzimy, przysłuchująca się nam kobieta wydaje się zawiedziona. Dociera do mnie, ile osób dookoła ma otwarte laptopy albo notesy, i mogę mieć tylko nadzieję, że nikt z nich nie notował naszej rozmowy.

Rhiannon pozwala mi usiąść pierwszemu na ławce, dzięki czemu sama może ustalić dzielącą nas różnicę – znaczną, dodajmy.

– A więc mówisz, że tak się dzieje od urodzenia?

– Tak. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było inaczej.

– Jak dałeś sobie z tym radę? Nie byłeś zdezorientowany?

– Chyba się po prostu przyzwyczaiłem. Początkowo – jestem tego pewien – sądziłem, że tak wygląda życie każdego człowieka. W końcu niemowlęciu jest wszystko jedno, kto się nim zajmuje, byle ktoś się zajmował. Jako mały dzieciak traktowałem to jak coś w rodzaju zabawy i naturalnie przyszło mi opanowanie sztuki wnikania w umysł zamieszkiwanej osoby. Dopiero w wieku czterech, pięciu lat zacząłem rozumieć, że jestem inny, a jako dziewięcio- może dziesięcioletek poczułem, że mam tego dosyć.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Wyobraź sobie tęsknotę za domem, którego nie masz. Tak to mniej więcej wyglądało. Chciałem mieć przyjaciół, rodziców, psa – ale nic nie trwało dłużej niż dobę. To było brutalne. Pamiętam, że czasami krzyczałem w nocy, płakałem i błagałem rodziców, żeby nie kazali mi iść spać. Nikt nigdy nie rozumiał, czego się boję. Sądzili, że może potwora pod łóżkiem albo że to taka sztuczka z mojej strony, by opowiedzieli mi więcej bajek przed snem. Nie potrafiłem im tego sensownie wyjaśnić. Mówiłem, że nie chcę się żegnać, a wtedy zapewniali mnie, że przecież to nie jest pożegnanie. To tylko mówienie „dobranoc”. Tłumaczyłem, że to jest to samo, jednak oni przekonywali mnie, że zachowuję się niemądrze... W końcu się z tym pogodziłem. Musiałem. Zdałem sobie sprawę, że tak właśnie wygląda moje życie i nic z tym nie zrobię. Skoro nie byłem w stanie walczyć z falami, postanowiłem na nich popłynąć.

– Ile razy opowiadałeś tę historię?

– Nigdy wcześniej, przysięgam. Tobie pierwszej to mówię.

Powinna poczuć się wyjątkowo – taki miałem zamiar – tymczasem wydaje się zaniepokojona.

– Ale masz chyba rodziców, prawda? Przecież wszyscy mamy rodziców.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chyba tak, jednak nie mam kogo o to zapytać. Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ja. Chociaż nawet gdybym spotkał, i tak bym o tym nie wiedział.

Po jej minie poznaję, że jej zdaniem to smutna historia – nawet bardzo. Nie wiem, jak ją przekonać, że nie wszystko w moim życiu było aż tak przygnębiające.

– Widziałem różne rzeczy – zaczynam i przerywam, bo nie wiem, co dalej.

– Mów dalej.

– Chodzi o to... wiem, że na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to okropne życie, jednak dane mi było tyle doświadczyć. Kiedy człowiek żyje tylko w jednym ciele, trudno mu ocenić, na czym tak naprawdę polega życie. Jest twardo osadzony w swojej osobie. A kiedy codziennie stajesz się kimś innym, dostrzegasz bardziej uniwersalny obraz. Nawet w całkiem przyziemnych szczegółach. Przekonujesz się, że wiśnie każdemu smakują trochę inaczej. Kolor niebieski każdy postrzega po swojemu. Poznajesz rozmaite dziwaczne rytuały, którym oddają się chłopcy, chcący wyrazić swoje uczucie, jednocześnie się do niego nie przyznając. Uczysz się, że jeśli rodzic czyta dziecku pod koniec dnia, to znaczy, że jest dobrym rodzicem, bo widziałeś tylu innych, którzy nie znajdują na to czasu. Dowiadujesz się, ile jest warty każdy dzień, ponieważ tak bardzo się od siebie różnią. Jeśli zapytasz jakąkolwiek osobę, czym różnił się poniedziałek od wtorku, zapewne odpowie, że tym, co było w tych dniach na obiad, ale nie dla mnie. Obserwuję świat pod tyloma różnymi kątami, że widzę go w wielu wymiarach.

– Jednak nigdy nie obserwujesz zmian, prawda? – pyta Rhiannon. – Nie chcę negocjować tego, co powiedziałaś. Wydaje mi się, że rozumiem. Jednak nigdy nie miałeś przyjaciela, z którym spotykałbyś się codziennie przez dziesięć lat. Nigdy nie patrzyłeś, jak rośnie twój pies. Nie przekonałeś się, że miłość rodzicielska bywa z czasem destrukcyjna. I nigdy nie trwałeś w związku dłużej niż jeden dzień.

Mogłem się spodziewać, że poruszy ten temat.

– Wiele widziałem. Obserwowałem. Wiem, jak to działa.

– Z zewnątrz? Nie sądzę, żebyś mógł to wiedzieć, widząc wszystko tylko z zewnątrz.

– Myślę, że nie doceniasz faktu, że związki bywają bardzo przewidywalne.

– Kocham go – mówi. – Wiem, że tego nie rozumiesz, ale tak jest.

– Nie powinnaś. Poznałem go od środka, więc wiem.

– Widziałeś go przez jeden dzień. Tylko jeden dzień.

– A ty przez jeden dzień mogłaś się przekonać, jaki mógłby być. Zakochałaś się w nim bardziej, kiedy to byłem ja.

Chcę ją chwycić za rękę, jednak tym razem protestuje:

– Nie.

Zamieram.

– Mam chłopaka – ciągnie. – Wiem, że za nim nie przepadasz. Zdarzają się chwile, że i ja mam go dosyć, ale tak właśnie wygląda rzeczywistość. Przyznaję, przekonałeś mnie, że jesteś tą samą osobą, którą do tej pory spotkałam w pięciu różnych wcieleniach, co zapewne oznacza, że jestem taką samą wariatką jak ty. Twierdzisz, że mnie kochasz, chociaż prawie mnie nie znasz. Widujemy się od tygodnia, ja potrzebuję dużo więcej czasu.

– Nie czułaś tego w tamtym dniu? Na plaży?

Znowu się pojawia – ten zew oceanu, pieśń wszechświata. Dobry kłamca zaprzeczyłby bez wahania, jednak niektórzy z nas nie chcą żyć w kłamstwie. Rhiannon przygryza wargę i kiwa głową.

– Owszem, ale nie wiem, do kogo to czułam. Nawet jeśli wierzę, że to byłeś ty, musisz

pamiętać, że znaczną rolę odgrywa historia mojego związku z Justinem. Z pewnością nie czułabym się tak samo w obecności obcej osoby. Nie byłoby tak idealnie.

– Skąd wiesz?

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem.

Spogląda na telefon, co zwiastuje koniec naszego spotkania, niezależnie od tego, czy Rhiannon rzeczywiście musi już jechać, czy nie.

– Muszę zdążyć na kolację – tłumaczy.

– Dziękuję, że przyjechałaś taki kawał – odpowiadam.

Niezręczna chwila. Bardzo niezręczna.

– Zobaczymy się jeszcze? – pytam.

Kiwa głową.

– Udowodnię ci – oświadczam. – Pokażę ci, co to naprawdę oznacza.

– Ale co?

– Miłość.

Czy ją to wystraszyło? Zażenowało? Poczła nadzieję?

Nie wiem. Jestem za daleko, żeby poznać.



Tom jest pełen współczucia dla mnie, kiedy wracam do domu – poszedłem przecież do Starbucksa, a potem jeszcze musiałem wracać pieszo ponad trzy kilometry, przez co spóźniłem się na kolację i ojciec równo mnie objechał.

– Mam nadzieję, że była tego warta, kimkolwiek ona jest – kpi.

Spoglądam na niego bez wyrazu.

– Nie w mówisz mi, że poszedłeś tam tylko ze względu na kawę i folkowe kawałki, które puszczają przez głośniki. Znam cię nie od dziś.

Nadal milczę.



Został mi przydzielony obowiązek zmywania po kolacji. Żeby umilić sobie zadanie, włączam radio, a wraz z wiadomościami regionalnymi pojawia się Nathan Daldry.

– Opowiedz nam, proszę, co zdarzyło się w zeszłą sobotę – zwraca się do niego reporter.

– Zostałem opętany, inaczej tego się nie da określić. Nie miałem kontroli nad własnym ciałem. To szczęście, że przeżyłem. Chciałem prosić, żeby skontaktowali się ze mną ci wszyscy, którzy zostali opętani w podobny sposób. Będę z panem szczery, wiele osób uważa, że jestem wariatem. Koledzy w szkole nieustannie się ze mnie naśmiewają, ale ja wiem, co się stało. I wiem, że nie jestem jedyny.

„Wiem, że nie jestem jedyny”.

To zdanie mnie prześladowa. Chciałbym odczuwać podobną pewność.
Chciałbym, żeby takich jak ja było więcej.

DZIEŃ 6004

Następnego dnia budzę się w tym samym pokoju.

W tym samym ciele.

Nie wierzę. Nie rozumiem. Po tylu latach!



Spoglądam na ścianę. Na moje ręce. Pościel.

A potem patrzę w bok i widzę Jamesa śpiącego na swoim łóżku.

James.

Wtedy dopiero dociera do mnie prawda: nie znajduję się w tym samym ciele. Nie znajduję się po tej samej stronie pokoju.

Nie. Tym razem jestem jego bratem bliźniakiem – Tomem.



Nigdy wcześniej nie miałem takiej okazji. Obserwuję, jak James się budzi, jak wyłania się ze snu po całym dniu nieobecności w swoim ciele. Szukam jakichś znaków, śladów, zaskoczenia. Moim oczom ukazuje się znajomy widok futbolisty, który przeciąga się na swoim łóżku. Jeżeli czuje się dziwnie, inaczej, nie daje tego po sobie poznać.

– Czego tak się gapisz?

To nie James pyta, ale Paul, nasz drugi brat.

– Nie gapię się, wstaję – mamroczę.

W rzeczywistości nie jestem w stanie oderwać wzroku od Jamesa. Ani teraz, ani po drodze do szkoły, ani podczas śniadania. Wydaje się nieswój, ale to można łatwo wytłumaczyć niewyspaniem się.

– Jak leci? – pytam.

– Dobrze – burczy pod nosem. – Dzięki za troskę.

Postanawiam udawać kretyna. Tego się po mnie spodziewa, więc nie wyjdę poza linię.

– Co robiłeś wczoraj po treningu? – pytam.

– Poszedłem do Starbucksa.

– Z kim?

Patrzy na mnie, jakbym zaśpiewał mu to pytanie falsetem.

– Miałem ochotę na kawę, no co? Z nikim nie poszedłem.

Przyglądam mu się badawczo, sprawdzam, czy stara się ukryć rozmowę, którą przeprowadził z Rhiannon, ale nie. Uznaję, że taka dwulicowość z jego strony byłaby jak

najbardziej widoczna.

Naprawdę nie pamięta, że się z nią spotkał. Że z nią rozmawiał. Był z nią.

– To dlaczego zajęło ci to tyle czasu? – dopytuję się.

– A co, pilnowałeś z zegarkiem w ręku? Jestem wzruszony.

– A do kogo pisałeś maila podczas przerwy obiadowej?

– Sprawdzalem pocztę.

– Własną pocztę?

– A czyją, kretynie? Zadajesz debilne pytania, no nie, Paul?

Paul przeżuwa bekon.

– Jak tylko otwieracie paszcze, wyłączam się. Nie mam pojęcia, o czym gadacie.

Paradoksalnie chciałbym znów znajdować się w ciele Jamesa, dzięki temu wiedziałbym, jak wyglądają jego wspomnienia z poprzedniego dnia. Mam wrażenie, że on rozpoznaje miejsca, w których był, ale stworzył sobie alternatywną wersję wydarzeń, bliższą swojemu życiu. Czy to dzieło jego umysłu, coś w rodzaju adaptacji? A może to mój umysł, tuż przed opuszczeniem ciała, celowo pozostawił mu taki scenariusz?

James nie ma wrażenia, że został opętany przez diabła.

Uważa, że wczoraj był zwyczajny dzień.



I znów poranek upływa na gorączkowym poszukiwaniu choćby kilku minut, żeby zalogować się do poczty.

Powinienem być dać jej mój numer telefonu, myślę.

I zamieram zszokowany na środku szkolnego korytarza. To tak zwyczajna, banalna uwaga, a jednak w kontekście mojego życia – całkowicie absurdalna.

Podanie jej mojego numeru nie jest możliwe. Zdaję sobie z tego sprawę, a jednak ta całkowicie prozaiczna myśl wkradła się do mojego umysłu i przez chwilę pozwoliła mi oszukiwać siebie, że też jestem zwyczajny i prozaiczny.

Nie wiem, co to oznacza, ale z pewnością niesie ze sobą jakieś ryzyko.



Podczas długiej przerwy oznajmiam Jamesowi, że idę do biblioteki.

– Ty debilu – mówi. – Biblioteki są dla dziewczyn.



Nie ma żadnej nowej wiadomości od Rhiannon, więc tym razem to ja do niej piszę.

Rhiannon,

dzisiaj rozpoznałabys mnie bez trudu. Obudziłem się jako brat bliźniak Jamesa. Pomyślałem, że to pomoże mi rozemnać się w sytuacji, ale jak dotąd żadnych sukcesów.

Chciałbym znów się z Tobą spotkać.

A

Od Nathana też nic nie przyszło. Po raz kolejny postanawiam wpisać jego nazwisko w wyszukiwarce, uznając, że teraz być może znajdę kilka artykułów na jego temat.

Pojawia się ponad dwa tysiące odniesień, tylko z ostatnich trzech dni.

Więści szybko się roznoszą. Głównie ze stron religijnych, które kupiły wyjaśnienia o szatanie. Dla nich to kolejny dowód na to, że świat schodzi na psy.

Z tego, co się orientuję, żadna z wersji bajki o *Chłopcu, który wołał o pomoc*^[4] nie daje głębszej refleksji nad stanem emocjonalnym chłopca, zwłaszcza po tym, kiedy wilk w końcu się pojawia. Chcę wiedzieć, co Nathan myśli i czy wierzy w to, co mówi. Nie pomagają mi w tym żadne artykuły ani wpisy na blogach, wszędzie opowiada tę samą historię, a ludzie przedstawiają go albo jako wariata, albo jako wyrocznie. Nikt nie bierze pod uwagę możliwości porozmawiania z nim jak ze zwykłym szesnastolatkiem. W ferworze poszukiwania skandalu wszystkim umykają najważniejsze pytania.

Otwieram ostatnią wiadomość od niego.

Nie możesz wiecznie mnie ignorować. Chcę wiedzieć, kim jesteś. Chcę wiedzieć, dlaczego robisz to, co robisz. Powiedz mi.

Jak mam odpowiedzieć, nie potwierdzając przynajmniej częściowo historii, którą stworzył? Ma rację – w końcu nie mogę wiecznie unikać jego pytań, z czasem zaczną mnie męczyć i prześladować. Będą towarzyszyły mi, gdziekolwiek się obudzę. Jednak udzielenie mu odpowiedzi będzie równoznaczne z przyznaniem mu racji, a tego nie powinienem robić. To go tylko nakręci.

Najlepiej byłoby, gdyby zaczął podejrzewać, że faktycznie postradał zmysły. To okropne z mojej strony: życzyć drugiemu człowiekowi czegoś takiego.

Chciałbym poradzić się Rhiannon, ale wyobrażam sobie, co by powiedziała. Być może w ten sposób wyraża się lepsza strona mojej osobowości. Bo przecież znam odpowiedź: nie ma sensu chronić samego siebie, jeśli później nie będzie można spojrzeć na siebie w lustrze.

Ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało, a więc jestem też odpowiedzialny za Nathana.

Zdaję sobie z tego sprawę, chociaż bardzo mi się to nie podoba.



Nie odpiszę mu od razu, muszę to sobie jeszcze przemyśleć. Pomóc mu tak, by niczego nie potwierdzać. W końcu, pod koniec ostatniej lekcji, wydaje mi się, że mam gotową odpowiedź.

Wiem, kim jesteś. Widziałem Cię w wiadomościach. To nie ma nic wspólnego ze mną – doszło do jakiejś pomyłki. Wydaje mi się jednak, że nie bierzesz pod uwagę wszystkich możliwości. Jestem pewien, że to, co Ci się przydarzyło, było niezwykle stresujące, ale zrzucanie winy na szatana nie jest słuszną drogą.

Klikam szybko „Wyślij” i pędzę na trening piłkarski. Wcześniej sprawdziłem jeszcze, czy nie przyszło coś od Rhiannon.

Niestety nie.



Przez resztę dnia nie dzieje się nic szczególnego. Aż zaczynam się zastanawiać, kiedy to zacząłem czekać na jakieś szczególne wydarzenia. Dotąd żyłem, licząc na spokój i brak zakłóceń, i czerpałem satysfakcję z trzymania się tego planu. Teraz zaczynam żałować, że kolejne godziny wydają się nudne, puste wręcz. Ćwiczenie poszczególnych ruchów sportowych to doskonała okazja, by się im przyjrzeć i przeanalizować je. Kiedyś mnie to interesowało, dziś widzę w tym pewien bezsens.

Ćwiczę futbol. Wracam do domu. Odrabiam lekcje. Jem kolację. Oglądam telewizję z rodziną.

Cała ta proza codzienności staje się nieważna w perspektywie nadrzędnego celu, dla którego chce się żyć.



James i ja idziemy spać jako pierwsi. Paul zostaje jeszcze w kuchni, omawia z mamą swój harmonogram pracy na weekend. W milczeniu przebieramy się w piżamy, idziemy do łazienki i z powrotem.

Wchodzę do łóżka, a on gasi światło. Jednak zamiast wejść pod pościel, stoi na środku pokoju.

– Tom?

– No?

– Dlaczego pytałeś, co wczoraj robiłem?

– Nie wiem – odpowiadam, siadając. – Wydawałeś się taki jakby... nieswój.

– To było dziwne. Znaczący, to twoje pytanie.

Idzie do łóżka, słyszę, jak materac ugina się pod jego ciężarem.

– A więc wszystko było okej? – pytam, z nadzieją, że może jednak czegoś się dowiem. Czegokolwiek.

– Jasne. Śmieszne, że Snyder musiał zakończyć trening i jechać uczyć się oddychania razem ze swoją żoną. To chyba jedyna dziwna rzecz w całym dniu. Tylko... a dzisiaj też wydają się nieswój?

Prawda jest taka, że nie zwracałem na to większej uwagi. Zwłaszcza od czasu śniadania.

– Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Wszystko gra. Tylko, no wiesz, nie chcę sprawiać wrażenia, jakby coś było nie tak, kiedy wszystko jest tak.

– Wyglądasz okej – zapewniam go.

– To dobrze. – Przewraca się na bok, poprawia poduszkę.

Chciałbym powiedzieć coś więcej, ale nie mam pojęcia, jakich słów użyć. Te nocne rozmowy są takie kruche i delikatne, zawieszane w ciemności, słowa przyjmują zupełnie inną postać. Myślę o tych wyjątkowych nocach, kiedy znajdowałem się w domu przyjaciela albo dzieliłem pokój z rodzeństwem czy inną osobą, którą naprawdę polubiłem. Tamte rozmowy dawały mi złudne przekonanie, że mogę mówić o wszystkim, chociaż przecież tyle musiałem ukrywać. W końcu zapadała nade mną noc i zawsze wtedy miałem wrażenie, że nie tyle zasypiam, ile łagodnie osuwam się w sen.

– Dobranoc – mówię do Jamesa. W rzeczywistości to pożegnanie. Odchodzę od tej rodziny. Byłem tu zaledwie dwa dni, ale to dwa razy dłużej niż jestem przyzwyczajony. To cień – błady i minimalny – tego, jak by to było, gdybym codziennie budził się w tym samym miejscu.

Nie wolno mi o tym myśleć.

DZIEŃ 6005

Niektórzy uważają, że choroba psychiczna to kwestia nastroju albo osobowości. Sądzą, że depresja to jedynie forma smutku, a nerwica natręctw – rodzaj podenerwowania. Wierzą, że chora jest dusza, a nie ciało, a ich zdaniem człowiek ma nad tym pewną kontrolę.

Och, jakże się mylą.

Jako dziecko nie rozumiałem tego. Budziłem się w nowym ciele i nie mogłem pojąć, dlaczego świat wydaje się przytłumiony, przyciszony. Albo wręcz przeciwnie – aż kipiałem od nadmiaru energii, nie mogłem się na niczym skupić, byłem jak ryczące na cały regulator radio przeskakujące od stacji do stacji. Ponieważ nie miałem dostępu do emocji zajmowanego ciała, zakładałem, że to, co czuję, należy wyłącznie do mnie. W końcu jednak zdałem sobie sprawę, że wszystkie te skłonności, natręctwa są tak samo częścią organizmu, który zamieszkuję, jak kolor oczu czy tembr głosu. Owszem, uczucia same w sobie były ulotne i nieuchwytny, jednak u ich podstaw leżała chemia i biologia.

To cykl, który niezmiernie trudno pokonać. Ciało występuje przeciwko tobie, a ty przez to czujesz jeszcze większą rozpacz – co tylko wzmagą zachwianie równowagi. Życie z czymś takim wymaga nie ludzkiej siły, ale ja już wielokrotnie byłem jej świadkiem. Jeśli wpadnę do życia osoby, która boryka się z podobnymi problemami, muszę tylko

naśladować ich siłę, a niekiedy nawet ją przewyższać, bo jestem gorzej przygotowany do walki.

Odczytuję dobrze wszystkie znaki. Wiem, kiedy szukać opakowań z lekiem, a kiedy zdać się na własny organizm. Cały czas muszę sobie przypominać, że to tylko chemia i biologia. To nie jestem prawdziwy ja. To nie są prawdziwi oni.



Umysł Kelsea Cook to mroczne miejsce. Wiem o tym, zanim jeszcze otworzę oczy. Brak w nim spokoju, impulsy, słowa i myśli kotłują się, zderzając się ze sobą raz za razem. Moje własne myśli próbują odnaleźć się w tym hałasie, a ciało w odpowiedzi oblewa się potem. Staram się nie tracić zimnej krwi, jednak ciało spiskuje przeciwko mnie, próbuje zatopić mnie w chaosie.

Zwykle nie jest aż tak źle zaraz po przebudzeniu, a skoro w tej chwili tak się czuję, najwyraźniej sytuacja staje się dramatyczna.

Pod chaosem kryje się pragnienie bólu. Podnoszę powieki i widzę blizny, nie tylko na ciele, chociaż oczywiście i te są obecne – rozcięcia skóry na linii włosów, pajęczyna, w którą próbujesz złapać własną śmierć. Blizny znajdują się także w pokoju, na ścianach i podłodze. Dziewczyna, która tu mieszka, już niczym się nie przejmuje. Plakaty wiszą na wpół obdarte. Lustro jest pęknięte. Ubrania leżą rozrzucone. Rolety są opuszczone, a książki stoją krzywo na półkach niczym rzędy zaniedbanych zębów. W którymś momencie musiała złamać długopis i rzucać nim dookoła, bo jeśli uważnie się przyjrzeć, na ścianach i suficie widać maleńkie zaschnięte krople atramentu.

Wnikam do jej umysłu i z przerażeniem dociera do mnie, że nikt tego nie zauważył, że dotąd nie została zdiagnozowana. Sama nie potrafi się z tym uporać.

Jest piąta rano. Obudziłem się, chociaż nie zadzwonił budzik. Obudziłem się, ponieważ moje myśli krzyczą głośno, a żadna z nich nie życzy mi dobrze.

Próbuję z powrotem zasnąć, jednak ciało mi na to nie pozwala.



Wstaję dwie godziny później.

Depresję porównywano już do czarnej chmury oraz do czarnego psa. W przypadku Kelsea ciemna chmura to właściwa metafora. Jest nią otoczona, nurza się w niej i nie ma drogi ucieczki. Powinna spróbować się z niej wydostać, nadać jej kształt czarnego psa. Wtedy nadal będzie jej towarzyszyła na każdym kroku, ale przynajmniej osobno, trzymana na smyczy.

Idę do łazienki i wchodzę pod prysznic.

– Co robisz? – woła męski głos. – Przecież kąpałaś się wczoraj wieczorem!

Mam to w nosie. Potrzebne mi uczucie wody uderzającej w moje ciało. Potrzebny mi

taki bodziec, by zacząć dzień.

Kiedy wychodzę z łazienki, ojciec Kelsea stoi w przedpokoju i patrzy na mnie ze złością.

– Ubieraj się – rzuca. Owijam się szczelniej ręcznikiem.

Zakładam ubranie i pakuję się. W plecaku Kelsea dostrzegam pamiętnik, ale nie mam czasu go czytać. Nie mam też czasu sprawdzić poczty. Co prawda ojciec znajduje się w innym pokoju, ale wyczuwam, że czeka z niecierpliwością.

Mieszkają tylko we dwoje. Wnikam do umysłu Kelsea i przekonuję się, że skłamała ojcu, żeby tylko podwoził ją do szkoły. Powiedziała, że autobus jeździ teraz inną trasą, w rzeczywistości nie chce być uwięziona w jednym pojeździe z bandą dzieciaków. Nie, żeby jej dokuczali – jest zbyt zajęta gnębieniem samej siebie, by coś takiego zauważyć. Problemem jest ograniczona przestrzeń i niemożność wyjścia.

Samochód ojca nie jest lepszy pod tym względem, ale przynajmniej oprócz niej znajduje się w nim tylko jedna osoba. Ruszają, a jej ojciec nadal roztacza wokół siebie aurę zniecierpliwienia. Nieodmiennie zdumiewają mnie ludzie, którzy wiedzą, że coś jest nie tak, jednak ignorują to, jakby w ten sposób mogli odpędzić problem. Unikają konfrontacji, w efekcie i tak pogrążają się w negatywnych emocjach.

„Ona potrzebuje twojej pomocy” – mam ochotę powiedzieć, lecz to nie moja sprawa, zwłaszcza że nie wiem, jak by zareagował. Tak więc Kelsea milczy przez całą drogę. Ponieważ ojciec odpowiada tym samym, mogę się domyślać, że tak właśnie wyglądają ich wszystkie poranki.



Kelsea ma dostęp do internetu z komórki, ale boję się, że ktoś mógłby mnie wysledzić, zwłaszcza po tej historii z Nathanem.

Tak więc czekam na sposobność. Muszę wkładać sporo wysiłku, żeby Kelsea przetrwała dzień. Kiedy tylko na chwilę odpuszczam, ciężar istnienia zaczyna ją przytłaczać. Łatwo byłoby mi powiedzieć, że czuję się niewidzialny. W rzeczywistości jednak mam bolesną świadomość bycia widzialnym dla innych i jednocześnie całkowicie przez nich ignorowanym. Ludzie próbują rozmawiać z Kelsea, jednak mam wrażenie, jakby byli gdzieś daleko, jakby mówili przez ścianę. To znajomi, ludzie, z którymi można spędzać czas, ale nie współżyć. Moja intuicja szepcze mi, że wszystko jest takie bezsensowne.

Jedyną osobą, która próbuje wciągnąć mnie do rozmowy, jest partnerka Kelsea z laboratorium, niejaka Lena. Mamy zajęcia z fizyki, na których budujemy układ z krążkiem linowym. Robiłem to już wcześniej, więc uważam, że zadanie będzie łatwe. Lena jest jednak zdumiona zaangażowaniem koleżanki, więc zdaję sobie sprawę, że chyba przesadziłem – Kelsea z pewnością nie wykazałaby się takim entuzjazmem. Lena nie pozwala mi jednak odsunąć się na bok. Kiedy mamrocę przeprosiny i cofam się, nalega, żebym kontynuowała.

– Jesteś w tym dobra – mówi. – O wiele lepsza ode mnie.

Ustawiam wszystko, dopasowuję stopień nachylenia, biorę pod uwagę rozmaite rodzaje tarcia, a w tym czasie Lena opowiada mi o imprezie tanecznej, która się niebawem odbędzie. Pyta, czy mam plany na weekend, i opowiada, że ona być może pojedzie z rodzicami do Waszyngtonu. Mam wrażenie, że lustruje moje reakcje i domyślam się, że rozmowa zwykle zamiera zdecydowanie szybciej. Pozwalam jej jednak mówić, niech dźwięk jej słów stanowi przeciwwagę wobec niewypowiedzianego, natarczywego głosu, który wydobywa się z mojego pokręconego umysłu.

Lekcja dobiega końca, każda z nas odchodzi w swoją stronę. Do końca dnia już się nie spotykamy.



Przerwę obiadową spędzam przy komputerze w bibliotece. Nie sędzę, żeby ktokolwiek specjalnie przejął się moją nieobecnością w stołówce – ale może to Kelsea podsuwa mi tę myśl. Dorastanie polega między innymi na tym, że wizja rzeczywistości przestaje być wyłącznie wytworem twojego własnego umysłu. Obawiam się, że umysł Kelsea nie pozwala jej nawet zbliżyć się do tego stanu i zaczynam się zastanawiać, ile moich własnych myśli także utknęło w tym chaosie.

Logowanie się do mojej poczty to dla mnie przyjemna odmiana, przypomnienie, że przecież nie jestem Kelsea. Co więcej, Rhiannon do mnie napisała. Sam widok wiadomości poprawia mi humor – do czasu, gdy przeczytam jego treść.

A,

to kim jesteś dzisiaj?

Jak dziwnie brzmi to pytanie, choć przecież logicznie. O ile w tym wszystkim w ogóle jest jakaś logika.

Wczoraj miałam ciężki dzień. Zachorowała babcia Justina, a on, zamiast przyznać, że się tym stresuje, jeszcze bardziej się wyżywa na wszystkich. Próbuję mu pomóc, ale to trudne.

Nie wiem, czy masz ochotę o tym czytać. Znam Twoje zdanie na temat Justina. Jeśli wolisz, żebym ukrywała przed Tobą tę część mojego życia – nie ma sprawy. Sędzę jednak, że wcale tego nie chcesz.

Napisz, jak mija Twój dzień.

Rhiannon

Odpisuję, wspominając pobieżnie o Kelsea.

Wiadomość kończę tak:

Chcę, żebyś była ze mną szczerą, nawet jeśli sprawia mi to ból.

Oczywiście, wolałbym, żeby nie bolało.

Uściski

A

Przełogowuję się do drugiej skrzynki i znajduję odpowiedź od Nathana.

Dobrze wiem, że nie ma mowy o pomyłce. Wiem, czym jesteś. Dowiem się też, kim jesteś. Ksiądz mówi, że nad tym

pracuje.

Chcesz, żebym zwątpił w siebie, ale nie jestem jedyny, jeszcze się przekonasz.

Wyznaj wszystko, zanim Cię znajdziemy.

Przez dłuższą chwilę wpatruję się w ekran, próbując połączyć ton tego maila z charakterem Nathana, którego znałem przez jeden dzień. Mam wrażenie, jakby chodziło o dwie zupełnie różne osoby. Czy to możliwe, że ktoś przejął jego pocztę? Ciekawe, co to za „ksiądz”?

Dzwonek obwieszcza koniec przerwy obiadowej. Wracam do klasy i znów zasysa mnie czarna chmura. Z trudem koncentruję się na tym, co mówi nauczyciel. Wszystko wydaje mi się takie nieistotne. Nic, czego mnie tu uczą, nie zmniejszy bólu mojej egzystencji. Nie dokona tego żadna osoba obecna w tej klasie. Przeprowadzam atak na skórki przy paznokciach z chorobliwą wręcz pedanterią. Ból fizyczny to jedyne uczucie, które wydaje się prawdziwe.



Ojciec Kelsea nie przyjedzie po nią po lekcjach, bo jest w pracy. Dziewczyna zwykle chodzi pieszo, żeby uniknąć podróży autobusem. Kusi mnie, żeby wyłamać się z tej rutyny, ale ona tak dawno nie jechała autobusem, że w jej umyśle nie ma nic na temat numeru i trasy. Ruszam więc pieszo.

Znów marzę o jakże zwyczajnej możliwości zadzwonienia do Rhiannon, wypełnienia następnej pustej godziny brzmieniem jej głosu.

Zamiast tego zostaję sam na sam z Kelsea i jej skrzywioną wizją rzeczywistości. Droga do domu prowadzi pod górę, zastanawiam się, czy to także forma kary, jaką sobie wymierza. Po trzydziestu minutach, z perspektywą kolejnej półgodzinnej wędrówki, postanawiam zatrzymać się na mijanym placu zabaw. Rodzice patrzą na mnie niespokojnie, ponieważ nie jestem ani matką, ani dzieckiem. Trzymam się z dala od drabinek, zjeżdżalni i piaskownicy i znajduję położoną dalej huśtawkę-konika. Wygląda, jakby została wyrzucona z głównego placu w ramach kary za złe zachowanie.

Mam lekcje do odrobienia, jednak przyciąga mnie pamiętnik Kelsea. Boję się nieco tego, co znajdę w środku, ale ciekawość bierze górę. Skoro nie mogę wnikać do jej uczuć, może chociaż będę mógł przeczytać nieobiektywną relację.

Już po pierwszych dwóch stronach wiem, że to nie jest typowy pamiętnik. Nie ma tu rozmyślań na temat chłopaków i koleżanek. Nie ma analizy kłótni z ojcem czy nieporozumień z nauczycielami. Brakuje sekretów i dawania upustu urażonym uczuciom. Zamiast tego znajduję wszystkie możliwe sposoby pozbawienia się życia, wypunktowane z niezwykłą dbałością o szczegóły.

Nóż w serce. Noże wbite w ramię. Pasek zaciśnięty na szyi. Foliowa torebka. Upadek z wysokości. Spalenie. Każda metoda została podana wnikliwej analizie, łącznie z ilustracjami. To proste szkice, bez wątpienia przedstawiające ją samą. Autoportrety

własnej śmierci.

Przerzucam kartki pełne instrukcji oraz informacji o dawkowaniu. Na końcu widzę kilka pustych kartek oraz stronę z napisem „Termin ostateczny”. Tuż pod nim widnieje data – zostało mi jeszcze sześć dni.

Kartkuję zeszyt z nadzieją, że znajdę inne – przekroczone terminy.

Niestety jest tylko ten jeden.

Zsiadam z huśtawki, wychodzę z parku. Teraz rzeczywiście czuję się jak coś, czego boją się rodzice na placu zabaw, jestem rzeczywistością, której chcą za wszelką cenę unikać. Nie, nie tylko unikać – ale zapobiec. Nie chcą, żebym zbliżał się do ich dzieci, i nie mogę ich za to winić. Mam wrażenie, że wszystko, czego dotknę, przynosi cierpienie.

Nie wiem, co robić. W tej chwili nie istnieje zagrożenie – to ja sprawuję kontrolę nad ciałem, i dopóki tak się dzieje, nie pozwolę jej zrobić sobie krzywdy. Jednak za sześć dni mnie tu już nie będzie.

Tak, nie powinienem się wtrącać. To życie Kelsea, nie moje. Byłoby niesprawiedliwe z mojej strony, gdybym zrobił coś, co zwiąże jej ręce, podejmie za nią decyzję.

Pod wpływem dzieciennego pragnienia żałuję, że otworzyłem ten dziennik. Jest już za późno.

Próbuję wnikać do pamięci Kelsea i znaleźć informację o tym, że wołała o pomoc. Problem z wołaniem o pomoc jest taki, że musi być ktoś obok, kto je usłyszy. Nie znajduję czegoś takiego w jej życiu. Jej ojciec widzi tylko to, co chce widzieć, a ona nie zamierza pozbawiać go złudzeń. Jej matka odeszła wiele lat temu. Z pozostałymi krewnymi nie utrzymują bliskich kontaktów. Przyjaciele istnieją, ale daleko poza czarną chmurą. To, że Lena była miła na lekcji fizyki, nie znaczy jeszcze, że należy ją obarczyć ciężarem, zresztą pewnie nie wiedziałyby, co zrobić.

Wracam do pustego domu Kelsea spocony i wyczerpany. Włączam komputer i wszystko, czego potrzebuję, znajduję w historii jej przeglądarki – strony, z których wzięła swoje plany, adresy, pod którymi można się wszystkiego dowiedzieć. Wystarczy jedno kliknięcie, łatwe do zobaczenia. Tylko że nikt nie patrzy.

Musimy koniecznie z kimś porozmawiać, i ona, i ja.

Piszę do Rhiannon.

Muszę koniecznie z Tobą pogadać – natychmiast. Dziewczyna, w której ciele się znalazłem, zamierza się zabić. To nie jest żart.

Podaję jej numer domowy Kelsea, zakładając, że nie zostanie to nigdzie zarejestrowane, a zresztą, zawsze można powiedzieć, że to była pomyłka.

Dzwoni dziesięć minut później.

– Halo?

– To ty? – pyta.

– Tak. – Zapomniałem, że nie zna brzmienia mojego głosu. – To ja.

– Dostałam twoją wiadomość. Nieźle.

– No właśnie: nieźle.

– Skąd o tym wiesz?

Opowiadam jej o pamiętniku.

– Biedna dziewczyna. Co zamierzasz zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– Nie musisz komuś o tym powiedzieć?

– Nie zostałem przeszkolony, co się robi w takich sytuacjach, Rhiannon. Naprawdę nie wiem.

Wiem tylko, że jest mi potrzebna, jednak boję się tego powiedzieć. Ponieważ mogłaby się przestraszyć.

– Gdzie jesteś? – pyta.

Podaję jej nazwę miasta.

– To niedaleko. Mogę podjechać. Jesteś sam?

– Tak. Jej ojciec wraca dopiero koło dziewiętnastej.

– Podaj mi adres.

Podaję.

– Przyjadę – mówi.

Nie muszę nawet jej prosić. Nawet się nie domyśla, ile to dla mnie znaczy.



Ciekawe, co by się stało, gdybym posprzątał w pokoju Kelsea. Gdyby obudziła się jutro rano i jej oczom ukazałby się porządek. Czy przyniosłoby to jej nieoczekiwany spokój? Czy zrozumiałaby dzięki temu, że jej życie nie musi być chaosem? A może tylko rzuciłaby jedno spojrzenie i wszystko znów porozwalała? Bo tak właśnie dyktuje jej chemia, jej biologia?



Dzwonek do drzwi. Przez dziesięć minut wpatrywałem się w plamy atramentu na ścianach, z nadzieją, że przeobrażą się w odpowiedź. Wiem, że tak się nigdy nie stanie.

Czarna chmura jest teraz tak gęsta, że nawet obecność Rhiannon jej nie rozprasza. Cieszę się na jej widok, ale w mojej radości więcej jest zrezygnowanej wdzięczności niż rzeczywistej przyjemności.

Patrzy na mnie, mrugając. Zapomniałem, że nie jest przyzwyczajona, by codziennie spotykać zupełnie inną osobę. Co innego zaakceptować tę wiedzę w teorii, a co innego spoglądać na chudą, drżącą dziewczynę, stojącą na skraju przepaści.

– Dziękuję, że przyjechałaś – mówię.

Jest już po piątej, nie mamy zbyt wiele czasu do powrotu ojca Kelsea.

Idziemy do jej pokoju. Rhiannon zauważa leżący na łóżku pamiętnik. Bierze go do ręki.

Czekam, aż skończy czytać.

– To poważna sprawa – mówi. – Ja też miałam... różne myśli. To jednak coś zupełnie innego.

Siada na łóżku. Dołączam do niej.

– Musisz ją powstrzymać – oznajmia.

– Ale jak? Czy mam prawo? Nie powinna sama o sobie decydować?

– I co? Pozwolisz jej umrzeć? Bo nie chcesz się angażować?

Chwytam ją za rękę.

– Nie wiemy, czy to prawdziwy termin. Być może w ten sposób tylko radzi sobie z negatywnymi myślami. Przelewa je na papier, żeby nie musieć tego robić.

Rhiannon wbija we mnie wzrok.

– Nie wierzysz w to, prawda? Nie dzwoniłbyś do mnie, gdyby tak nie było – dodaje i patrzy na nasze dłonie.

– To dziwne – mówi.

– Co masz na myśli?

Ściska mnie raz i zabiera rękę.

– To.

– Czyli?

– Jest inaczej niż ostatnio. To zupełnie inna ręka. I ty też.

– Jestem taki sam.

– Nie możesz tak mówić. Owszem, wewnątrz tak, ale wygląd też ma znaczenie.

– Ty wyglądasz tak samo, bez względu na to, czyimi oczami na ciebie patrzę. Czuję do ciebie to samo.

To prawda, chociaż nie do końca o to jej chodziło.

– Nigdy nie angażujesz się w życie innych ludzi? Tych, których ciało zamieszkujesz?

Kręcę przecząco głową.

– Zawsze starasz się zostawić wszystko tak, jak to zastałeś.

– Owszem.

– A co z Justinem? Co spowodowało, że wtedy było inaczej?

– Ty – mówię.

Tylko jedno słowo, ale wreszcie to do niej dociera. Jedno słowo i drzwi do czegoś potężnego zostają wreszcie otwarte.

– To nie ma sensu – odpowiada.

Jedynym sposobem, by jej udowodnić sens, by urzeczywistnić to potężne coś, jest pocałowanie Rhiannon. Jak ostatnim razem, choć niezupełnie jak wtedy. To nie jest nasz pierwszy pocałunek, a jednocześnie pierwszy. Inne uczucie dla moich ust, nasze ciała inaczej do siebie pasują. Jest także coś jeszcze, co nas otacza – oprócz czegoś potężnego, znajduje się tu jeszcze czarna chmura. Nie całuję jej dlatego, że chcę, ale dlatego, że tego potrzebuję – całuję ją z powodu, który wykracza poza pragnienia i potrzeby, który wydaje się najważniejszy dla naszej egzystencji. To cząstka molekularna, na której zostanie

zbudowany nasz wszechświat. To nie jest nasz pierwszy pocałunek, lecz pierwszy, kiedy mnie zna, a przez to jest to nasz pierwszy prawdziwy pocałunek.

Żałuję, że Kelsea też nie może tego poczuć. A może czuje? To za mało. To nie jest rozwiązanie problemów. Jednak ciężar przez chwilę wydaje się mniejszy.

Gdy się od siebie odrywamy, Rhiannon wcale się nie uśmiecha. Nie ma oszołomienia jak za pierwszym razem.

– To dziwaczne – mówi.

– Dlaczego?

– Bo jesteś dziewczyną? A ja nadal mam chłopaka? Bo rozmawiamy o czymś samobójstwie?

– Czy to wszystko ma dla ciebie znaczenie – w głębi duszy? – Dla mnie nie ma.

– Tak.

– Co konkretnie?

– Wszystko. Kiedy cię całuję, nie całuję tak naprawdę ciebie. Tkwisz wewnątrz innej osoby, a ja całuję zewnętrzną część. I teraz, chociaż wyczuwam cię w środku, widzę tylko smutek. Całując ją, mam ochotę się rozplakać.

– Nie tego chciałem.

– Wiem. Ale tak to wygląda.

Wstaje i rozgląda się po pokoju, szukając śladów morderstwa, które jeszcze nie miało miejsca.

– A gdyby krwawiła na środku ulicy, co byś zrobił?

– To nie to samo.

– A gdyby chciała zabić inną osobę?

– Zgłosiłbym to na policję.

– Na czym więc polega różnica?

– To jej własne życie, a nie cudze.

– To nadal zabójstwo.

– Jeżeli naprawdę chce to zrobić, nie jestem w stanie jej powstrzymać. – Już gdy to mówię, sam wiem, jak źle to zabrzmiało. – No dobrze – ciągnę, nie pozwalając Rhiannon, by mi przerwała. – Stawianie przeszkód może pomóc. Zaangażowanie innych osób. Wysłanie jej do lekarza.

– To wszystko, co zrobiłbyś, gdyby miała raka albo krwawiła na ulicy.

Tego właśnie potrzebuję. Nie wystarczą mi rady wypowiedane własnym głosem. Musi je wygłosić ktoś, komu ufam.

– Komu więc mam powiedzieć?

– Może szkolnemu psychologowi?

Zerkam na zegarek.

– Szkoła jest już zamknięta. Nie zapominaj, że mamy czas tylko do północy.

– A jej najlepsza przyjaciółka?

Kręcę głową.

- Chłopak? Dziewczyna?
- Nie.
- Gorąca linia dla samobójców?
- Jeżeli nawet zadzwonię, to udziela rad mnie, a nie jej. Nie wiemy, czy jutro będzie cokolwiek z tego pamiętała, a jeśli nawet – czy to odniesie jakikolwiek skutek. Uwierz mi, przeanalizowałem wszystkie opcje.
- A więc to musi być jej ojciec, prawda?
- Mam wrażenie, że dawno się już wyłączył.
- To czas, żeby się znów włączył.
- Niby proste, jednak oboje wiemy, że wcale takie nie jest.
- Co mam powiedzieć?
- Powiedz: Tato, chcę się zabić. Po prostu wyjdź i to powiedz.
- A jeśli zapyta mnie, dlaczego?
- Odpowiedz, że nie wiesz. Nic nie obiecuj. To ona będzie musiała nad tym popracować, poczynając od jutra.
- Przemysłałaś to sobie dokładnie, prawda?
- Za kierownicą łatwiej się skupić.
- A jeśli jego to nie obchodzi? Jeśli jej nie uwierzy?
- Wtedy bierz kluczyki i jedź do najbliższego szpitala. Koniecznie weź ze sobą pamiętnik.
- Kiedy słucham jej słów, wszystko brzmi tak logicznie.
- Rhiannon znów siada na łóżku.
- Chodź – mówi. Tym razem jednak się nie całujemy. Tym razem przytula do siebie moje wątłe ciało.
- Nie wiem, czy dam radę – szepczę.
- Dasz – mówi. – Oczywiście, że dasz.



Kiedy ojciec wraca do domu, siedzę sam w pokoju Kelsea. Słyszę, jak rzuca kluczyki i wyjmuje coś z lodówki. Potem idzie do sypialni i wraca do kuchni. Nie wita się, nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

Mija pięć minut. Dziesięć.

– Obiad! – woła w końcu.

Nie słyszałem, żeby cokolwiek działo się w kuchni, więc nie dziwi mnie widok wiaderka z KFC na stole. Ojciec już zabrał się za obgryzanie pałki.

Domyślam się, że zwykle tak to właśnie wygląda. On zabiera obiad do salonu i siada przed telewizorem. Ona idzie do swojego pokoju. Tak mija wieczór.

Ale dzisiaj będzie inaczej.

– Chcę się zabić – mówię dzisiaj.



Początkowo mam wrażenie, że mnie nie usłyszał.

– Wiem, że nie chcesz o tym wiedzieć – mówię. – Ale to prawda.

Opuszcza rękę, nadal trzymając w niej kurczaka.

– Co ty mówisz?

– Chcę umrzeć.

– Jak to? Naprawdę?

Gdybym była Kelsea, pewnie wyszłabym z kuchni rozgoryczona. Dałabym za wygraną.

– Musisz mi pomóc – mówię. – Od dawna noszę się z tym zamiarem. – Kładę na stole pamiętnik, popycham go w jego stronę. Być może to moja wielka zdrada Kelsea. Czuję się okropnie, ale wyczarowuję w myślach słowa Rhiannon, która mówi mi, że robię dobrze.

Ojciec Kelsea odkłada pałkę i bierze do ręki dziennik. Zaczyna go czytać. Próbuje odszyfrować jego minę. Nie chce wcale na to patrzeć, nie podoba mu się to, co widzi. Nienawidzi tego. Ale nie jej. Czyta dalej, bo nawet jeśli nienawidzi sytuacji, jego uczucia do córki są inne.

– Kelsea... – Głos mu się łamie.

Jaka szkoda, że ona nie może zobaczyć jego reakcji. Tej miny, nagłego zrozumienia. Może wtedy zdałaby sobie sprawę, że nawet jeśli świat się zupełnie dla niej nie liczy, ona nadal liczy się dla świata.

– To nie jest takie... nic? – pyta.

Potrząsam głową. Głupie pytanie, jednak nie zamierzam mu tego wypominać.

– To co powinniśmy zrobić?

Mam go!

– Musimy znaleźć pomoc – mówię. – Jutro rano musimy odszukać psychiatrę, który przyjmuje w soboty i dowiedzieć się, co sugeruje. Pewnie powinnam dostać leki. A już na pewno muszę porozmawiać z lekarzem. To trwa zbyt długo.

– Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

Dlaczego nic nie zauważyłaś? – mam ochotę zapytać. Jednak to nie jest właściwa pora. Sam do tego dojdzie.

– Nieważne. Skupmy się na teraźniejszości. Proszę o pomoc, musisz mi ją załatwić.

– Jesteś pewna, że to może poczekać do rana?

– Dzisiaj nic nie zrobię. Jutro musisz mnie obserwować. Zmusić mnie, jeśli zmienię zdanie. Może się tak stać. Mogę udawać, że ta rozmowa w ogóle nie miała miejsca. Zatrzymaj pamiętnik. On kryje prawdę. Jeśli będę próbowała z tobą walczyć, nie daj się. Wezwij karetkę.

– Karetkę?

– To naprawdę aż tak poważna sprawa, tato.

Dopiero to ostatnie słowo daje mu do myślenia. Nie sądzę, żeby Kelsea zbyt często je stosowała.

Zaczyna płakać. Siedzimy w kuchni, patrzymy na siebie.

– Zjedz coś – mówi w końcu.

Wyjmuję kawałek kurczaka i zabieram ze sobą do pokoju. Powiedziałem wszystko, co było do powiedzenia.

Resztę będzie musiała dopowiedzieć mu Kelsea.



Słyszę, jak kroczy nerwowo po domu. Słyszę, że do kogoś dzwoni – mam nadzieję, że to osoba, która pomoże mu tak, jak Rhiannon pomogła mnie. Słyszę, jak przystaje pod moimi drzwiami. Boi się otworzyć, ale nasłuchuje. Poruszam się, żeby wiedział, że żyję i nie śpię. Zasypiam przy dźwiękach jego troski.

DZIEŃ 6006

Dźwięk telefonu.

Wyciągam rękę, sądząc, że to dzwoni Rhiannon.

Chociaż wiem, że to niemożliwe.

Spoglądam na wyświetlacz. Austin.

Mój chłopak.

– Halo? – odbieram.

– Hugo! Pobudka! Jest już dziewiąta. Będę u ciebie za godzinę, więc zrób się na bóstwo.

– Jasne – mamroczę.

Mam mnóstwo do zrobienia w ciągu tej godziny.

Przede wszystkim muszę wstać, wziąć prysznic i się ubrać. Z kuchni docierają mnie dźwięki głośnej rozmowy rodziców. Mówią w języku, którego nie znam. Brzmi jak hiszpański, jednak to nie jest hiszpański – przypuszczam, że portugalski. Obce języki mnie dezorientują – owszem, znam podstawy kilku, ale nie jestem w stanie na tyle szybko wnikać w umysł osoby, której ciało zajmuję, żeby udawać ich płynną znajomość. Sprawdzam i dowiaduję się, że jego rodzice pochodzą z Brazylii. Ponieważ ta wiedza w żaden sposób nie pomoże mi ich zrozumieć, postanawiam trzymać się z dala od kuchni.

Austin ma przyjechać po Hugona i zabrać go na paradę gejów w Annapolis. Jadą z nimi ich przyjaciele, William i Nicolas. Hugo zaznaczył sobie wyjazd w kalendarzu, równie mocno wyrył sobie tę datę w pamięci.

Na szczęście Hugo ma w pokoju laptopa – a skoro jest weekend i nie ma mowy o skorzystaniu ze szkolnego komputera, postanawiam zaryzykować. Otwieram szybko pocztę i znajduję wiadomość od Rhiannon, wysłaną zaledwie dziesięć minut wcześniej.

A,

mam nadzieję, że wczoraj wszystko poszło dobrze. Dzwoniłam do niej przed chwilą, ale nikogo nie było w domu – myślisz, że pojechali do specjalisty? Staram się myśleć, że to dobry znak.

A tak poza tym, zajrzyj w ten link. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Gdzie jesteś dzisiaj?

R.

Klikam na znajdujący się pod jej wiadomością link i przechodzę do strony jednego z większych tabloidów z Baltimore. Nagłówek aż bije po oczach:

SZATAN JEST WŚRÓD NAS!

To historia Nathana, ale nie tylko jego. Tym razem jeszcze pięć czy sześć innych osób z regionu utrzymuje, że opętał je szatan. Z ulgą stwierdzam, że oprócz Nathana nie znam żadnej z nich. Wszyscy są ode mnie starsi i większość mówi, że szatan opętał ich na dłużej niż jeden dzień.

Można by sądzić, że dziennikarz powinien podchodzić do takich tematów sceptycznie, lecz ta redaktorka kupuje każdą historię. Podaje nawet linki do innych podobnych opowieści – oczekujących na karę śmierci przestępców, którzy dowodzili, że kierowała nimi jakaś szatańska siła; polityków i kaznodziejów, którzy przyłapani w kontrowersyjnych sytuacjach twierdzili, że opanowała ich jakaś dziwna moc. Bardzo podobne historie.

Pospiesznie wrzucam imię Nathana w wyszukiwarkę i znajduję więcej artykułów. Najwyraźniej jego opowieść zatacza coraz szersze kręgi.

W każdym tekście przewija się jedno nazwisko, a cytowane wypowiedzi sprowadzają się w zasadzie do tego samego.

„Nie mam wątpliwości, że to przypadki opętania przez diabła – mówi Wielebny Anderson Poole, u którego Daldry zasięgnął rady. – Książkowe wręcz przykłady tego zjawiska. Szatan jest niezwykle przewidywalny”.

„Te przypadki opętania nie powinny zaskakiwać – twierdzi ksiądz. – Nasze społeczeństwo zostawia szatanowi otwarte drzwi, dlaczego nie miałby z nich skorzystać?”

Ludzie w to wierzą. W komentarzach znajduje się nieskończona lista wypowiedzi osób, które we wszystkim widzą dzieło szatana.

I chociaż wiem, że to nierozsądne, piszę krótkiego maila do Nathana.

„Nie jestem szatanem.

Wysyłam, ale wcale nie czuję się przez to lepiej.

W mailu do Rhiannon relacjonuję jej rozmowę Kelsea z ojcem. Informuję ją także, że spędzę ten dzień w Annapolis, opisuję, jak wyglądam i w co będę ubrany.

Za oknem rozbrzmiewa klakson. Widzę samochód – zapewne należący do Austina.

Biegnę przez kuchnię, żegnając się szybko z rodzicami i wskakuję do auta. Gość zajmujący przednie siedzenie (William) przechodzi na tył, do swojego partnera (Nicolasa), żebym mógł usiąść obok mojego chłopaka. Austin spogląda na mój strój i cmoka.

– Założyłeś coś takiego na paradę gejów? – pyta. Żartuje. Chyba.

Przez cały czas w samochodzie toczą się rozmowy, ale ja w nich prawie nie uczestniczę. Myślami jestem zupełnie gdzie indziej.

Nie powinienem wysyłać Nathanowi tego maila.

Jedna krótka linijka, jednak zdradzam w niej zbyt wiele.



Ledwie wjechaliśmy do Annapolis, a Austin już promienieje radością.

– Fajnie, nie? – ciągle powtarza.

William, Nicolas i ja zgodnie kiwamy głowami. W rzeczywistości parady w Annapolis to nic szczególnego – można mieć nawet wrażenie, że na jeden dzień wojsko zamieniło się w gejów i lesbijki, a przypadkowe pospólstwo przyszło im kibicować. Pogoda jest ładna, słoneczna, co dodatkowo poprawia wszystkim nastrój. Austin trzyma mnie za rękę i wymachuje nią mocno, gdy idziemy chodnikiem wyłożonym żółtą kostką. W normalnych okolicznościach byłbym wniebowzięty. Austin ma wszelkie prawo do dumy i radości z tego dnia. To nie jego wina, że jestem taki rozkojarzony.

Rozglądam się w tłumie w poszukiwaniu Rhiannon. Nie mogę się powstrzymać. Co pewien czas Austin mnie na tym przyłapuje.

– Widzisz kogoś znajomego? – pyta.

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Nie ma jej. Nie dała rady przyjechać, a ja czuję się jak krety, że tak się łudziłem. Przecież nie może za każdym razem rzucać wszystkiego i pędzić do mnie, bo jestem blisko. Jej dzień jest tak samo ważny jak mój.

Zbliżamy się do narożnika, gdzie garstka osób protestuje przeciwko paradzie. Zupełnie tego nie rozumiem. To równie bezsensowne jak bojkot tych, którzy mają rude włosy.

Według mojego doświadczenia pożądanie to pożądanie, a miłość to miłość. Nigdy nie zakochałem się w płci, zawsze w konkretnych osobach. Dla mnie to oczywiste i nie mogę zrozumieć, dlaczego niektórym wydaje się to takie trudne.

Pamiętam, jak Rhiannon zawahała się przed dłuższym pocałunkiem, kiedy byłem Kelsea. Mam nadzieję, że to wahanie nie wynikało z niczego głębszego. Było wtedy wiele innych możliwych powodów.

Mój wzrok pada na transparent niesiony przez demonstrantów. „Homoseksualizm to dzieło szatana”. Znowu rozmyślam nad tym, jak ludzie chętnie przypisują diabłu wszystko to, czego się boją. Ciąg przyczynowo-skutkowy jest tu zupełnie odwrócony. Szatan do niczego ludzi nie zmusza, działają z własnej woli, a potem winią diabła.

Jak można się było spodziewać, Austin zatrzymuje się tuż przed demonstrantami, by mnie pocałować. Staram się poddać chwili, pod względem ideowym jestem z nim, ale nie ma mnie w tym pocałunku. Nie potrafię się w nim zatracić.

Zauważa to. Nic nie mówi, ale zauważa.



Chciałbym sprawdzić pocztę na komórce Hugona, lecz Austin nie spuszcza mnie z oka. Kiedy William i Nicolas postanawiają pójść coś przekąsić, Austin decyduje, że w takim razie się rozdzielimy.

Sądziłem, że my też pójdziemy na obiad, ale on prowadzi do butiku i przez następną godzinę przymierza kolejne ciuchy, pytając mnie o zdanie. W którymś momencie wciąga mnie do przymierzalni, żeby wykraść parę buziaków. Nie oponuję. Przez cały czas myślę jednak o Rhiannon. Jeśli nie wyjdziemy na zewnątrz, za żadne skarby mnie nie znajdzie.

Austin zastanawia się głośno, czy obcisłe dzinsy są wystarczająco obcisłe, a moje myśli wracają do Kelsea. Ciekawe, co teraz robi. Czy zdecydowała się zrzucić kamień z serca, czy broni się i zaprzecza wszystkiemu? Wyobrażam sobie Toma i Jamesa, jak grają na konsoli, nieświadomi tego, że coś zaburzyło niedawno ich życie. Myślę o Rogerze Wilsonie, który z pewnością będzie dzisiaj wieczorem przygotowywał ubranie na jutrzejsze wyjście do kościoła.

– I co o tym sądzisz? – pyta Austin.

– Są świetne – mówię.

– Przecież nawet nie spojrzalesz.

Ma rację. Nie patrzyłem.

Robię to teraz. Muszę zwracać na niego większą uwagę.

– Podobają mi się.

– A mnie nie! – rzuca i wraca ze złością do przymierzalni.



Okazałem się kiepskim gościem w ciele Hugona. Wnikam do jego umysłu i przekonuję się, że dokładnie rok temu, podczas takiej samej parady on i Austin zostali parą. Wcześniej się kumplowali, ale nigdy nie rozmawiali o swoich uczuciach. Bali się, że zniszczą tę przyjaźń, więc sytuacja zamiast zmieniać się na lepsze, stawała się coraz bardziej kłopotliwa. W końcu, kiedy minęło ich dwoje dwudziestoparolatków trzymających się za ręce, Austin powiedział:

– Widzisz, to możemy być my za dziesięć lat.

– Albo za dziesięć miesięcy – odparł wtedy Hugo.

– Albo za dziesięć dni – dodał Austin.

– Albo za dziesięć minut – powiedział Hugo.

– Albo za dziesięć sekund – zakończył Austin.

A potem odliczyli do dziesięciu, chwycili się za ręce i tak się trzymali do końca dnia.

Tak to wszystko się zaczęło.

Hugo na pewno by to pamiętał.

Ale ja zapomniałem.



Austin wyczuwa, że coś się zmieniło. Wraca z przymierzalni bez żadnych ciuchów, patrzy na mnie i podejmuje decyzję.

– Chodźmy stąd – mówi. – Nie chcę prowadzić tej rozmowy w sklepie.

Prowadzi mnie nad wodę, z dala od parady, z dala od tłumów. Wypatruje jakąś położoną w odosobnieniu ławkę, a ja idę za nim. Siadamy, a wtedy zaczyna się.

– Przez cały dzień jesteś nieobecny duchem – zarzuca mi. – Wiecznie się rozglądasz, szukając kogoś. Nie słuchasz, co do ciebie mówię. A pocałunki? Równie dobrze mógłbym się całować z kawałkiem drewna. I to właśnie dzisiaj. Wydawało mi się, że chcesz dać nam szansę. Mówiłeś, że wychodzisz z tego, co cię dręczyło przez ostatnie dwa tygodnie. Dobrze pamiętam, jak twierdziłeś, że nie ma nikogo innego. Może jednak się myłę. Hugo, byłem gotów stanąć na rzęsach, ale nie mogę stawać na rzęsach i jednocześnie iść do przodu, nie mogę stawać na rzęsach i w tym samym czasie rozmawiać. Najwyraźniej nie jestem aż tak wygimnastykowany.

– Austin, przepraszam – mówię.

– Czy ty mnie w ogóle kochasz?

Nie mam pojęcia, co Hugo do niego czuje. Gdybym wniknął do jego umysłu, z pewnością znalazłbym chwile, w których go kochał i momenty, w których go nie kochał. Nie potrafię odpowiedzieć szczerze na to pytanie. Zagiął mnie.

– Moje uczucia do ciebie się nie zmieniły – odpowiadam. – Jestem dzisiaj trochę nie w sosie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Austin wybucha śmiechem.

– Nasza rocznica nie ma nic wspólnego ze mną?

– Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o mój nastrój.

Austin potrząsa głową.

– Nie mogę, Hugo. Ja już dłużej tak nie mogę.

– Zrywasz ze mną? – pytam, a w moim głosie pojawia się autentyczne przerażenie. To niemożliwe, żebym zrobił im coś takiego.

Austin słyszy ten strach, patrzy na mnie i być może widzi coś, co jest warte zachodu.

– Nie tak wyobrażałem sobie dzisiejszy dzień – wyznaje. – Jednak chcę wierzyć, że tego nie zaplanowałaś.

Nie sądzę, żeby Hugo planował dzisiaj zerwać z Austinem. A jeśli nawet, zawsze może zrobić to jutro.

– Chodź tu – mówię. Austin przysuwa się, a ja opieram się o jego ramię. Siedzimy tak przez chwilę, przyglądając się statkom w zatoce. Chwytam go za rękę. Kiedy na niego spoglądam, widzę, że próbuje powstrzymać łzy.

Tym razem, gdy go całuję, wiem, że dałem z siebie coś więcej. Może Austin odbierze to

jako miłość. To moje podziękowanie za to, że ze mną nie zerwał. Że dał nam jeszcze jeden dzień.



Zostajemy w Annapolis do późna, a ja zachowuję się jak dobry chłopak. Nawet pozwalam sobie zatracić się w życiu Hugona, bo tańczę z Austinem, Williamem, Nicolasem oraz kilkuset gejami i lesbijkami, kiedy organizatorzy parady puszczają *In the Navy* zespołu Village People.

Nadal rozglądam się w poszukiwaniu Rhiannon, ale tylko wtedy, gdy Austin jest czymś zajęty.

W końcu daję za wygraną.



Gdy wracam do domu, czeka na mnie wiadomość od niej:

A,
przepraszam, ale nie dałam rady przyjechać do Annapolis – miałam inne rzeczy na głowie.
Może jutro?
R.

Zastanawiam się, czym były te „inne rzeczy na głowie”. Zakładam, że dotyczyły Justina, w przeciwnym razie chyba napisałaby, o co chodzi?

Rozmyślałam nad tą kwestią, kiedy Austin przysłała SMS-a. Pisze, że ostatecznie to był świetny dzień. Odpisuję, że dla mnie także – pozostaje mi mieć nadzieję, że Hugo tak właśnie to zapamięta. W przeciwnym razie Austin będzie miał dowód, że kłamie.

Przychodzi mama Hugona i mówi coś po portugalsku. Rozumiem z tego ledwie połowę.
– Jestem zmęczony – odpowiadam po angielsku. – Czas iść spać.

Nie doczekała się chyba odpowiedzi na swoje pytanie, więc tylko kręci głową (jestem typowym skrytym nastolatkiem) i wraca do siebie.

Zanim zasnę, postanawiam sprawdzić, czy Nathan coś napisał.

Owszem.

Dwa słowa.

Udowodnij to.

DZIEŃ 6007

Następnego dnia budzę się w ciele Beyoncé.

Ale nie prawdziwej Beyoncé, chociaż ta wygląda ładząco podobnie. Wszystkie krągłości są na swoich miejscach.

Otwieram oczy i wszystko jest zamazane. Szukam okularów na stoliku nocnym, jednak ich tam nie ma. Wstaję więc i idę do łazienki, żeby założyć soczewki.

A potem patrzę w lustro.

Nie jestem ładny. Nie jestem śliczny.

Wyglądam jak milion dolarów.



Zawsze wolę znaleźć się w ciele kogoś na tyle atrakcyjnego, by wywierać na ludziach pozytywne wrażenie. Jednocześnie dobrze jest, gdy uroda nie definiuje mnie ostatecznie w oczach innych, gdyż to przynosi zarówno korzyści, jak i niebezpieczeństwa.

Życie Ashley Ashton jest podporządkowane jej odbiciu w lustrze. Bywa, że piękno jest dziełem natury, ale tak olśniewający wygląd nigdy nie jest przypadkowy. To ciało i ta twarz wymagały mnóstwa pracy. Jestem pewien, że zanim pokażę się światu, powinienem przejść przez cały poranny reżim.

Tylko że ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Gdy spotykam dziewczynę w rodzaju Ashley, mam ochotę nią potrząsnąć i powiedzieć, że bez względu na to, jak usilnie będzie o to zabiegać, piękno jej młodego ciała z czasem przeminie. I że istnieją zdecydowanie lepsze podwaliny niż uroda, na których warto budować swoje życie, jednak nie jestem w stanie przekonać Ashley. Moim jedynym wyrazem buntu jest niewyskubanie brwi.

Sprawdzam, gdzie jestem, i – jak się okazuje – mieszkam piętnaście minut drogi od Rhiannon.

To dobry znak.

Loguję się do skrzynki i znajduję wiadomość.

A,

jestem dzisiaj wolna i mam samochód. Powiedziałam mamie, że mam różne sprawy do załatwienia.

Chcesz być jedną z moich spraw?

R.

Odpowiadam, że tak. Million razy tak.



Rodzice Ashley wyjechali na weekend, a ona znajduje się pod opieką starszego brata, Clayтона. Już się boję, że będzie starał się utrudniać mi życie, ale ma swoje własne sprawy, o czym informuje mnie kilkakrotnie. Odpowiadam, że nie będę mu przeszkadzać.

– Zamierzasz wyjść w czymś takim? – pyta.

Zwykle, jeśli starszy brat zadaje takie pytanie, chodzi mu o za krótką spódniczkę albo zbyt głęboki dekolt. W tym wypadku raczej ma na myśli to, że jego siostra jest ubrana po domowemu, a nie na wyjście.

Osobiście zupełnie mi to nie przeszkadza, ale muszę uszanować fakt, że Ashley z pewnością by się to nie spodobało – i to bardzo. Wracam więc, przebieram się i nawet robię makijaż. Intryguje mnie życie, jakie musi prowadzić taka szalowa dziewczyna jak Ashley. Jestem pewien, że olśniewająca uroda (tak samo jak bardzo niski albo bardzo wysoki wzrost) zmienia całkowicie sposób postrzegania świata. Kiedy inni ludzie widzą cię inaczej, ty też zaczynasz postrzegać ich w odmienny sposób.

Nawet brat szanuje ją w szczególny sposób, czego – mogę się założyć – w życiu nie robiłby, gdyby Ashley wyglądała zupełnie zwyczajnie. Nawet nie mruga, kiedy mówię mu, że spędzę ten dzień z moją koleżanką Rhiannon.

Gdy masz niekwestionowaną urodę, nikt nie kwestionuje także wielu innych rzeczy, które ciebie dotyczą.



Ledwie wsiadłem do samochodu, a Rhiannon już wybucha śmiechem.

– Chyba sobie żartujesz – mówi.

– Że co? – pytam, ale zaraz do mnie dociera, o co chodzi.

– Że co? – przedrzeźnia mnie. Cieszę się, że czuje się na tyle swobodnie w mojej obecności, by to robić, niemniej to nadal przedrzeźnianie.

– Musisz zrozumieć, że jesteś pierwszą osobą, która widziała mnie w więcej niż jednym ciele. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Nie wiem, jak będziesz reagowała.

Na te słowa nieco poważnieje.

– Przepraszam. Tylko wiesz, jesteś superseksowną czarnoskórą dziewczyną. Trudno mi zachować wyobrażenie o tobie, bo ciągle muszę je zmieniać.

– Możesz wyobrażać mnie sobie, jak tylko chcesz. Z pewnością wyobrażenie takie da ci prawdziwszy obraz mojej osoby niż którekolwiek z ciał, w których mnie widziałaś.

– Obawiam się, że moja wyobraźnia potrzebuje trochę czasu, żeby przywyknąć do sytuacji.

– Jasne. To dokąd jedziemy?

– Skoro byliśmy już nad oceanem, pomyślałam sobie, że dzisiaj pojedziemy do lasu.

Co też czynimy.



Nie jest tak jak ostatnio. Muzyka gra, ale nie śpiewamy. Siedzimy obok siebie, jednak nasze myśli wykraczają poza zajmowaną przestrzeń.

Chciałbym chwycić ją za rękę, jednak wyczuwam, że to nie byłby dobry pomysł. Wiem,

że ona tego nie zrobi, o ile nie będę tego potrzebował. Na tym właśnie polega problem z nieprzeciętną urodą – człowiek staje się niedotykalny. A do tego dochodzi sprawa pojawiania się codziennie w nowym ciele – historia tkwi wewnątrz, ale pozostaje niewidzialna. Musi być inaczej niż ostatnim razem, ponieważ ja jestem inny.

Rozmawiamy o Kelsea. Rhiannon zadzwoniła wczoraj ponownie do niej do domu i tym razem odebrał ojciec Kelsea. Rhiannon przedstawiła się jako koleżanka, a wtedy powiedział, że Kelsea wyjechała zająć się ważnymi sprawami i więcej już nic nie dodał. Uznajemy, że to dobry znak.

Rozmawiamy jeszcze, ale o niczym ważnym. Chciałbym pozbyć się tej niezręcznej sytuacji, chciałbym, żeby Rhiannon traktowała mnie znów jak swojego chłopaka albo dziewczynę, lecz nie mogę. Bo nie jestem nim/nią.

Dojeżdżamy do parku i wymijamy innych weekendowych turystów. Rhiannon znajduje puste miejsce i zaskakuje mnie, wyciągając z bagażnika kosz piknikowy.

Przyglądam się, jak wyjmuje poszczególne składniki uczyty. Sery. Bagietkę. Hummus. Oliwki. Sałatki. Chipsy. Salsę.

– Jesteś wegetarianką? – pytam, wskazując na leżące przede mną dowody.

Kiwa głową.

– Dlaczego?

– Mam taką teorię, że kiedy umrzemy, każde zjedzone przez nas zwierzę będzie miało szansę odplacić się tym samym i nas zjeść. Jeśli jesteś mięsożerny i dodasz sobie wszystkie zwierzęta, które skonsumowałeś – no cóż, czeka cię długi czas w czyszczeniu w postaci przekąski do przeżuwania.

– Naprawdę?

Wybucha śmiechem.

– Nie. Po prostu mam serdecznie dosyć tego pytania. Jestem wegetarianką, ponieważ uważam, że nie powinno się zjadać innych stworzeń, które też czują. To nieetyczne.

– Masz rację.

Nie wspominam, ile razy przypadkowo jadłem mięso, gdy znalazłem się w ciele wegetarianina. Po prostu czasem tego nie sprawdzam, zapominam. Zwykle moją uwagę zwraca dopiero reakcja przyjaciół. Kiedyś, będąc w ciele weganki, poszedłem do McDonalda i stałem się sprawcą jej ciężkiej choroby.

Jemy, prowadząc rozmowy o wszystkim i o niczym. Dopiero kiedy odkładamy kosz do samochodu i idziemy na spacer do lasu, padają prawdziwe słowa.

– Muszę wiedzieć, czego tak naprawdę chcesz – mówi Rhiannon.

– Chcę, żebyśmy byli razem – odpowiadam, zanim zdążę to przemyśleć.

Ona nadal idzie, więc ja idę obok niej.

– Nie możemy być razem, chyba to rozumiesz, prawda?

– Nie, nie rozumiem.

Teraz się zatrzymuje. Kładzie mi rękę na ramieniu.

– No więc musisz to zrozumieć. Może mi na tobie zależeć. Tobie może zależeć na mnie,

ale nie będziemy razem.

To takie głupie, mimo to i tak pytam:

– Dlaczego?

– Dlaczego? Ponieważ któregoś dnia możesz obudzić się na drugim końcu Ameryki. Ponieważ za każdym razem, gdy się widzimy, mam wrażenie, że spotykam kogoś zupełnie nowego. Ponieważ nie ma cię tam, gdzie ja jestem. Ponieważ nie mogę cię lubić bez względu na okoliczności. Tak jak teraz.

– Dlaczego nie możesz mnie lubić tak jak teraz?

– To dla mnie za wiele. Teraz jesteś taki idealny. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym być z kimś takim.

– Nie patrz na nią – patrz na mnie.

– Ale mój wzrok nie sięga poza nią. Zresztą jest jeszcze Justin. Nie mogę o nim zapominać.

– Możesz.

– Nic nie wiesz. Ile godzin byłeś nim? Czternaście? Piętnaście? Naprawdę uważasz, że w tak krótkim czasie przejrzałeś go na wylot? Poznałeś mnie?

– On ci się podoba, bo jest przegrany. Uwierz mi, nie raz już to widziałem. A wiesz, co się dzieje z dziewczynami, które kochają przegranych chłopaków? Same stają się przegrane. Zawsze.

– Nie znasz mnie nawet, a...

– Ale wiem, jak to działa! Wiem, jaki on jest. Nie zależy mu na tobie nawet w połowie tak jak tobie na nim. Nie zależy mu na tobie tak jak mnie.

– Przestań! Przestań.

Nie mogę.

– Wiesz, co by się stało, gdyby spotkał mnie w tym ciele? Gdybyśmy poszli gdzieś we troje? Myślisz, że zwracałby na ciebie uwagę? Nie interesujesz go jako osoba. Uważam, że jesteś tysiąc razy ładniejsza od Ashley, ale czy naprawdę sądzisz, że on trzymałby łapy przy sobie w takiej sytuacji?

– On nie jest taki.

– Jesteś tego pewna? Naprawdę jesteś pewna?

– Dobrze – mówi. – W takim razie do niego zadzwonię.

Mimo moich protestów wybiera jego numer i mówi Justinowi, że chciałaby przedstawić go swojej koleżance, która przyjechała z innego miasta. Może pójdziemy razem na kolację. Justin zgadza się, ale dopiero wtedy, gdy obieca, że to ona stawia.

Rozłącza się i stoimy zawieszeni w próżni.

– Zadowolony? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Ja też nie.

– O której się z nim spotykamy?

– O szóstej.

– Okej. W takim razie przedtem chciałbym ci wszystko opowiedzieć. I chciałbym, żebyś ty w zamian też mi wszystko opowiedziała.



O wiele łatwiej jest rozmawiać o tym, co prawdziwe. Nie musimy co chwilę przypominać sobie, w czym rzecz, bo tkwimy w samym jej środku.

Rhiannon pyta mnie o to, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem.

– Miałem może ze cztery albo pięć lat. Oczywiście już wcześniej wiedziałem, że zmieniam ciała i codziennie mam innych rodziców. Albo babcię czy opiekunkę. Zawsze ktoś się mną zajmował, więc zakładałem, że na tym właśnie polega życie – każdego ranka zaczyna się w nowym miejscu. Jeśli przekręcałem jakieś imię albo nazwę, jeśli myliłem zasady – byłem po prostu poprawiany. Nigdy nie powodowało to żadnych większych problemów. Nigdy nie uważałem siebie ani za chłopaka, ani za dziewczynę. Po prostu sądziłem, że w danym dniu jestem chłopakiem, a w innym dziewczyną. Tak samo, jakbym zmieniał ubranie.

Ostatecznie oczy otworzyła mi koncepcja jutra. Po jakimś czasie zacząłem bowiem zauważać, że ludzie mówią o tym, co będą robić jutro. Razem. Protestowałem, a wtedy robili dziwne miny. Dla wszystkich, oprócz mnie, istniało najwyraźniej wspólne jutro. „Przecież was nie będzie” – mówiłem, a oni odpowiadali: „Oczywiście, że będziemy”. Następnego dnia budziłem się, a ich nie było. Z kolei moi nowi rodzice nie mieli pojęcia, co mnie tak rozstroiło. Uznałem, że istnieją dwie opcje: albo coś jest nie tak z całym światem – albo ze mną. Albo oni wmawiają sobie, że istnieje wspólne jutro, albo to tylko ja codziennie zmieniałem miejsce.

– Próbowaleś zostać? – pyta Rhiannon.

– Jestem pewien, że tak, ale teraz już tego nie pamiętam. Pamiętam tylko mój płacz i protesty – o tym ci już mówiłem. A co do reszty? Nie wiem. Ty pamiętasz wszystko z czasów, kiedy miałaś pięć lat?

– Niezupełnie – kręci głową. – Pamiętam, jak mama zabrała mnie i siostrę do sklepu obuwniczego, żeby kupić nam nowe buty przed rozpoczęciem przedszkola. Pamiętam, jak uczyłam się, że czerwone światło oznacza nakaz zatrzymania się, a zielone – że można iść. Kolorowaliśmy te światła, a nasza nauczycielka nie wiedziała, jak wytłumaczyć nam zasady działania żółtego światła. W końcu powiedziała, że mamy je traktować tak samo jak czerwone.

– Szybko poznałem litery – kontynuuję. – Nauczyciele byli zaskoczeni, że umiem czytać. Sądzę, że następnego dnia byli równie zdumieni, gdy okazywało się, że już nie potrafię.

– Pięciolatek pewnie nie zauważyłby, że miał dzień wolny od swojego ciała.

– Pewnie nie. Nie wiem.

– Wiesz, ciągle podpytuję Justina. O ten dzień, kiedy to ty nim byłeś. I od razu widać, że ma oszukane wspomnienia. Nie protestuje, kiedy mówię, że pojechaliśmy na plażę, ale

niezbyt dobrze to pamięta.

– James, ten bliźniak, też tak się zachowywał. Nie zauważył, że coś jest nie tak, jednak kiedy zapytałem go o spotkanie z tobą, niczego nie pamiętał. Wiedział, że był w Starbucksie, jego umysł potrafił przyporządkować czas konkretnym wydarzeniom, ale nie miał pojęcia, co się zdarzyło.

– Może pamiętają to, co ty chcesz, żeby pamiętali.

– Myślałem o tym. Chciałbym mieć pewność.

Idziemy dalej. Kreślimy palcami kółka na mijanym drzewie.

– A miłość? – pyta Rhiannon. – Byłeś kiedyś zakochany?

– Nie wiem, czy można nazwać to miłością – odpowiadam. – Owszem, podobały mi się różne osoby. Była nawet jedna czy dwie, które próbowałem odnaleźć, ale nic z tego nie wyszło. Najbliżej uczucia byłem chyba w związku z chłopakiem o imieniu Brennan.

– Opowiedz mi o nim.

– To było mniej więcej rok temu. Pracowałem w kinie, a on przyjechał do miasta, do swoich kuzynów. Przyszedł kupić popcorn, chwilę poplirtowaliśmy i... przeszła iskra. To było małe kino, tylko jedna salka, więc kiedy film się zaczął, nie miałem nic do roboty. Chyba opuścił całą drugą połowę filmu, bo wyszedł z sali i zaczęliśmy rozmawiać. W końcu opowiedziałem mu, co było dalej, żeby mógł udawać, że obejrzał całość. Poprosił mnie o adres mailowy, więc wymyśliłem na poczekaniu.

– Jak ze mną.

– Dokładnie tak jak z tobą. Przysłał mi wiadomość tego samego wieczora, a następnego dnia wracał do domu, do Maine. To było idealne rozwiązanie, bo nasz związek mógł rozwijać się w internecie. Miałem na sobie plakietkę z imieniem, więc zmyśliłem jeszcze nazwisko i stworzyłem profil, wykorzystując zdjęcia chłopaka, którego ciało wtedy zamieszkiwałem. Chyba miał na imię Ian.

– Och... A więc byłeś chłopakiem?

– Tak. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie – odpowiada. – Chyba nie. – Jednak widzę, że tak. Trochę. Znowu musi sobie zmodyfikować wyobrażenie o mnie.

– Pisaliśmy do siebie codziennie, rozmawialiśmy nawet na czacie. I chociaż nie mogłem mu powiedzieć, jak to naprawdę wygląda z mojej strony – a pisałem do niego z różnych dziwnych miejsc – miałem poczucie, że jest coś na tym świecie, co nigdy się nie zmienia, a to było dla mnie czymś zupełnie nowym. Problem polegał na tym, że on chciał czegoś więcej. Kolejnych zdjęć. Rozmowy na Skypie. A potem, mniej więcej po miesiącu intensywnych rozmów, zaczął wspominać o kolejnej wizycie u swojej rodziny. Ciotka i wujek zaprosili go do siebie, a właśnie zbliżały się wakacje.

– O kurczę.

– No właśnie: o kurczę. Nie wiedziałem, jak to rozwiązać. Im bardziej starałem się robić uniki, tym bardziej on to zauważał. Wszystkie nasze rozmowy sprowadzały się do tego, co nas łączy. Co jakiś czas wkradał się jakiś inny temat, ale on i tak zawsze wracał

do tego samego. Musiałem zakończyć tę znajomość. Przecież nie było dla nas żadnego jutra.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy?

– Ponieważ nie sądziłem, że ją zrozumie. Pewnie nie ufałem mu na tyle, by ją zdradzić.

– I dlatego z nim zerwałeś.

– Powiedziałem mu, że poznałem kogoś. Pożyczyłem zdjęcia od gościa, którego ciało akurat zamieszkiwałem. Zmieniłem status mojego fikcyjnego profilu. Brennan obraził się na mnie i nie chciał już ze mną rozmawiać.

– Biedny.

– Wiem. Obiecałem sobie wtedy, że już nigdy nie zaangażuję się w żaden wirtualny związek, choćby nie wiem, jak łatwy się wydawał. Po co zaczynać coś wirtualnego, skoro nie przejdzie nigdy w rzeczywistość? A ja nie mogłem nikomu podarować rzeczywistości, miałem dla wszystkich jedynie oszustwo.

– Jak na przykład udawanie ich chłopaka – mówi.

– Taaa, ale musisz zrozumieć – ty byłaś wyjątkiem. Nie chciałem, żeby to wszystko opierało się na kłamstwie i dlatego jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.

– Zabawne, w twoich ustach brzmi to tak niezwykle. Mnóstwo ludzi przechodzi przez życie, nigdy nie mówiąc prawdy, a przecież dzień w dzień budzą się w tym samym ciele.

– Czego mi nie mówisz?

Rhiannon patrzy mi prosto w oczy.

– Jeśli ci czegoś nie mówię, to nie bez przyczyny. To, że ty mi ufasz, nie znaczy, że ja będę automatycznie ufała tobie. Zaufanie nie działa w ten sposób.

– To rozumiałe.

– Oczywiście, ale już wystarczy. Powiedz mi lepiej coś, nie wiem, o tym, jak miałeś dziesięć lat.

Rozmowa toczy się dalej. Wyjaśniam jej, że zanim cokolwiek zjem, muszę wniknąć do umysłu zajmowanej osoby i sprawdzić, czy jest tam coś na temat alergii (robię to od czasu, kiedy miałem dziewięć lat i mało nie umarłem po zjedzeniu truskawki). Ona z kolei mówi mi, skąd wziął się jej lęk przed słodkimi króliczkami (wiąże się z wyjątkowo złośliwym stworzeniem o imieniu Swizzle, które uwielbiało uciekać z klatki i spać na ludzkich twarzach). Opowiadam jej o najlepszej mamie, jaką miałem (pamiętna wizyta w parku wodnym), a ona wymienia plusy i minusy życia z jedną i tą samą matką. Stwierdza, że nikt bardziej człowieka nie denerwuje niż matka, a jednocześnie nikogo bardziej się nie kocha. Wyznaję, że nie zawsze mieszkam w Maryland, lecz przemieszczam się na znaczne odległości tylko wtedy, gdy moje ciało to robi. Dowiaduję się przy okazji, że ona nigdy nie leciała samolotem.

Rhiannon cały czas utrzymuje fizyczny dystans – dzisiaj nie ma mowy o trzymaniu się za ręce czy przytulaniu do siebie. Jednakże podczas gdy nasze ciała trzymają się od siebie z dala, to zbliżają nas nasze słowa. To mi odpowiada.

Wracamy do samochodu i wyjadamy resztki z kosza piknikowego. A potem znów

spacerujemy i rozmawiamy. Jestem zaskoczony, że pamiętam tak wiele moich egzystencji, a ona jest zdumiona, że jej jedno pojedyncze życie zawiera tyle samo historii co moje – złożone. A ponieważ jej zwyczajne życie jest dla mnie zupełną nowością i tak bardzo mnie intryguje, ona sama zaczyna postrzegać je inaczej. Teraz wydaje jej się odrobinę bardziej interesujące niż wcześniej.

Mógłbym tak rozmawiać do północy, ale piętnaście po piątej Rhiannon spogląda na ekran komórki.

– Czas jechać. Justin będzie na nas czekał – mówi.

Jakimś cudem udało mi się o tym zapomnieć.



Sprawa powinna być przesądzona. Jestem wybitnie atrakcyjną dziewczyną. Justin jest typowym napalonym chłopakiem.

Mam nadzieję, że Rhiannon nie myliła się i Ashley będzie pamiętała tylko to, co chcę, żeby zapamiętała, albo to, co jej umysł każe zapamiętać. Nie zamierzam pójść na całość – zależy mi tylko na potwierdzeniu gotowości Justina do kontaktu, a nie na samym kontakcie.

Rhiannon wybrała położony przy autostradzie bar serwujący owoce morza. Zgodnie z moimi zasadami potwierdzam, że Ashley nie jest uczulona na skorupiaki. Prawdę powiedziawszy, wmówiła sobie „alergie” na wiele produktów, żeby zaostrzyć dietę, ale owoce morza nigdy nie trafiły na listę pokarmów zakazanych.

Gdy wchodzi do baru, odwracają się głowy – w większości to faceci starsi od Ashley o dobre trzydzieści lat. Jestem pewien, że się do tego przyzwyczaiła, jednak mnie to przeraża.

Rhiannon denerwowała się, że Justin będzie musiał na nas czekać, a on przyjeżdża dopiero dziesięć minut po nas. Kiedy zatrzymał wzrok na mnie, jego mina jest bezcenna. Rhiannon uprzedziła go, że przyjechała do niej koleżanka, lecz nie miał pojęcia, że będzie *tak* wyglądała. Wita się ze swoją dziewczyną, nie spuszczając ze mnie oka.

Zajmujemy miejsca. Początkowo jestem tak skupiony na reakcji Justina, że nie zwracam uwagi na Rhiannon. A ona zamyka się w sobie, milknie, traci śmiałość. Nie wiem, czy to obecność Justina tak na nią działa, czy raczej sytuacja, w której się znajdujemy.

Zajęci własnym towarzystwem nie przygotowaliśmy się do tego spotkania. Więc kiedy Justin zaczyna zadawać oczywiste pytania – skąd się znamy i dlaczego wcześniej o mnie nie słyszał – muszę szybko wejść w rolę. Dla Rhiannon zmyślanie jest czymś, co wymaga zastanowienia się, dla mnie to z konieczności druga natura.

Mówię, że nasze mamy przyjaźniły się w szkole średniej. Teraz mieszkam w Los Angeles (a czemu nie?) i biorę udział w castingach do programów telewizyjnych (przecież mogę). Przyjechałyśmy z mamą na tydzień na wybrzeże, a ona postanowiła odwiedzić dawną przyjaciółkę. Z Rhiannon spotykamy się od czasu do czasu, ale ostatnio miałyśmy długą przerwę.

Justin sprawia wrażenie, jakby spijał każde słowo z moich ust, w rzeczywistości jednak w ogóle mnie nie słucha. „Niechący” muskam pod stołem jego nogę. Udaje, że nie zauważył. Rhiannon też.

Jestem śmiały, ale ostrożny. Kilkakrotnie dotykam dłoni Rhiannon, gdy coś mówię, żeby nie był zdziwiony, kiedy i jego dotknę. Wspominam hollywoodzkiego gwiazdora, który całował mnie na jakiejś imprezie, i od razu wyraźnie daję do zrozumienia, że to nie takiego.

Chciałbym, żeby Justin zaczął ze mną flirtować, jednak on najwyraźniej nie jest do tego zdolny. Zwłaszcza kiedy na stole pojawia się jedzenie. Kolejność jego zainteresowania jest następująca: zawartość talerza, potem Ashley, a następnie Rhiannon. Zanurzam kotleciki krabowe w sosie tatarskim i wyobrażam sobie, jak Ashley na mnie krzyczy za coś takiego.

Kiedy jedzenie znika, Justin znów zwraca na mnie uwagę. Rhiannon ożywia się nieco i próbuje naśladować moje ruchy. Najpierw chwyta go za rękę. Justin nie wyrywa się, ale nie jest zbytnio zadowolony. Sprawia wrażenie, jakby czuł się tym zażenowany. Myślę, że to dobry znak.

W końcu Rhiannon idzie na chwilę do toalety. To dla mnie okazja, żeby zrobić coś nieodwracalnego i udowodnić jej, jaki on naprawdę jest.

Zaczynam od nogi. Tym razem, kiedy nie ma z nami Rhiannon, nie odsuwa się.

– Czeeeść – mówię.

– Cześć – odpowiada. I uśmiecha się.

– Co robisz później?

– Po tej kolacji?

– Właśnie tak.

– Nie wiem.

– Może moglibyśmy zrobić coś razem? – proponuję.

– Pewnie.

– Może tylko my we dwoje?

Klik. W końcu zaskoczył.

Przysuwam się. Dotykam jego dłoni.

– Jestem pewna, że będzie świetnie.

Chcę, żeby się przytulił. Żeby poddał się swoim pragnieniom, by zrobił kolejny krok. Wystarczy, że powie „tak”.

Rozgląda się, by sprawdzić, czy Rhiannon nie wraca, a inni faceci na sali widzą, jak jest podrywany.

– Łał – mówi.

– Naprawdę – mówię. – Podobasz mi się.

Opiera się o siedzenie. Potrzęsa głową.

– Eee... nie.

Moja propozycja była zbyt obcesowa, ten ruch powinien należeć do niego.

– Dlaczego nie?

Patrzy na mnie jak na kompletną idiotkę.

– Dlaczego nie? – powtarza. – A Rhiannon? O ja cię...!

Próbuję znaleźć ciętą ripostę, ale to niemożliwe. Zresztą nie ma to znaczenia, bo w tym momencie Rhiannon wraca do stolika.

– Mam tego dosyć – oznajmia. – Koniec.

Justin, jak zawsze głupi, sądzi, że ona mówi do niego.

– Ja nic nie robię! – protestuje stanowczo i zabiera nogi daleko ode mnie. – Twoja koleżanka trochę nie panuje nad sobą.

– Mam tego dosyć – mówi ponownie Rhiannon.

– Okej – odpowiadam. – Przepraszam.

– Powinnaś się wstydić! – krzyczy Justin. – Nie wiem, jak się zachowujecie w tej swojej Kalifornii, ale u nas takie rzeczy nie przechodzą!

Wstaje, a ja zerkam na jego krocze. Mimo jakże gorących obiekcji z jego strony mój flirt najwyraźniej nie pozostał bez echa, jednak nie mogę tego pokazać Rhiannon.

– Idę – mówi, i jakby chciał coś udowodnić, całuje Rhiannon tuż pod moim nosem. – Dziękuję, mała – dodaje. – Do jutra.

Ze mną się nawet nie żegna.

Gdy wychodzi, siadamy z powrotem.

– Przepraszam – powtarzam.

– Nie, to moja wina. Powinnam wiedzieć, że tak to się skończy.

Czekam na „A mówiłam”... I doczekuję się.

– Mówiłam ci, że tego nie zrozumiesz. Nie zrozumiesz nas.

Przychodzi kelner z rachunkiem. Chcę zapłacić, ale powstrzymuje mnie gestem.

– To nie są twoje pieniądze – mówi, a ja uświadamiam sobie, jak bardzo mnie to zabolowało.

Wiem, że chciałyby, aby ten wieczór już się skończył. Chce odwiedzić mnie, a potem zadzwonić do Justina i przeprosić, chce aby między nimi znów było dobrze.

DZIEŃ 6008

Ledwie się obudziłem następnego ranka, a od razu popędziłem do komputera. Nie ma jednak żadnego maila od Rhiannon. Wysyłam jej kolejne przeprosiny. Kolejne podziękowanie za wspólnie spędzony dzień. Czasami, kiedy wysyłasz maila, łatwo wyobrazić sobie, że wiadomość dociera prosto do serca adresata. Jednak niekiedy – tak jak teraz – można odnieść wrażenie, że słowa wpadają do studni bez dna.

Przeoglądam portale społecznościowe, szukając jakichś informacji. Widzę, że Austin i Hugo nadal określają swój status: „w związku” – to dobry znak. Strona Kelsea jest dostępna wyłącznie dla znajomych. Mam więc dowód, że udało mi się uratować jedną

rzecz, a uratowanie drugiej nie jest wykluczone.

Powtarzam sobie, że to nie najgorzej.

No i Nathan. Ciągłe ukazują się artykuły na jego temat. Książk Pole codziennie ma nowe zeznania od świadków, a kolejne strony to wszystko łykają. Nawet „The Onion” uległ szaleństwu i wrzucił wielki nagłówek: „William Carlos Williams w rozmowie z ojcem Poole mówi: Szatan zmusił mnie do zjedzenia śliwki”. Skoro inteligentni ludzie zaczynają to parodiować, to znaczy, że mniej inteligentni z pewnością w to wierzą.

Tylko co mogę zrobić? Nathan chce dowodu, ale ja mam tylko własne słowo, a co to za dowód?



Dzisiaj jestem chłopakiem o imieniu AJ. Mam cukrzycę, więc oprócz normalnych zmartwień czekają mnie dodatkowe. Już wcześniej kilka razy byłem cukrzykiem, najgorzej zniósłem ten pierwszy raz. Nie dlatego, że nad cukrzycą nie można zapanować, ale ponieważ muszę polegać na umyśle osoby, której ciało zajmuję, i tam wyszukiwać informacji odnośnie do tego, na co powinienem uważać i jak sobie radzić. Za pierwszym razem udawałem, że się źle czuję, żeby moja mama została ze mną w domu i przejęła obowiązek pilnowania mojego stanu. Teraz mam wrażenie, że sam sobie poradzę, lecz uważnie słucham tego, co mówi mój organizm – o wiele uważniej niż zazwyczaj.

AJ jest pełen rozmaitych dziwactw, które jemu pewnie wcale nie wydają się dziwne. Jest fanatykiem sportu – co prawda gra w futbol amerykański, jednak jego prawdziwą miłością pozostaje baseball. Głowę ma pełną danych statystycznych, liczb i wartości, poukładanych w tysiące kombinacji i porównań. Jednocześnie jego pokój to istna świątynia Beatlesów, przy czym najbardziej lubi George’a. Nietrudno domyślić się, w co się ubierze, ponieważ cała jego garderoba składa się z niebieskich dzinsów oraz różnych wariantów tej samej koszuli. Ma więcej czapek baseballowych niż dyktowałby to rozsądek, ale jak rozumiem, nie wolno mu ich zakładać do szkoły.

Najwyraźniej nie przeszkadza mu dojeżdżanie do szkoły autobusem. Kiedy wsiada, już czekają na niego koledzy, a jego największym problemem jest to, że chociaż zjadł śniadanie, nadal czuje głód.

To zupełnie zwyczajny dzień, i na tym właśnie próbuję się skupić.

Ale w przerwie pomiędzy trzecią a czwartą lekcją zostaję wciągnięty siłą w przeszłość – na korytarzu spotykam bowiem samego Nathana Daldry’ego.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że to pomyłka. Przecież mnóstwo chłopaków może go przypominać. Jednak potem widzę, jak inni reagują na jego obecność – zupełnie jakby był chodzącym dowcipem. Próbuje udawać, że nie zauważa śmiechu, kpiących komentarzy, strojonych min, ale nie jest w stanie ukryć, iż mu z tym źle.

Zasłużył na to. Przecież nie musiał nic mówić. Mógł sobie odpuścić, myślę sobie.

Ale zaraz przyznaję: To moja wina. To wszystko przeze mnie.

Wnikam do umysłu AJ i przekonuję się, że w szkole podstawowej przyjaźnił się z Nathanem, a teraz też pozostają w przyjaznych stosunkach. Logiczne więc, że kiedy Nathan mnie mija, mówię mu „cześć”. A on mi odpowiada.



Podczas obiadu siedzę obok przyjaciół. Jeden z chłopaków pyta mnie o wczorajszy mecz. Rzucam jakąś odpowiedź na odczepnego, cały czas wnikając w umysł AJ.

Kątem oka dostrzegam, że Nathan siada samotnie przy swoim stoliku. Nie pamiętam, żeby brakowało mu przyjaciół, był po prostu nudnawy. Wygląda na to, że teraz nikt się z nim nie kumpluje.

– Idę pogadać z Nathanem – mówię.

Jeden z moich kolegów wydaje z siebie jęk.

– Po co? Mam go powyżej uszu.

– Słyszałem, że występuje teraz w programach telewizyjnych – wtrąca inny.

– Jakby diabeł nie miał nic lepszego roboty i zabrał subaru na przejażdżkę w sobotni wieczór.

– No nie?

Zabieram tacę, zanim rozmowa zajdzie za daleko i mówię, że zobaczymy się później.

Nathan widzi, że idę w jego stronę, ale i tak wydaje się zaskoczony, kiedy siadam przy jego stoliku.

– Mogę? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Oczywiście.

Nie wiem, co tu robię. Przypomina mi się ostatni mail od niego: „Udowodnij to” i podświadomie oczekuję, że te słowa za chwilę tu padną, rzucając mi wyzwanie, któremu będę musiał sprostać. To ja jestem dowodem. Siedzę naprzeciwko, lecz on nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Jak leci? – pytam, unosząc frytkę do ust. Staram się zachowywać, jakby to była normalna rozmowa dwóch kolegów przy obiedzie.

– Chyba dobrze. – Domyślam się, że mimo całego zainteresowania, jakim się ostatnio cieszy, mało kto pyta go o samopoczucie.

– Co nowego?

Spogląda mi przez ramię.

– Twoi kumple na nas patrzą.

Zerkam do tyłu, a wtedy wszyscy siedzący przy moim stole natychmiast odwracają wzrok.

– A niech patrzą. Nie zwracaj na nich uwagi.

– Nie zwracam. Oni nie rozumieją.

– Ja wiem. To znaczy, ja wiem, że oni nie rozumieją.

– No tak.

– To chyba dość przytłaczające, kiedy wszyscy tak się tobą interesują. Blogi i tak dalej. No i ten ksiądz. – Zastanawiam się, czy nie przesadziłem, jednak Nathan chętnie rozmawia. AJ to dobry chłopak.

– O tak, on to wszystko doskonale rozumie. Wiedział, że ludzie będą ze mnie szydzić. Powiedział, że muszę być silniejszy. W końcu czym jest śmiech ludzki w porównaniu z przeżyciem opętania.

„Przeżycie opętania”. Nigdy nie sądziłem, że moja obecność w czyimś ciele to coś, co trzeba przeżyć.

Nathan zauważył, że się zamyśliłem.

– O co chodzi? – pyta.

– Tak się zastanawiam – co pamiętasz z tamtego dnia?

Od razu na jego twarzy pojawia się wyraz ostrożności.

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości, i tyle. Nie podaję w wątpliwość twoich słów – absolutnie nie. Po prostu stwierdziłem, że przeczytałem tyle rzeczy o tobie, usłyszałem tyle samo, a tak naprawdę nigdy nie poznałem tej historii z twoich ust. Wszystko to były opowieści z drugiej, trzeciej albo i siódmej czy ósmej ręki. No i pomyślałem, że przyjdę i cię zapytam.

Wkroczyłem na grząski teren. Nathan nie może zacząć się zwierzać AJ, bo nadejdzie jutro i AJ może nic z tego nie pamiętać, a wtedy Nathan zacznie coś podejrzewać. A jednocześnie chciałbym dowiedzieć się, co pamięta z tamtego dnia.

Widzę, że on ma ochotę o tym rozmawiać. To, co zrobił, znacznie wykraczało poza jego typowe zachowanie. Nie ma zamiaru się wycofać, ale jednocześnie trochę żałuje. Jak podejrzewam, nie sądził, że ta historia zupełnie zdominuje jego życie.

– To był zupełnie zwyczajny dzień – mówi. – Nic nadzwyczajnego. Siedziałem w domu z rodzicami, sprzątałem i tak dalej. A potem – sam nie wiem, ale coś się musiało wydarzyć. Wymyśliłem historyjkę o szkolnym musicalu i pożyczyłem samochód na wieczór. Tej części wieczoru w ogóle nie pamiętam – potem się dopiero dowiedziałem. Wsiadłem do auta i ogarnęło mnie takie... pragnienie. Jakby mnie gdzieś coś przyciągało.

Milknie.

– Gdzie? – dopytuję się.

– No właśnie nie wiem. – Nathan kręci głową. – To w tym najdziwniejsze. Kilka godzin z tamtego dnia to zupełna dziura w mojej pamięci. Mam tylko wrażenie, że nie panowałem wtedy nad moim ciałem, i nic więcej. Widzę migawki z imprezy, jednak nie wiem, gdzie się odbyła i kto na niej był. A potem nagle obudził mnie policjant. Nie wypilem ani kropli, niczego nie zażywałem. Sprawdzili wszystko.

– A może miałeś atak serca?

– Miałbym pożyczać samochód od rodziców, żeby wywołać u siebie atak serca? Nie, coś przejęło nade mną kontrolę. Ksiądz twierdzi, że najwidoczniej toczyłem walkę z szatanem. Zupełnie jak Jakub. Musiałem zdawać sobie sprawę, że moje ciało jest

wykorzystywane do jakichś złych celów i dlatego się opierałem. A kiedy zwyciężyłem, diabeł zostawił mnie na poboczu.

On w to wierzy. Naprawdę w to wierzy.

Nie mogę go przekonać, że to bzdura. Nie mogę mu powiedzieć, co naprawdę się wtedy wydarzyło. Gdybym to zrobił, AJ groziłoby niebezpieczeństwo. Mnie również.

– To wcale nie musiał być szatan – mówię.

Nathan najeża się.

– Ja swoje wiem. I wiem, że nie jestem jedyny. Mnóstwo ludzi doświadczyło czegoś podobnego, z niektórymi nawet rozmawiałem. Przerażające, ile nasze historie mają ze sobą wspólnego.

– Boisz się, że to się powtórzy?

– Nie. Tym razem jestem przygotowany. Jeśli szatan choćby się do mnie zbliży, będę wiedział, co należy robić.

Siedzę naprzeciwko i słucham.

Nie poznaje mnie.



Nie jestem szatanem.

Ta myśl prześladowuje mnie przez resztę dnia.

Nie jestem szatanem, chociaż mógłbym nim być.

Gdy patrzę na to wszystko z dystansem, z perspektywy Nathana, widzę, jakie to może być przerażające. Co powstrzymuje mnie przed wyrządzeniem zła? Jaka kara by mnie spotkała, gdybym wziął do ręki ołówek i wydlubał oko dziewczynie siedzącej obok mnie na chemii? Co więcej, nawet większa zbrodnia uszłaby mi płazem. Ciało, które popełniło morderstwo, z pewnością zostałoby złapane, ale morderca pozostawałby na wolności. Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

Mam potencjał, by stać się diabłem.

Przestań, myślę. To nie wchodzi w grę. Czy przez to, kim jestem, różnię się od innych ludzi? Owszem, morderstwo uszłoby mi na sucho, jednak przecież w każdym człowieku tkwi zło. Chodzi o to, że dokonujemy wyboru. Każdego dnia decydujemy, że nikogo nie skrzywdzimy. Nie jestem inny pod tym względem.

Nie jestem diabłem.



Nadal nie przyszła żadna wiadomość od Rhiannon. Nie mam pojęcia, czy jej milczenie wynika z niepewności czy z chęci zerwania kontaktów.

Piszę do niej krótkiego maila:

Muszę się z Tobą znów spotkać.

A

DZIEŃ 6009

Następnego dnia nadal nie ma od niej ani słowa.

Wsiadam do samochodu i jadę.

Auto należy do Adama Cassidy'ego. Powinienem być teraz w szkole, więc dzwonię do sekretariatu, podaję się za jego ojca i zwalniam go do lekarza.

Dodając, że wizyta może się przeciągnąć.

Dwie godziny drogi. Wiem, że powinienem w tym czasie lepiej poznać Adama Cassidy'ego, ale w tej chwili wydaje się zupełnie nieistotny. Dawniej właśnie w taki sposób zamieszkiwałem ciała – sprawdzałem tylko minimum niezbędne do tego, żeby przetrwać dzień. Tak się wyrobiłem, że kiedyś udało mi się przeżyć kilka dni, ani razu nie wnikając do umysłu danej osoby. Jestem pewien, że to były puste i nijakie dni dla zamieszkiwanych ciał, bo takie właśnie były dla mnie.

Przez większą część drogi rozmyślam o Rhiannon. O tym, co zrobić, żeby do mnie wróciła. Jak nie wypaść z jej łask. Jak sprawić, żeby to wszystko funkcjonowało.

To ostatnie wydaje się najtrudniejsze.

Kiedy dojeżdżam do jej szkoły, parkuję w miejscu, w którym Amy Tran zostawiła swój samochód. Lekcje już dawno się zaczęły, więc gdy otwieram drzwi, wita mnie chaos. Jest właśnie przerwa, mam całe dwie minuty, żeby ją odnaleźć.

Nie wiem, gdzie jest, nie wiem nawet, która teraz będzie lekcja. Przepycham się przez korytarz, rozglądając się na wszystkie strony. Ludzie mnie trącają, mówią coś w stylu: „Uważaj, jak chodzisz”. Nie obchodzi mnie to. Z jednej strony są wszyscy, z drugiej ona. To na niej się skupiam.

Pozwalam, żeby wszechświat kierował moimi krokami. Opieram się wyłącznie na intuicji, wiedząc, że pochodzi ona spoza mnie, spoza tego ciała.

Rhiannon wchodzi właśnie do klasy. Zatrzymuje się. Podnosi wzrok. Zauważa mnie.

Nie wiem, jak to wyjaśnić. Jestem wyspą na korytarzu pełnym przepychających się uczniów. Ona jest drugą wyspą. Doskonale wie, kim jestem. To niemożliwe, a jednak wie.

Odchodzi od drzwi, idzie w moją stronę. Dzwoni drugi dzwonek i korytarz pustoszeje. Zostajemy sami.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.

– Tak myślałam, że możesz przyjechać.

– Jesteś zła?

– Nie, nie jestem. – Zerka w stronę sali lekcyjnej. – Jednak muszę przyznać, że masz paskudny wpływ na moją frekwencję.

– Mam paskudny wpływ na frekwencję wielu osób.

– Jak masz dzisiaj na imię?

– A – mówię. – Dla ciebie jestem zawsze A.



Na następnej lekcji ma sprawdzian, którego nie może opuścić, więc zostajemy na terenie szkoły. Spotykamy innych uczniów – jedni mają okienko, inni poszli na wagary – a wtedy widzę, że zaczyna się niepokoić.

– Justin jest na lekcji? – pytam.

– Tak, o ile postanowił pójść.

Znajdujemy pustą salę i wchodzimy do środka. Zawieszona na ścianach szekspirowskie rekwizyty wskazują na to, że znajdujemy się w pracowni literatury angielskiej. Albo w klasie teatralnej.

Siadamy z tyłu, z dala od drzwi i okien.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – Muszę zadać to pytanie.

– Po twoim spojrzeniu – odpowiada. – Nikt inny nie mógł na mnie patrzeć w ten sposób.



Tak właśnie działa miłość: masz ochotę napisać od nowa rzeczywistość. Wybrać bohaterów, zbudować dekoracje, poprowadzić fabułę. Osoba, którą kochasz, siedzi naprzeciwko ciebie, a ty zrobiłbyś co w twojej mocy, żeby to urzeczywistnić. A kiedy w pomieszczeniu znajdujecie się tylko wy dwoje, możesz udawać, że tak właśnie jest. Że tak będzie zawsze.



Chwytam ją za rękę, nie zabiera jej. Czy to dlatego, że zmieniło się coś między nami, czy ponieważ dzisiaj znajduję się w innym ciele? Czy łatwiej jej trzymać za rękę Adama Cassidy'ego? Ładunki elektryczne w powietrzu wydają się przytłumione. Dzisiaj nie czeka nas nic więcej jak tylko szczerza rozmowa.

– Przepraszam za wtedy – mówię po raz kolejny.

– Wina leży też po mojej stronie. Nie powinnam była do niego dzwonić.

– A co mówił? Po wszystkim?

– Ciągle nazywał ciebie „tą czarną suką”.

– Urocze.

– Chyba wyczuł pułapkę. Nie wiem. Domyślił się, że coś jest nie tak.

– Zapewne dlatego zdał test.

Rhiannon odsuwa się.

– To nie fair.

– Przepraszam.

Zastanawiam się, skąd w niej tyle siły, by odmówić mi, ale za mało, żeby powiedzieć „nie” Justinowi.

– Co chciałabyś robić? – pytam.

– A czego ode mnie oczekujesz? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

– Że zrobisz to, co będzie dla ciebie najlepsze.

– To zła odpowiedź.

– Dlaczego?

– Ponieważ to kłamstwo.

Jesteś tak blisko, myślę. Tak blisko, a ja nie mogę do ciebie dotrzeć.

– Wróćmy do mojego pierwszego pytania – proponuję. – Co chcesz robić?

– Na pewno nie chcę rzucać wszystkiego dla czegoś, co jest niepewne.

– A co jest we mnie niepewnego?

Śmieje się.

– Naprawdę mam ci to wytłumaczyć?

– Nie licząc oczywistego. Wiesz, że jesteś najważniejszą osobą w całym moim życiu. To pewne.

– W ciągu zaledwie dwóch tygodni. A to niepewne.

– Wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny.

– Ale ja nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. Jeszcze nie.

– Nie zaprzeczysz jednak, że coś między nami istnieje.

– Nie zaprzeczam. Istnieje. Kiedy cię dzisiaj zobaczyłam – dopiero wtedy zrozumiałam, że na ciebie czekam. Całe to oczekiwanie zalało mnie nagle wielką falą. To coś... ale nie wiem, czy coś pewnego.

Wiem, czego od ciebie chcę – mam ochotę powiedzieć. Powstrzymuję się jednak. To byłoby kolejne kłamstwo i ona by mnie na nim przyłapała.

Zerka na zegar.

– Muszę przygotować się do sprawdzianu. A ty musisz wrócić do swojego dzisiejszego życia.

– Nie chcesz mnie widywać? – Nie mogę się powstrzymać.

Milczy przez chwilę.

– Chcę i nie chcę. Pewnie myślisz, że powinno być łatwiej, ale jest wręcz przeciwnie.

– Uważasz, że nie powinienem do ciebie przyjeżdżać?

– Zostańmy na razie przy kontaktach mailowych. Okej?

W jednej chwili mam wrażenie, że coś jest nie tak ze wszechświatem. To, co potężne, kurczy się do rozmiarów piłeczki, i odpływa poza mój zasięg.

Ja czuję, a ona nie.

Czy raczej – ja czuję, a ona nie chce poczuć.

DZIEŃ 6010

Dzisiaj znajduję się cztery godziny drogi od niej.

Jestem dziewczyną o imieniu Chevelle i na samą myśl, że miałbym pójść do szkoły, robi mi się niedobrze. Udaję chorobę i dostaję pozwolenie na zostanie w domu. Próbuję czytać, grać na komputerze, surfuję w sieci – zajmuję się tym co zwykle, żeby wypełnić czymś czas.

Ale dzisiaj nic nie działa. Czas nadal wydaje się taki pusty.

Ciągle sprawdzam pocztę.

Nic od niej.

Nic.

Nic.

DZIEŃ 6011

Tylko pół godziny drogi dzieli mnie od Rhiannon.

O świcie budzi mnie siostra – szarpie mnie i woła po imieniu: „Valeria!”.

Chyba zasnęłam do szkoły.

Nie. Zasnęłam do pracy.

Jestem pokojówką. Nieletnią, pracującą nielegalnie.

Valeria nie mówi po angielsku, więc wszystkie myśli, do których wnikam, są hiszpańskie. Nie wiem, co się dzieje, mija sporo czasu, zanim sobie przetłumaczę.

Mieszkamy we cztery. Zakładamy uniformy i przyjeżdża po nas bus. Jestem najmłodsza, ostatnia w hierarchii. Siostra coś do mnie mówi, a ja kiwam głową. Mam wrażenie, że wnętrze mi się skręcają i początkowo sędzę, że to z szoku. A potem zdaję sobie sprawę, że naprawdę się skręcają. Mam skurcze żołądka.

Znajduję odpowiednie słowa i mówię o tym siostrze. Rozumie, ale i tak musimy jechać do pracy.

Dosiada się do nas więcej kobiet oraz jedna dziewczyna w moim wieku. Niektóre ze sobą rozmawiają, jednak my z siostrą do nikogo się nie odzywamy.

Bus zatrzymuje się pod kolejnymi domami. Zawsze wysiadają przynajmniej dwie, niekiedy trzy albo cztery. Jestem w parze z siostrą.

Moim obowiązkiem jest sprzątanie łazienek. Muszę wyszorować muszle klozetowe. Usunąć włosy z kabiny prysznicowej. Wypolerować lustra, żeby się błyszczały.

Rozchodzimy się do swoich pomieszczeń. Nie rozmawiamy, nie włączamy muzyki. Pracujemy.

Pocę się w uniformie. Skurcze nie mijają. W apteczce pełno jest leków, ale wiem,

że przyszedłem tu sprzątać, a nie częstować się zawartością. Nikt nie zauważyłby ubytku dwóch tabletek Midolu, jednak wolę nie ryzykować.

Kiedy przechodzę do głównej łazienki, słyszę, że pani domu jest jeszcze w sypialni i rozmawia przez telefon. Sądzi, że nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi. Przeżyłaby ogromny szok, gdyby Valeria weszła do pokoju i zaczęła rozmawiać z nią perfekcyjną angielszczyzną o życiu Thomasa Jeffersona albo o zasadach termodynamiki.

Po dwóch godzinach praca jest skończona. Myślałem, że wracamy, jednak, jak się okazuje, mamy jeszcze cztery domy do posprzątania. Pod koniec jestem tak zmęczony, że ledwo się ruszam. Widząc to, moja siostra pomaga mi ogarnąć łazienkę. Tworzymy zespół, a więź, która nas łączy, to jedyna wartość tego dnia.

Kiedy wracamy do siebie, nie mam nawet siły się odezwać. Zmuszam się, by zjeść kolację, ale to cichy, milczący posiłek. A potem idę do łóżka, zostawiając obok miejsce dla siostry.

Nie ma mowy o mailach.

DZIEŃ 6012

Znajduję się godzinę drogi od niej.

Otwieram oczy Sallie Swain i rozglądam się po jej pokoju w poszukiwaniu komputera. Zanim jeszcze zdążę się w pełni obudzić, już otwieram pocztę.

A,

przepraszam, że wczoraj nie pisałam. Miałam taki zamiar, ale tyle się działo (nic ważnego, jednak zabrało mi mnóstwo czasu). I chociaż ciężko mi było się z Tobą spotkać, to jednak cieszę się, że tak się stało. Naprawdę. Mimo wszystko chyba warto zrobić sobie przerwę i przemyśleć sprawy.

Jak Ci minął dzień? Co robiłeś?

R

Naprawdę chce wiedzieć czy pyta z grzeczności? Mam wrażenie, że to mógłby być mail wysłany do pierwszej lepszej osoby. Co prawda kiedyś oczekiwałem od niej zupełnie normalnego, zwyczajnego tonu, a kiedy w końcu go dostałem, ta normalność mnie rozczarowuje.

Odpisuję i opowiadam o ostatnich dwóch dniach. A potem oznajmiam, że muszę iść – dzisiaj nie mogę opuścić lekcji, ponieważ Sallie Swain ma wielki bieg przełajowy i byłoby nie fair, gdyby przeze mnie ją ominął.



Biegam, jestem stworzony do biegania. Kiedy człowiek biegnie, może być kimkolwiek.

Jest skupiony tylko i wyłącznie na swoim organizmie. Reaguje ciałem i na ciało. Jeśli ściga się, by wygrać, jego jedyne myśli to myśli ciała. Jego jedyne cele to te stawiane sobie przez organizm. Człowiek zatracą się w sobie w imię prędkości. Postępuje wbrew sobie, żeby tylko przekroczyć linię mety.

DZIEŃ 6013

Dzisiaj znajduję się półtorej godziny drogi od niej i należę do szczęśliwej rodziny.

Stevensonowie nie marnują niedzieli, o nie. Pani Stevenson budzi Daniela punktualnie o dziewiątej, żeby przygotował się do wyjścia. Zanim wyszedłem spod prysznicy, pan Stevenson już zapakował samochód, a obie siostry Daniela aż podskakują z radości.

Pierwszy przystanek to wystawa dzieł Winslowa Homera w muzeum sztuki w Baltimore. Potem jemy obiad w porcie i zwiedzamy akwarium. Na końcu film Disneya dla dziewczyn w kinie IMAX oraz kolacja w restauracji serwującej owoce morza – tak sławnej, że nawet nie musieli dodawać „sławna” do swojej nazwy.

Pojawiają się drobne napięcia – siostra znudzona delfinami, moment, w którym tata denerwuje się brakiem miejsc parkingowych. Jednak przez większą część dnia wszyscy są szczęśliwi. Są tak zajęci swoim szczęściem, że nie zauważają, iż ja go nie podzielam. Snuję się na obrzeżach ich euforii. Jestem jak ludzie z obrazów Winslowa Homera – niby znajduję się w tym samym pomieszczeniu co reszta, a jednak mnie tam nie ma. Jestem jak ryba w akwariu, myślę w obcym języku, próbuję przystosować się do życia w obcym środowisku. Jestem jak ludzie w innych samochodach – każdy ma własną historię do opowiedzenia, ale mijają nas zbyt szybko, żebyśmy ich zrozumieli czy nawet zauważyli.

To dobry dzień, co zdecydowanie bardziej pomaga mi niż zły dzień. Momentami nawet o niej nie myślę – ba, nie myślę nawet o sobie. Momentami siedzę w mojej ramie, pływam w moim zbiorniku, jadę moim samochodem – i nie mówię, nie myślę o niczym, co wiązałoby mnie z czymkolwiek innym.

DZIEŃ 6014

Czterdzieści minut drogi do Rhiannon.

Jest niedziela, więc postanawiam sprawdzić, co kombinuje ten ksiądz Poole. Orlando, chłopak, którego ciało dzisiaj zajmuję, rzadko budzi się w weekend przed południem, więc uznaję, że jeśli będę cicho, jego rodzice zostawią mnie w spokoju.



Ksiądz Poole założył stronę internetową dla tych, którzy chcieliby opowiedzieć mu o tym, jak zostali opętani. Są na niej setki wpisów i nagrań.

Post Nathana jest raczej zdawkowy, jakby stanowił podsumowanie wszystkich jego wcześniejszych wypowiedzi i nie towarzyszy mu filmik. Nie dowiaduję się niczego nowego.

Inne historie są bardziej szczegółowe. W niektórych widać, że stanowią dzieło szaleńców – paranoików, którzy wymagają fachowej pomocy medycznej, a nie miejsca, w którym mogliby przedstawiać swoje wydumane teorie konspiracyjne. Natrafiam także na boleśnie szczere zwierzenia. Jedna kobieta jest autentycznie przekonana, że szatan zaatakował ją w kolejce do kasy w supermarkecie i napełnił ją pragnieniem dokonania kradzieży. Jakiś mężczyzna, którego syn popełnił samobójstwo, nie wierzy, że walczył on z własnymi, wewnętrznymi demonami, natomiast jest przekonany, że chłopak został opętany przez prawdziwe diabły.

Ponieważ zamieszkuję jedynie ciała rówieśników, szukam wpisów osób w moim wieku. Poole najwyraźniej sprawdza każde słowo, jakie pojawia się na jego stronie, bo nie ma ani jednego postu prześmiewczego, ani jednej parodii. Za to natrafiam na wpis chłopaka z Montany i aż mnie przeszywa dreszcz. Chłopak pisze, że został opętany, ale tylko na jeden dzień. Nic znaczącego się wtedy nie wydarzyło, jednak wie, że nie miał kontroli nad własnym ciałem.

Nigdy nie byłem w Montanie, jestem tego pewny.

A jednak to, co on opisuje, do złudzenia przypomina to, w czym uczestniczę.



Na stronie Poole'a znajduje się komunikat:

Jeśli sądzisz, że tkwi w tobie szatan,
[kliknij](#) albo zadzwoń pod podany numer.

Jeżeli rzeczywiście tkwi w tobie szatan, po co miałby klikać albo dzwonić?



Loguję się do starej poczty i przekonuję się, że Nathan znów się ze mną kontaktował.

A więc żadnego dowodu?
Potrzebujesz pomocy.

Zamieszcza nawet link do strony Poole'a. Miałbym ochotę mu odpisać, powiedzieć, że niedawno ze sobą rozmawialiśmy. Zasugerować, żeby zapytał swojego kolegę AJ, jak mu minął poniedziałek. Chcę, by zaczął się bać, że mogę się pojawić w każdej chwili, w każdej możliwej osobie.

Nie, napominam siebie. Nie wolno mi tak myśleć.

O ile łatwiej mi było, kiedy niczego w życiu nie pragnąłem.

Niemożliwość dostania tego, czego się pragnie, uruchamia w człowieku okrucieństwo.



Zaglądam do drugiej poczty i znajduję kolejną wiadomość od Rhiannon. Opowiada mi ogólnikowo o swoim weekendzie i pyta ogólnikowo o to, co robię.

Próbuję przespać resztę dnia.

DZIEŃ 6015

Budzę się. Dzisiaj nie dzielą nas cztery godziny drogi, nawet nie jedna godzina, nawet nie piętnaście minut.

Budzę się w jej domu.

W jej pokoju.

W jej ciele.



Początkowo sędzę, że nadal śpię, a to tylko sen. Otwieram oczy, przecież mogę znajdować się w pokoju jakiejkolwiek dziewczyny – lalki od Madame Alexander dzielą miejsce z kredkami do oczu i czasopismami poświęconymi modzie. Jestem pewien, że to mój śniący umysł płata mi figła, gdy wnikam do niego i widzę Rhiannon. Czy już wcześniej miewałem podobne sny? Chyba nie. Ale to nawet logiczne. Skoro to myśl o niej, nadzieja

z nią związana towarzyszy każdemu mojemu krokowi na jawie, równie dobrze może pojawiać się w moich snach.

A jednak czuję poduszkę przy twarzy. Pościel wokół nóg. Oddycham, a w snach rzadko kiedy oddychamy.

Nagle ogarnia mnie wrażenie, że świat zamienił się w szkło. Wszystko jest takie kruche i delikatne. Każda chwila niesie w sobie niebezpieczeństwo. Wiem, że ona nie chciałaby widzieć mnie w swoim ciele. Wyobrażam sobie, jaka byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała. Całkowita utrata kontroli nad sobą.

Cokolwiek zrobię, mogę coś zepsuć. Z każdym wypowiedzianym słowem, z każdym ruchem.

Rozglądam się dokładniej. Niektóre nastolatki, gdy dorastają, przeprowadzają czystki w swoich pokojach. Wydaje im się, że muszą wygnać swoje poprzednie, młodsze wcielenia, żeby pozwolić zamieszkać bieżącemu. Jednakże Rhiannon całkiem dobrze się czuje w związku ze swoją przeszłością. Widzę rodzinne zdjęcia, na których ma trzy lata, osiem, dziesięć, czternaście. Przy łóżku straż pełni pluszowy pingwin. Na półce z książkami obok J.D. Salingera stoi nadal Dr Seuss.

Podnoszę jedno zdjęcie. Gdybym chciał, mógłbym wnikać do jej umysłu i sprawdzić, kiedy zostało zrobione. Ona i siostra są chyba na festynie. Jej siostra ma przypiętą wstążeczkę zwycięzcy. Oczywiście mogę z łatwością sprawdzić, co wtedy wygrała, ale wolę, żeby Rhiannon mi o tym opowiedziała.

Chciałbym, żeby tu była i oprowadziła mnie po swoim życiu. Czuję się jak włamywacz.

Jedyne, co mogę zrobić, to przeżyć ten dzień tak, jakby oczekiwała tego Rhiannon. Jeśli dowie się, że tu byłem – a mam przeczucie, że tak właśnie będzie – chcę, by była pewna, że nie wykorzystałem sytuacji. Nie chcę dowiadywać się wszystkiego w taki sposób. Nie chcę niczego zyskać w taki sposób.

I dlatego odnoszę wrażenie, że dzisiaj mogę wszystko stracić.



A więc tak jest unosić jej rękę.

Tak jest mrugać jej powiekami.

Odwracać głowę.

Tak jest przesuwając jej językiem po wargach, stawiać stopy na podłodze.

To jej ciężar. To jej wzrost. Kąt, pod jakim spogląda na świat.



Mógłbym wnikać do wszystkich wspomnień związanych ze mną. Albo z Justinem. Mógłbym dowiedzieć się, co mówiła, kiedy mnie tu nie było.



– Cześć.

Tak brzmi jej głos słyszany od wewnątrz.

Tak brzmi jej głos, kiedy jest sama.



Jej mama mija mnie na korytarzu, nie śpi, ale to nie jej wybór. To była dla niej długa noc, przeradzająca się w krótki poranek. Mówi, że spróbuje jeszcze zasnąć, po czym dodaje, że to mało prawdopodobne.

Tata Rhiannon jest w kuchni, gotów do wyjścia. Jego „dzień dobry” niesie w sobie mniej pretensji do świata. Spieszy się do pracy, więc domyślam się, że więcej Rhiannon od niego nie usłyszy. Wyjmuję płatki, podczas gdy on szuka kluczy, a potem mówię „cześć” w odpowiedzi na jego szybkie pożegnanie.

Postanawiam, że nie wezmę prysznic, nawet nie zmienię bielizny. W łazience będę miał zamknięte oczy. Już i tak czuję się nago, patrząc w lustro i widząc w nim jej twarz. Na więcej sobie nie pozwolę. Rozczesywanie włosów to już zbyt intymna czynność. Tak samo jak robienie makijażu, a nawet zakładanie butów. Doświadczanie poczucia równowagi, czucie jej skóry od wewnątrz, dotykanie jej twarzy i jednocześnie czucie tego dotyku – to nieuniknione, a przy tym niezwykle intensywne doznanie. Staram się myśleć tylko jako „ja”, ale nie mogę zapomnieć, że jestem nią.

Muszę wnikać w jej umysł, żeby znaleźć kluczyki i drogę do szkoły. Być może powinienem zostać w domu, jednak nie jestem pewien, czy zniosę samotność w jej ciele, pozbawiony rzeczy odwracających uwagę. Jej radio nastawione jest na wiadomości, co mnie zaskakuje. Z lusterka zwisa chwost od biretu jej siostry.

Zerkam na siedzenie pasażera, niemal spodziewam się, że ujrzę Rhiannon, zobaczę, jak na mnie patrzy, usłyszę, jak mówi mi, gdzie mam jechać.

Zamierzam unikać Justina. Idę do szafki, wyciągam podręczniki i od razu kieruję się do klasy. Kiedy zaczynają napływać kolejni uczniowie, staram się rozmawiać na tyle, na ile mogę. Nikt nie zauważa różnicy – nie dlatego, że nic ich nie obchodzi, ale ponieważ tak wcześnie rano mało kto jest całkowicie przytomny. Tak bardzo zafiksowałem się na Justinie, że nie pomyślałem o tym, jak ważni w jej życiu są przyjaciele. Dociera do mnie, że dotąd widziałem najpełniejszy obraz jej życia, kiedy przyjechałem tu jako Amy Tran. Rhiannon nie spędza dnia samotnie. A kiedy ucieka, niekoniecznie ucieka od przyjaciół.

– Masz zadanie z biologii? – pyta jej przyjaciółka Rebecca. Początkowo sędzę, że chce odpisać ode mnie, ale ona podsuwa mi własne zadanie. Rzeczywiście, Rhiannon nie odrobiła wszystkiego. Dziękuję koleżance i zaczynam przepisywać.

Zaczyna się lekcja, nauczyciel omawia temat, a ja muszę tylko słuchać i robić notatki.

Zapamiętaj to – mówię do Rhiannon. – Zapamiętaj, jakie to zwyczajne.

Kątem oka dostrzegam to, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Rysunki w zeszytce przedstawiające góry i drzewa. Delikatne odciski ściskacza skarpetki na kostce. Małe czerwone znamię u nasady lewego kciuka. Ona zapewne nie zwraca na nie uwagi. Dla mnie to nowość, więc widzę wszystko.



Tak jest trzymać ołówek w jej dłoni.

Tak jest wypełniać płuca powietrzem.

Tak jest czuć oparcie krzesła na plecach.

Tak jest dotykać jej ucha.

Tak właśnie brzmi dla niej świat. To słyszy każdego dnia.



Pozwalam sobie zajrzeć do jednego wspomnienia. Nie wybieram, samo do mnie przychodzi, więc go nie odpędzam.

Rebecca siedzi obok mnie i żuje gumę. W którymś momencie jest tak znudzona, że wyciąga ją z ust i zaczyna obracać ją w palcach. Pamiętam, że to była szósta klasa. Nauczycielka ją na tym przyłapała, a Rebecca tak się przestraszyła, że guma wyleciała jej z rąk i wpadła prosto we włosy Hanny Walker. Hanna początkowo nie wiedziała, co się dzieje, a wtedy dzieciaki zaczęły się śmiać i nauczycielka jeszcze bardziej się wkurzyła. To ja – Rhiannon – powiedziałam jej, że ma gumę we włosach, a potem pracowicie wyskubałam ją, uważając, żeby jeszcze bardziej nie posklejać jej włosów. Udało mi się wydostać całą, co do kawałka. Dobrze to pamiętam.



Staram się unikać Justina podczas dużej przerwy, ale mi się to nie udaje.

Jestem na korytarzu, z dala od stołówki i naszych szafek, a jednak i on się tam znajduje. Mój widok ani go nie cieszy, ani nie denerwuje. Moją obecność przyjmuje jako pewnik, coś tak oczywistego jak dzwonek między lekcjami.

– Zjemy poza szkołą? – pyta.

– Pewnie – mówię, chociaż nie mam pojęcia, na co się zgadzam.

W tym wypadku „poza szkołą” oznacza pizzerię dwie ulice dalej. Zamawiamy po kawałku pizzy i colę. Justin płaci za siebie i wcale nie proponuje, że mi też zafunduje. I dobrze.

Jest rozgadany, ale koncentruje się na tym, co – jak się domyślam – pozostaje jego ulubionym tematem: krzywdzie, jakiej nieustannie doznaje od innych. To całkiem obszerna teoria spiskowa, obejmująca dosłownie wszystko: od wadliwej stacyjki w samochodzie ojca, marudzenia rodziców o studiach, aż po „pedalski sposób mówienia” nauczyciela angielskiego. Ledwo nadążam za rozmową, przy czym „nadażanie” wydaje się najwłaściwszym słowem, ponieważ Justin robi to tak, żeby Rhiannon zawsze pozostawała przynajmniej pięć kroków w tyle. Nie interesuje go jej zdanie. Za każdym razem, kiedy coś powiem, milczy i nie podejmuje tematu.

A potem zaczyna mówić o tym, jaką suką dla Steve’a jest Stephanie. Przez cały czas wpycha sobie do ust pizzę i częściej spogląda na stół niż na mnie. Z trudem zwalczam pokusę, by zrobić coś drastycznego. On nie zdaje sobie z tego sprawy, ale mam pełną kontrolę nad sytuacją. Wystarczyłaby minuta – a nawet mniej – żeby z nim zerwać. Wystarczyłoby kilka dobrze dobranych słów, żeby przeciąć łańcuch. Mógłby zareagować wściekłością, zarzucić mnie obietnicami albo zalać się łzami, a ja nawet bym nie drgnął.

Bardzo tego pragnę, lecz milczę. Nie wykorzystuję przewagi. Bo wiem, że takie zakończenie nigdy nie doprowadziłoby do początku, na który mam nadzieję. Gdybym tak to zakończył, Rhiannon nigdy by mi nie wybaczyła. Nie tylko mogłaby jutro wszystko cofnąć, ale uważałaby mnie za zdrajcę, dopóki istniałbym w jej życiu. Czyli bardzo krótko.

Mam nadzieję, że ma świadomość, iż Justin niczego nie zauważa. Ona widzi mnie w każdym ciele, w które wniknę, a on nie zauważa, że jej tu nie ma. Nie patrzy wystarczająco uważnie.



A potem nazywa ją Srebrną. Proste „chodź, Srebrna”, kiedy skończyliśmy jeść. Myślałem, że się przesłyszałem. Wnikam do jej umysłu i wtedy widzę tę ich wspólną chwilę. Czytają *Outsiderów* na literaturę angielską, leżąc na jego łóżku obok siebie, każde ze swoją książką. Ona nieco bardziej zaawansowana w lekturze niż on. Ona uważa, że książka to pozostałość czasów, kiedy sentymentalnych chłopców łączyło uwielbienie dla *Przeminęło z wiatrem*, ale milknie, gdy widzi, jaki on jest poruszony. Chociaż już skończyła czytać, zaczyna znów od początku, czekając, aż on dotrze do ostatniej strony. A potem on zamyka książkę i mówi: „Łał. Nic, co złote, się nie utrzyma. Ciekawe, ile w tym prawdy?”. Ona nie chce psuć tej chwili, nie chce kwestionować cytatu. I dobrze, bo za moment on się uśmiecha i mówi: „To oznacza, że musimy być srebrni”. A kiedy ona wychodzi od niego wieczorem, woła za nią: „Do zobaczenia, Srebrna!”.

I tak już zostaje.



Gdy wracamy do szkoły, nie trzymamy się za ręce, nawet ze sobą nie rozmawiamy. Gdy

się rozdzielamy, Justin nie życzy mi miłego dnia ani nie dziękuje za wspólnie spędzone chwile. Nawet nie mówi, że się niedługo zobaczymy. Po prostu zakłada, że tak będzie.



Zostaję sam, otoczony przez ludzi, i mam całkowitą świadomość, jak niebezpieczne jest to, na co się porywam. Zdaję sobie sprawę z efektu motyla, a mój każdy kontakt z drugim człowiekiem może wywołać istną lawinę zdarzeń. Jeśli się nad tym zastanowić, gdybym śledził przez wystarczająco długi czas skutki swoich poczynań, mogłoby się okazać, że każdy mój ruch jest fałszywy, każdy krok może wywołać niezamierzone konsekwencje.

Czy ignoruję kogoś, kogo nie powinienem ignorować? Nie mówię czegoś, co powinienem powiedzieć? Nie zauważam czegoś, co ona z pewnością by zauważyła? Jakich prywatnych języków nie słyszę na pełnym zgiełku szkolnym korytarzu?

Gdy spoglądamy na tłum ludzi, to naturalne, że nasz wzrok kierujemy na pewne osoby, znane nam czy nieznanne. Jednak moje spojrzenie jest puste. Wiem, co widzę, ale nie wiem, co ona by zobaczyła.

Świat nadal zbudowany jest ze szkła.



Tak jest czytać słowa jej oczami.

Tak jest odwracać kartki jej ręką.

Tak jest, gdy krzyżuje nogi w kostkach.

Tak jest, kiedy pochyla głowę, żeby ukryć spojrzenie.

Tak wygląda jej pismo. Tak się je tworzy. Tak podpisuje się na kartce.



Na literaturze angielskiej mamy klasówkę z *Tessy d'Urberville*. Czytałem tę książkę, wydaje mi się, że Rhiannon dobrze poszło.

Wnikam do jej umysłu i przekonuję się, że nie ma planów na popołudnie. Justin przychodzi przed ostatnią lekcją i pyta, czy spędzą razem trochę czasu. Bez trudu domyślam się, o co mu chodzi, ale nie widzę w tym żadnej korzyści.

– A co chciałbyś robić? – pytam.

Patrzy na mnie jak na idiotkę.

– A jak sądzisz?

– Lekcje?

– Taaa, można tak to nazwać – prycha.

Potrzebne mi kłamstwo. Tak naprawdę mam ochotę się zgodzić, a potem wystawić go

do wiatru. Jednak wiem, że jutro Rhiannon poniosłaby konsekwencje. Mówię więc, że muszę zawieźć mamę do lekarza w związku z jej bezsennością. Wizyta pewnie długo potrwa, a ponieważ zaaplikują jej leki, nie będzie mogła wrócić sama.

– No dobra, o ile dadzą jej mnóstwo pigułek – mówi. – Uwielbiam tabletki twojej mamy.

Pochyliła się do pocałunku i muszę to zrobić. Jakie to zaskakujące: trzy tygodnie temu także znajdowaliśmy się w tych samych ciałach, ale pocałunek był zupełnie inny. Wtedy, gdy znajdowałem się po drugiej stronie, nasze języki się zetknęły, a ja poczułem, jakby to była inna forma intymnej rozmowy. Teraz mam wrażenie, jakby wpychał mi do ust obce wstrętne ciało.

– Skombinuj pigułki – mówi, gdy się rozdzielamy.

Mam nadzieję, że moja mama ma niepotrzebne tabletki antykoncepcyjne, które mogę mu podsunąć.



Byliśmy razem nad oceanem i w lesie. Postanawiam więc, że dzisiaj wybierzemy się w góry.

Szybko sprawdzam, gdzie jest najbliższe miejsce, na które można się wspiąć. Nie mam pojęcia, czy Rhiannon już tam była i nie jestem pewien, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Nie jest ubrana odpowiednio do pieszych wypraw, jej konwersy mają zdartą podeszwę, ale i tak decyduję się na wycieczkę. Zabieram ze sobą butelkę wody i komórkę, całą resztę zostawiam w samochodzie.

Jest poniedziałek, szlak jest w niemal pusty. Co jakiś spotykam pojedynczego wędrowca, wymieniamy pozdrowienia albo kiwamy głowami, jak robią ludzie otoczeni kilometrami ciszy. Szlaki są oznakowane bez większego ładu, a może to ja jestem zbyt roztargniony. W mięśniach Rhiannon czuję nachylenie stoku, jej oddech staje się przyspieszony. Idę przed siebie.

Na nasze dzisiejsze wspólne popołudnie postanowiłem spróbować podarować Rhiannon radość płynącą z absolutnej samotności. Nie letargu, jaki ogarnia człowieka polegającego na sofie, ani nudnej monotonii, kiedy umysł wyłącza się na lekcji matematyki. Nie wędrowania w środku nocy po uśpionym domu albo bólu, gdy ktoś zatrzaskuje drzwi i zostawia cię w pokoju. Ta samotność nie ma z nimi nic wspólnego. To samotność sama w sobie. Gdy czujesz swoje ciało, ale nie używasz go po to, by stanowiło dystrakcję dla umysłu. Twoim ruchom przyświeca konkretny cel, lecz nie ma w nich pośpiechu. Komunikujesz się nie z przypadkową osobą, która zajmuje miejsce obok, ale ze wszystkimi żywiołami. Pocisz się, cierpisz i pniesz się do góry, uważając, by się nie poślizgnąć, nie upaść, nie zgubić się, zatracony w tym, co robisz.

Na końcu – przystanek. Na samym szczycie – widok. Zmagasz się z ostatnim stromym podejściem, ostatnim zakrętem ścieżki, i zaraz znajdujesz się ponad wszystkim. I wcale nie

chodzi o to, że widok ma zapierać dech w piersiach. Nie chodzi o to, że wspinasz się na sam Everest. Oto znaleźliśmy się w najwyższym jak okiem sięgnąć punkcie, nie licząc chmur, powietrza i leniwego słońca. Znow mam jedenaście lat, weszliśmy na czubek tamtego drzewa. Powietrze wydaje się czystsze, świat bowiem znajduje się poniżej, możemy więc oddychać pełną piersią. A ponieważ oprócz nas nie ma tu nikogo, pozwalamy sobie na cichy podziw wobec tego, co tak potężne.

Zapamiętaj to, błagam Rhiannon, wypatrując ponad drzewami, dysząc jej oddechem. Zapamiętaj to uczucie. Pamiętaj, że tu byliśmy.

Siadam na kamieniu i piję wodę. Wiem, że znajduję się w jej ciele, ale mam poczucie, jakby ona tu ze mną była. Jakbyśmy byli dwójką zupełnie osobnych ludzi, którzy są tu razem, dzielą tę chwilę.



Jem kolację z jej rodzicami. Kiedy pytają, co dzisiaj robiła, opowiadam im. Jestem pewien, że powiedziałem im więcej, niż zrobiłaby to Rhiannon, niż to zwykle robi.

– Brzmi wspaniale – mówi jej mama.

– Tylko uważaj na siebie – dodaje tata, po czym zmienia temat i zaczyna opowiadać o czymś, co zdarzyło się u niego w pracy. Mój dzień, ledwie zauważony, znow należy wyłącznie do mnie.



Odrabiam jej lekcje najlepiej, jak potrafię. Nie zaglądam do jej skrzynki, ponieważ boję się, że znajdę tam coś, czego ona nie chciałaby mi pokazać. Nie sprawdzam własnej poczty, bo ona jest jedyną osobą, której maili oczekuję. Na stoliku nocnym leży książka, jednak nie czytam jej, obawiając się, że nie będzie potem pamiętała treści i zostanie zmuszona, by to przeczytać ponownie. Kartkuję tylko jakieś czasopisma.

W końcu postanawiam zostawić jej list. To jedyny sposób, żeby ją przekonać, że naprawdę tu byłem. Znow czuję wyraźną pokusę, chcę udawać, że nic się nie wydarzyło, pragnę zaprzeczyć wszelkim oskarżeniom, jakie ona może wystosować na podstawie skrawków wspomnień, które jej zostaną. Ale chcę być szczery. To wszystko ma szansę powodzenia tylko wtedy, gdy zachowam całkowitą uczciwość.

I dlatego wszystko jej mówię. Na początku listu proszę, żeby, zanim zacznie czytać, spróbowała przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z poprzedniego dnia – by to, czego się dowie, nie wpłynęło na jej prawdziwe wspomnienia. Wyjaśniam, że gdybym miał wybór, nigdy nie znalazłbym się w jej ciele, lecz nie mam na to żadnego wpływu. Mówię, że starałem się uszanować jej dzień na tyle, na ile byłem w stanie, i wyrażam nadzieję, że nie przyczyniłem się do żadnych kłopotów. A potem – jej własnym pismem – wyszczególniam, co robiliśmy tego dnia. Nigdy wcześniej nie pisałem do osoby, której

ciało zamieszkałem, świadomość, że Rhiannon to przeczyta, wydaje mi się z jednej strony dziwna, z drugiej – uspokajająca. Jest tyle wyjaśnień, które mogę pominąć. Już sam fakt, że piszę ten list, to wyraz mojej wiary – w nią i w to, że zaufanie prowadzi do zaufania, a prawda – do prawdy.



Tak jest, kiedy jej oczy się zamykają.

Tak smakuje jej sen.

W taki sposób noc muska jej skórę.

W taki sposób dźwięki domu kołyszą ją do snu.

Tak brzmi pożegnanie, które przeżywa co wieczór. Tak kończy się jej dzień.



Zwijam się w kłębek w ubraniu, które miałem dzisiaj na sobie. Teraz, kiedy dzień już prawie dobiegł końca, znika szkło, z którego zbudowany był świat, zmniejsza się ryzyko efektu motyla. Wyobrażam sobie, że oboje leżymy w tym łóżku, że moje niewidzialne ciało przytula się do niej. Oddychamy równo, nasze klatki piersiowe unoszą się jednocześnie. Nie musimy szeptać do siebie, wystarczy tylko pomyśleć. Powieki nam opadają w tej samej chwili. Tak samo czujemy dotyk pościeli, otacza nas ta sama noc. Nasz oddech zwalnia w taki sam sposób. Rozdzielamy się na dwie wersje tego samego snu. Zasypiamy w tej samej sekundzie.

DZIEŃ 6016

A,
wydaje mi się, że wszystko pamiętam. Gdzie jesteś dzisiaj?
Zamiast pisać długiego maila, wolałabym porozmawiać.
R.

Znajduję się mniej więcej dwie godziny drogi od niej, w ciele Dylana Coopera. Jest absolutnym maniakiem programowania, a jego pokój to istna kopalnia produktów Apple'a.

Wnikam do jego umysłu na tyle, by wiedzieć, że jeśli naprawdę – naprawdę – podoba mu się jakaś dziewczyna, tworzy nową czcionkę i nadaje jej imię tejże dziewczyny.

Odpisuję Rhiannon, informuję, gdzie dzisiaj jestem. Natychmiast dostaję od niej maila – widocznie czekała przy komputerze. Pyta mnie, czy spotkamy się po lekcjach. Umawiamy się w Clover Bookstore.



Niezły uwodziciel z tego Dylana. Zdążyłem się zorientować, że jednocześnie podkochuje się w trzech dziewczynach. Przez cały dzień robię, co mogę, żeby z żadną z nich nie nawiązał bliższej relacji. Sam będzie musiał zdecydować, którą woli.

Do księgarni docieram pół godziny przed czasem, ale jestem zbyt zdenerwowany, żeby wziąć do ręki jakąkolwiek książkę. Pozostaje mi więc czytanie w twarzach znajdujących się w sklepie ludzi.

Rhiannon wchodzi do środka, też przyszła wcześniej. Nie muszę wstawać ani jej machać. Rozgląda się, dostrzega mnie i zauważa, w jaki sposób na nią patrzę. Od razu wie, że to ja.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.



– Czuję się jak na kacu – stwierdza.

– Wiem.

Zamówiła nam kawę, siadamy przy stoliku, splatamy palce wokół kubków.

Widzę to, na co zwróciłem wczoraj uwagę: znamię, krostki na czole. Nie mają dla mnie takiego znaczenia jak cały obraz.

Rhiannon nie wydaje się ani przerażona, ani zła. Raczej pogodzona z tym, co się stało. Człowiek zwykle ma nadzieję, że kiedy minie pierwszy szok, przyjdzie zrozumienie. W jej przypadku to zrozumienie już chyba się pojawiło. Zniknęły wszelkie ślady wątpliwości.

– Obudziłam się i natychmiast wyczułam, że coś się zmieniło – mówi. – Jeszcze zanim zobaczyłam list od ciebie. I nie było to typowe zdezorientowanie, nie miałam wrażenia, że umknął mi jeden dzień. Raczej jakbym obudziła się z poczuciem, że coś... coś zyskałam. A potem zobaczyłam list, zaczęłam czytać i od razu wiedziałam, że to prawda. Że to rzeczywiście się wydarzyło. Przestałam czytać w momencie, w którym mnie o to poprosiłeś i próbowałam przypomnieć sobie cały poprzedni dzień. Miałam wszystkie wspomnienia. I nie chodzi mi o rzeczy, o których zwykle zapominam, jak wstawanie z łóżka czy mycie zębów. Ale wejście na górę. Obiad z Justinem. Kolacja z rodzicami. Nawet pisanie tego listu – pamiętałam to! Wiem, że to nielogiczne – po co miałabym pisać list do siebie? A jednak w moim umyśle ma to sens.

– Wyczułaś moją obecność w tych wspomnieniach?

Kręci przecząco głową.

– Nie tak, jak może ci się wydawać. Nie czułam, że przejąłeś kontrolę nad moim ciałem i życiem. Raczej, że byłeś ze mną. Tak jak teraz wyczuwam twoją obecność, tyle że teraz znajdujesz się na zewnątrz.

Przerywa, a potem znów zaczyna mówić.

– Ta rozmowa jest szalona.

Ja jednak chcę dowiedzieć się więcej.

– Chciałem, żebyś wszystko zapamiętała – mówię. – I najwyraźniej twój umysł mnie posłuchał. A może ty też chciałaś to pamiętać.

– Nie wiem. Ale dobrze, że tak się stało.

Rozmawiamy jeszcze o minionym dniu, o tym, jakie to wszystko dziwaczne. W końcu Rhiannon mówi:

– Dziękuję ci za to, że namieszałeś mi w życiu. I że nie zdjąłeś ubrania. Oczywiście, jeśli pod nie zajrzałeś.

– Niczego takiego nie zrobiłem.

– Wierzę ci. To niesamowite, ale wierzę we wszystko, co mówisz.

Widzę, że chciałaby coś jeszcze dodać.

– Co? – pytam.

– Chodzi o to... czy masz teraz wrażenie, że mnie lepiej znasz? To dziwne, ale ja... ja czuję, jakbym cię lepiej znała. Przez to, co zrobiłeś i czego nie zrobiłeś. Czy to idiotyczne? Wydawało mi się, że powinieneś dowiedzieć się o mnie tylu rzeczy... a jednak nie jestem pewna, czy tak się stało.

– Poznałem twoich rodziców – odpowiadam.

– I jakie wrażenie na tobie zrobili?

– Myślę, że oboje się o ciebie troszczą – na swój sposób.

Wybuchają śmiechem.

– Dobrze powiedziane.

– Miło było ich poznać.

– Będę o tym pamiętała, kiedy oficjalnie się z nimi spotkasz. Mamo, tato – to A. Sądzicie, że widzicie go po raz pierwszy, w rzeczywistości już się spotkaliście, kiedy zamieszkiwał moje ciało.

– Jestem pewien, że to im się spodoba.

Oczywiście, oboje wiemy, że to czysta fantazja. Nie ma szansy, żeby poznał jej rodziców. Nie jako ja.

Nie mówię tego na głos, ona też nie. Nawet nie wiem, czy pomyślała o tym samym.

– To się już nie powtórzy, prawda? – odzywa się w końcu. – Nigdy nie jesteś dwa razy tą samą osobą.

– Zgadza się. To się nie powtórzy.

– Nie obraż się, ale czuję ulgę na myśl, że nie muszę zasypiać, zastanawiając się, czy następnego dnia obudzę się z tobą sprawującym nade mną kontrolę. Raz – mogę się z tym pogodzić. Niech ci to jednak nie wejdzie w krew.

– Obiecuję – chciałbym, żeby w krew weszło mi spotkanie się z tobą, jednak nie w taki sposób.

No i musiałem poruszyć temat przyszłości. Przeszliśmy szybko przez przeszłość,

napawamy się terażniejszością, a teraz trąciłem przyszłość i zaczynamy się potykać o własne nogi.

– Widziałeś moje życie – mówi Rhiannon. – Powiedz mi, jak twoim zdaniem to się może udać?

– Znajdziemy sposób.

– To nie jest odpowiedź, tylko nadzieja.

– Jak dotąd to nadzieja nas prowadziła, a nie odpowiedzi.

Uśmiecha się nieznacznie.

– Słusznie – stwierdza. Upija łyk kawy, widzę, że szykuje się kolejne pytanie. – Wiem, że to dziwaczne, ale... tak się zastanawiam. Tak naprawdę jesteś chłopakiem czy dziewczyną? No wiesz, kiedy znajdowałeś się w moim ciele, czułeś się... naturalniej niż w ciele chłopaka?

Intryguje mnie, że akurat tę kwestię postanowiła drążyć.

– Zawsze jestem sobą – mówię. – Zawsze czuję się naturalnie, a jednocześnie nigdy tak się nie czuję. Tak po prostu jest.

– A kiedy się z kimś całujesz?

– Tak samo.

– A podczas seksu?

– Czy Dylan się rumieni? – pytam. – Widzisz na jego twarzy rumieniec?

– Tak.

– To dobrze. Bo ja też się zaczerwieniłem.

– Nigdy jeszcze się nie...

– To nie byłoby fair z mojej strony.

– Nigdy!

– Cieszę się, że cię to bawi.

– Przepraszam.

– Była taka jedna dziewczyna.

– Naprawdę?

– Taaa. Wczoraj. Kiedy znajdowałem się w twoim ciele. Nie pamiętasz? Być może przeze mnie jest w ciąży.

– To wcale nie jest śmieszne! – mówi. Po czym się śmieje.

– Tylko ty mnie interesujesz – dodaję.

Zaledwie cztery słowa, a nasza rozmowa poważnieje. Czuję to jak zmianę w powietrzu, kiedy chmury zakryją słońce. Gaśnie śmiech i siedzimy w milczeniu, kiedy nie ma już po nim śladu.

– A – zaczyna Rhiannon. Nie chcę tego słyszeć. Nie chcę słyszeć o Justinie, o problemach ani rozlicznych powodach, dla których nie możemy być razem.

– Nie teraz – proszę. – Zostańmy przy miłej atmosferze.

– Jasne – mówi. – Nie ma sprawy.

Pyta mnie, co jeszcze zauważyłem, kiedy zamieszkiwałem jej ciało, więc opowiadam jej

o znamieniu, różnych osobach z klasy, na które zwróciłem uwagę, o trosce jej rodziców. Wspominam historię gumy do żucia, ale nie dzielę się z nią moimi spostrzeżeniami co do Justina. Ona zdaje sobie z nich sprawę, nawet jeśli woli się do tego nie przyznawać – ani przede mną, ani przed samą sobą. Nie mówię też o drobnych zmarszczkach wokół jej oczu i krostach na czole, bo wiem, że to by ją zestresowało, chociaż przecież stanowi element jej urody.

Oboje musimy wracać do domu, ale pozwalam jej odjechać dopiero wtedy, gdy obieca mi, że wkrótce się znów zobaczymy. Jutro. A jeśli nie – to pojutrze.

– Jak mogłabym ci odmówić? Nie mogę się doczekać, kiedy się przekonam, kim teraz będziesz.

Wiem, że to żart, jednak i tak muszę jej odpowiedzieć.

– Zawsze będę A.

Wstaje i całuje mnie w czoło.

– Wiem – mówi. – I dlatego właśnie chcę się z tobą spotykać.

Rozstajemy się w miłym nastroju.

DZIEŃ 6017

Przez dwa dni zupełnie nie myślałem o Nathanie, ale najwyraźniej on przez ten czas myślał o mnie.

poniedziałek, 19.30

Nadal oczekuję dowodu.

poniedziałek, 20.14

Dlaczego ze mną nie rozmawiasz?

poniedziałek, 23.43

To Ty mi to zrobiłeś. Należy mi się wyjaśnienie.

wtorek, 6.13

Nie mogę spać. Ciekawe, czy zamierzasz wrócić. Ciekawe, co mi teraz zrobisz. Jesteś szaleńcem?

wtorek, 14.30

Musisz być szatanem. Tylko szatan tak by mnie zostawił.

środa, 2.12

Masz pojęcie, jak ja się teraz czuję?

Czuję na sobie ciężar odpowiedzialności, a z czymś takim niełatwo sobie poradzić. Przytłacza mnie i krępuje mi ruchy, a jednocześnie nie pozwala odpłynąć w nicość.

Jest szósta rano, Vanessa Martinez wcześniej wstała. Po przeczytaniu wiadomości od Nathana zaczynam się zastanawiać nad tym, co mówiła Rhiannon. Nathanowi należy się odpowiedź.

Mogę cię zapewnić, że to się już nie powtórzy. Nie jestem w stanie udzielić Ci dokładniejszych wyjaśnień, ale jedno jest pewne: coś takiego może zdarzyć się tylko raz. Zapomnij o tym i żyj dalej.

Odpisuje dwie minuty później.

Kim jesteś? I dlaczego mam Ci wierzyć?

Mam świadomość, że wszystko, co napiszę, za moment może trafić na stronę księdza Poole'a. Nie chcę podać mu swojego imienia, jednak wiem, że jeśli się przedstawię, może przestanie traktować mnie jak szatana, a zacznie uważać za kogoś, kim naprawdę jestem: człowiekiem takim jak on.

Mam na imię Andrew. Musisz mi wierzyć, bo jestem jedyną osobą, która naprawdę rozumie, co Ci się przydarzyło.

Jak można się było spodziewać, jego odpowiedź jest oczywista:

Udowodnij to.

Więc piszę:

Pojechałeś na imprezę. Nie piłeś. Rozmawiałeś z pewną dziewczyną. W którymś momencie zapytała, czy chcesz z nią zatańczyć. Chciałeś. Tańczyliście prawie godzinę. Straciłeś rachubę czasu. Zapomniałeś, kim jesteś. To była jedna z najcudowniejszych chwil w Twoim życiu. Nie wiem, czy to pamiętasz, ale zapewne kiedyś, gdy będziesz tańczył w podobnych okolicznościach, uznasz, że jest w tym coś znajomego i będziesz wiedział, że już to kiedyś przeżyłeś. W ten dzień, którego nie pamiętasz. Wspomnienie wróci do ciebie.

To mu nie wystarcza.

Po to tam pojechałem?

Staram się udzielić prostej odpowiedzi.

Żeby porozmawiać z pewną dziewczyną.

W tym jednym dniu chciałeś porozmawiać z tą akurat dziewczyną.

Jak ona ma na imię?

Nie mogę jej w to wplątać. Nie mogę opowiedzieć mu całej historii. Decyduję się na unik.

To nieistotne. Najważniejsze, że przez krótką chwilę było naprawdę warto. Tak dobrze się bawiłeś, że straciłeś poczucie czasu. To dlatego znalazłeś się na poboczu. Nie piłeś, nie miałeś wypadku. Po prostu skończył ci się czas. Jestem pewien, że musiałeś być przerażony. Domyślałam się, że ciężko to objąć rozumem. To się jednak więcej nie powtórzy.

Pytania, na które nie ma odpowiedzi, mogą zniszczyć człowieka. Zapomnij o tym.

Napisałem prawdę, ale i to za mało.

Tak byłoby dla Ciebie łatwiej, prawda? Gdybym zapomniał?

Każda okazja, jaką mu daję, każdy ułamek prawdy, jaki mu serwuję, zdejmuję mi z ramion część ciężaru. Współczuję mu, że jest tak zdezorientowany, ale nie obchodzi mnie jego wrogie nastawienie.

Nathan, to, co zrobisz albo czego nie zrobisz, to nie moja sprawa. Próbuję Ci tylko pomóc. Jesteś dobrym człowiekiem, a ja nie jestem Twoim wrogiem i nigdy nim nie byłem. Po prostu nasze ścieżki się skrzyżowały. Teraz prowadzą w różnych kierunkach.

Odchodzę od komputera.

Zamykam okno poczty i otwieram drugą skrzynkę, żeby się przekonać, czy Rhiannon do mnie pisała. Nie sprawdziłem jeszcze, jak daleko od niej się znajduję i teraz z rozpaczą stwierdzam, że dzielą nas prawie cztery godziny drogi. Informuję ją o tym, godzinę później ona odpisuje, że i tak dzisiaj nie dałaby rady. Umawiamy się wstępnie na jutro.

Tymczasem muszę zająć się życiem Vanessy Martinez. Codziennie rano biega co najmniej trzy kilometry, jestem już więc spóźniony. Będzie musiało jej wystarczyć półtora kilometra, niemal słyszę, jak mnie za to krytykuje. Przy śniadaniu nikt nic nie mówi, rodzice i siostra Vanessy autentycznie się jej boją.

To pierwszy znak tego, o czym niejednokrotnie przekonam się w ciągu dnia: że Vanessa Martinez to niezbyt miła osoba.

Kolejny znak pojawia się przed szkołą, gdy spotyka się z przyjaciółkami. One też się jej boją. Nie ubrały się identycznie, ale po doborze stroju widać, kto tu wytycza zasady.

Vanessa ma toksyczną osobowość, czuję, że nawet ja jej ulegam. Za każdym razem, kiedy aż prosi się o nieprzyjemną uwagę, wszyscy patrzą na nią – łącznie z nauczycielami. Utykam w tych chwilach ciszy, a zjadliwe słowa aż cisną mi się na usta. Zauważam wszystkie dziewczyny, które nie ubrały się zgodnie z wytycznymi, wiem, jak łatwo byłoby roznieść je na strzępy.

Przeplływają przeze mnie myśli: Czyżby Lauren miała plecak? Zapewne postanowiła zachowywać się jak trzecioklasistka, dopóki jej piersi nie urosną. O matko święta! Dlaczego Felicity założyła takie skarpetki? Z kociakami? Myślałam, że tylko pedofile noszą coś takiego. A koszulka Kendall? Chyba nie ma nic bardziej żalostnego niż pozbawiona seksapilu dziewczyna, która próbuje się seksownie ubrać. To takie smutne, powinniśmy zorganizować dla niej zbiórkę pieniędzy. Jestem prawie pewna, że ofiary tornada na jej widok powiedziałyby: „Nie, nie. Nam te pieniądze są niepotrzebnie.

Przekażcie je tej nieszczęsnej dziewczynie”.

Nie chcę takich myśli. Co dziwne, kiedy je wstrzymuję, nie pozwalam Vanessie wypowiedzieć ich na głos, nie wyczuwam ulgi wśród zebranych, czuję raczej rozczarowanie. Są znudzeni. A ich znudzeniem karmi się podłość.

Chłopak Vanessy, koleś o imieniu Jeff, sądzi, że to napięcie przedmiesiączkowe. Jej przyjaciółka i największa naśladowniczka, Cynthia, pyta, czy ktoś jej umarł. Widzą, że coś jest nie tak, ale w życiu nie odgadliby, o co chodzi. Na pewno żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, że Vanessę opętał szatan. Raczej mogliby podejrzewać, że diabeł wziął sobie dzień wolnego.

Głupotą z mojej strony byłoby próbować ją zmienić. Mógłbym po południu zapisać ją jako wolontariuszkę w kuchni polowej, ale jestem pewien, że następnego dnia tylko naśmiewałaby się z ubrań bezdomnych ludzi i jakości serwowanej zupy. Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby wpakowanie ją w jakąś kompromitującą sytuację, którą inni mogliby ją później szantażować. (Widzieliście nagranie, na którym Vanessa Martinez idzie przez szkołę w stringach i śpiewa piosenki z *Ulicy Sezamkowej*? A wiecie, co zrobiła później? Pobieгла do damskiej toalety i splukała głowę w muszli klozetowej!) Tylko że to oznaczałoby znizenie się do jej poziomu, a jestem pewien, że gdybym potraktował ją mieczem, którym zwykle wojuje, sam był oberwał.

Tak więc nie próbuję jej zmieniać. Po prostu staram się przez jeden dzień poskramiać jej furie.

Zmuszanie złej osoby, by zachowywała się dobrze, to wyczerpujące zadanie. Nietrudno zrozumieć, dlaczego o wiele łatwiej jej zachowywać się źle.



Chciałbym opowiedzieć o tym Rhiannon. Kiedy coś się zdarzy, to właśnie do niej mam ochotę z tym popędzić. Ot, podstawowy wskaźnik miłości.

Jestem zmuszony ograniczyć się do korespondencji mailowej, a to za mało. Męczy mnie powoli opieranie się wyłącznie na słowach. Owszem, niosą w sobie mnóstwo znaczenia, ale pozbawione są uczuć. Pisanie do niej to nie to samo co mówienie i patrzanie na jej reakcję. Zawsze byłem wdzięczny rozwiniętej technologii, jednak teraz mam wrażenie, że wszystkie kontakty wirtualne mają w sobie cień odosobnienia. Teraz, kiedy zacząłem dostrzegać radość płynącą z czyjejś obecności, rozwiało się moje poczucie bezpieczeństwa związane z wyobcowaniem.



Nathan znów do mnie pisze. Spodziewałem się tego.

Nie możesz mnie teraz zostawić. Mam pytania.

Powinienem mu uświadomić, iż to niewłaściwe podejście do życia. Zawsze będą kolejne pytania, bo każda odpowiedź rodzi następne.

Jedyny sposób, by przeżyć na tym świecie, to niektóre z nich zignorować.

DZIEŃ 6018

Następnego dnia jestem chłopakiem, mam na imię George i znajduję się zaledwie czterdzieści pięć minut drogi od Rhiannon. Píše do mnie maila, w którym oznajmia, że w przerwie obiadowej wyjdzie ze szkoły.

Mnie będzie zdecydowanie trudniej, ponieważ dzisiaj czeka mnie edukacja domowa.

Rodzice George'a spędzają cały dzień w domu, a chłopak i jego dwaj bracia siedzą wraz z nimi w domu – i tak codziennie. Pokój, który w większości domów zwie się salonem, tutaj nazywany jest „szkołą”. Rodzice ustawili nawet trzy biurka rodem z jakiejś starej, małej szkółki z początku ubiegłego wieku.

Nie ma mowy o późnym wstawaniu. Zostajemy obudzeni o siódmej, obowiązuje sztywna kolejność korzystania z prysznicy. Udaje mi się wykraść kilka minut przy komputerze, żeby przeczytać wiadomość od Rhiannon i jej odpowiedzieć. Pišem, że zobaczymy, jak się rozwinie dzień. O ósmej siedzimy przy biurkach. Ojciec pracuje w odległej części domu, a mama nas uczy.

Wnikam do umysłu George'a i przekonuję się, że nigdy nie chodził do prawdziwej szkoły z powodu awantury, jaką jego rodzice wszczęli z przedszkolanką jego starszego brata na temat jej metod pedagogicznych. Nie wyobrażam sobie, jak metody nauki w przedszkolu mogły być na tyle szokujące, żeby cała rodzina wycofała się z państwowego systemu edukacji. Nie jestem w stanie się tego dowiedzieć, ponieważ George nie ma o tym pojęcia. Zmagają się jedynie z konsekwencjami tamtej decyzji.

Już wcześniej byłem uczony w domu przez rodziców zaangażowanych w proces edukacji swoich dzieci, zapewniających im przestrzeń do rozwoju i eksploracji. To nie wchodzi w grę w przypadku George'a. Jego matka jest surowa i nieugięta, a do tego wydaje się mówić najwolniej jak tylko można.

– Chłopcy... dzisiaj porozmawiamy... o wydarzeniach... prowadzących do... wojny secesyjnej.

Jej synowie, wyraźnie zrezygnowani, patrzą przed siebie, udając, że uważnie słuchają.

– Prezydentem... Południa... był... Jefferson... Davis.

Nie zamierzam być zakładnikiem tej rodziny – nie, kiedy za chwilę Rhiannon będzie na mnie czekała. Po godzinie postanawiam iść w ślady Nathana.

Zaczynam zadawać pytania.

Jak miała na imię żona Jeffersona Davisa?

Które stany należały do Unii?

Ile osób tak naprawdę zginęło pod Gettysburgiem?

Czy Lincoln sam sobie napisał przemowę gettysburską?

Oraz ze trzydzieści innych.

Bracia patrzą na mnie podejrzliwie, a moja matka z każdym kolejnym pytaniem wpada w coraz większy popłoch, bo każdą odpowiedź musi sprawdzać.

– Jefferson Davis... był żonaty... dwukrotnie... Jego pierwsza żona... Sarah... była córką... prezydenta... Zachary'ego Taylora. Sarah... umarła... na malarię... trzy miesiące... po... ślubie... Davis... ożenił się... ponownie...

To się ciągnie przez godzinę. W końcu pytam, czy mogę iść do biblioteki, żeby wypożyczyć sobie jakieś książki na ten temat.

Zgadza się i nawet mnie osobiście zawozi.



Jest środek tygodnia, połowa dnia, więc oprócz mnie w bibliotece nie ma żadnych uczniów. Bibliotekarka zna mnie i wie, skąd jestem. Jest dla mnie miła, ale dość obcesowa wobec mojej matki – zaczynam sądzić, że przedszkolanka nie jest jedyną osobą w mieście, która zdaniem mojej mamy nie potrafi właściwie wykonywać swojego zawodu.

Znajduję komputer i podaję Rhiannon namiary, po czym sięgam po *Feed* i staram się przypomnieć sobie, na której stronie skończyłem czytać wiele ciał temu. Siadam w kąciku czytelnicy pod oknem i ciągle zerkam na zewnątrz, chociaż wiem, że Rhiannon zjawi się nie wcześniej niż za jakieś dwie godziny.

Na godzinę zrzucam z siebie pożyczone życie i zakładam pożyczone życie z książki, którą czytam. W takim stanie znajduje mnie Rhiannon – w pozbawionej osobowości przestrzeni, wypełnionej fabułą książki. Nawet nie zauważam, gdy staje obok.

– Ekhm – chrząka znacząco. – Uznałam, że to musisz być ty, bo w całym budynku nie ma nikogo innego w naszym wieku.

To takie łatwe, że nie mogę się powstrzymać.

– Przepraszam? – odpowiadam dość szorstko.

– To ty, prawda?

Staram się nadać George'owi zdezorientowany wygląd.

– Czy my się znamy?

Ogarnia ją zwątpienie.

– Och, przepraszam. Ja tylko... miałam się tu z kimś spotkać.

– Jak on wygląda?

– Eee, nie wiem. To znajomość internetowa.

– Nie powinnaś siedzieć teraz w szkole?

– A ty, nie powinieneś siedzieć teraz w szkole?

– Nie mogę. Mam się tu spotkać z fantastyczną dziewczyną.

Rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– Ty kretynie.

– Przepraszam, ja...

– Ty zidiociały kretynie!

Jest naprawdę wkurzona. Nie ma co, dałem plamę.

Podnoszę się z miejsca.

– Rhiannon – przepraszam.

– Nie możesz tak robić. To nie fair. – Zaczyna się ode mnie odsuwać.

– Nigdy już tak nie zrobię. Przysięgam.

– Nie mogę uwierzyć, że mogłeś wpaść na taki pomysł. Popatrz mi w oczy i obiecaj, że to się nie powtórzy.

Patrzę jej prosto w oczy.

– Obiecuję – mówię.

Wystarczy, chociaż to za mało.

– Wierzę ci. Ale nadal uważam cię za kretyna – do odwołania.



Odczekujemy, aż bibliotekarka się czymś zajmie, i wtedy wykradamy się do drzwi. Martwię się, że istnieje prawo, zgodnie z którym należy zgłosić policji każdy przypadek wagarów osoby pobierającej edukację domową. Wiem, że mama George'a będzie tu za dwie godziny, nie mamy więc zbyt wiele czasu.

Udajemy się do chińskiej restauracji. Jeśli właściciele uważają, że powinniśmy być teraz w szkole, uwagi zatrzymują dla siebie. Rhiannon opowiada mi o swoim zwyczajnym poranku – o tym, jak Stevie i Stephanie znów się pokłócili, ale przed drugą lekcją zdołali się pogodzić – a ja mówię jej o Vanessie.

– Znam niejedną taką dziewczynę – mówi, gdy skończę. – Najniebezpieczniejsze są te, które są dobre w tym, co robią.

– Podejrzewam, że ona jest bardzo dobra.

– W takim razie cieszę się, że jej nie spotkałam.

Ale przez to nie zobaczyłaś się ze mną, mówię sobie w myślach.

Przyciskamy do siebie nasze kolana pod stołem. Przysuwam palce do jej dłoni i chwytam ją. Przez cały czas rozmawiamy, jak gdyby nigdy nic, jak gdybyśmy wcale nie wyczuwali naszych pulsów przenikających przez stykającą się skórę.

– Przepraszam, że nazwałam cię kretynem – mówi Rhiannon. – Po prostu – już i tak jest mi trudno. A byłam taka pewna, że się nie mylę.

– Zachowałem się jak kretyn – przytakuje. – Po prostu zapominam, że to normalne tylko dla mnie.

– Justin czasami robi coś takiego. Udaje, że nie mówiłam czegoś, co właśnie mu powiedziałam. Albo wymyśla jakąś historię i śmieje się, gdy się nabieram. Nienawidzę

tego.

– Przepraszam...

– W porządku. On też nie był pierwszy. Widocznie jest we mnie coś takiego, że ludzie uwielbiają mnie oszukiwać. Ja też pewnie bym to robiła – znaczy oszukiwała innych – tylko nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Wyjmuję wszystkie pałeczki z pojemnika i kładę je na stole.

– Co robisz? – pyta Rhiannon.

Układam z pałeczek ogromne serce i wypełniam je paczuszkami Sweet’N Low. Muszę pożyczyć z sąsiednich stołów, bo mi zabrakło. Kończę moje dzieło i pokazuję jej.

– To – mówię – mniej więcej jedna dziewięćdziesięciomilionowa tego, co do ciebie czuję.

Wybucha śmiechem.

– Postaram się nie brać sobie tego do serca – mówi.

– Jak to nie brać? Właśnie powinnaś to wziąć sobie do serca!

– To, że użyłaś sztucznego słodzika?

Wyjmuję paczuszkę i rzucam w nią.

– Nie wszystko jest tu symbolem! – wołam.

Podnosi pałeczkę i ujmuje ją niczym miecz. Biorę drugą i zaczynamy pojedynek.

Walczymy ze sobą, kiedy kelner przynosi jedzenie. Odwraca to moją uwagę, a wtedy ona trafia prosto w moje serce.

– Umieram! – oświadczam.

– Dla kogo kurczak *mu shu*? – pyta kelner.



Kelner podaje nam jedzenie, a my śmiejemy się i rozmawiamy. To prawdziwy zawodowiec, jeden z tych, którzy dolewają ci wody, kiedy szklanka jest w połowie pusta i robią to w taki sposób, że nawet tego nie zauważasz.

Pod koniec posiłku przynosi nam ciasteczka z wróżbą. Rhiannon zgrabnie przełamuje swoje na pół, zerka na karteczkę i marszczy czoło.

– To nie jest wróżba – mówi, pokazując mi.

MASZ ŁADNY UŚMIECH

– Nie jest – zgadzam się. Gdyby napisali: „Będziesz mieć ładny uśmiech” – to byłaby wróżba.

– Odeślę ją z powrotem.

Unoszę brew... a przynajmniej próbuję. Jestem pewien, że wygląda to, jakbym miał jakiś atak.

– Często odsyłasz wróżby?

– Nie. To będzie pierwszy raz. W końcu to chińska restauracja i...

– Poważne wykroczenie – stwierdzam.

– No właśnie.

Przywołuje kelnera, wyjaśnia mu sytuację. Ten kiwa głową i odchodzi. Chwilę później wraca do naszego stolika i ma dla niej garść ciasteczek.

– Wystarczy jedno – oznajmia Rhiannon. – Momencik.

Oboje z kelnerem patrzymy w napięciu, kiedy otwiera drugie ciastko. Tym razem uśmiecha się na widok wróżby.

PRZYGODA CZEKA ZA ROGIEM

– Doskonale – mówię do kelnera.

Rhiannon trąca mnie, żebym otworzył moje ciastko. Robię to i znajduję identyczną przepowiednię.

Nie odsyłam jej.



Gdy wracamy do biblioteki, mamy jeszcze około pół godziny dla siebie. Bibliotekarka przyłapuje nas, jak wchodzimy, ale nie mówi ani słowa.

– To co? – pyta Rhiannon. – Co powinnam teraz przeczytać?

Pokazuję jej *Feed*. Opowiadam o *Złodziejce książek*. Ciągnę ją wzdłuż regałów, żeby znaleźć *Destroy All Cars* oraz *First Day on Earth*. Wyjaśniam, że to są moje towarzyszkii ostatnich lat, stałe elementy każdego dnia, historie, do których mogę zawsze wrócić, nawet jeśli moja własna co chwilę się zmienia.

– A ty, co sądzisz? – pytam. – Co twoim zdaniem powinienem teraz przeczytać?

Chwyta mnie za rękę i prowadzi do działu literatury dziecięcej. Rozgląda się przez chwilę, a potem rusza w stronę wystawy. Zauważam pewną zieloną książkę, która tam leży. Wpadam w panikę.

– Nie! Tylko nie ta!

Na szczęście nie sięga po zielony tom. Podnosi *Harolda i fioletową kredkę*.

– Co masz przeciwko *Haroldowi i fioletowej kredce*? – pyta.

– Nic, przepraszam. Myślałem, że chcesz wziąć *Drzewo, które umiało dawać* – wyjaśniam.

Patrzy na mnie, jakbym postradał zmysły.

– Przecież ja po prostu NIE CIEPRIĘ *Drzewa, które umiało dawać* – oświadczam dobitnie.

Czuję wielką ulgę.

– Całe szczęście. Gdyby się okazało, że to twoja ulubiona książka, to byłby koniec.

– Weź sobie moje ręce! Weź sobie moje nogi!

– Weź sobie moją głowę! Weź sobie moje ramiona!
– Na tym właśnie polega miłość!
– Ten dzieciak to największy kretyn stulecia – mówię i wiem, że Rhiannon zrozumie, co mam na myśli.
– To największy kretyn w całej literaturze – dodaje, a potem odkłada *Harolda*... i podchodzi bliżej.
– Miłość nigdy nie oznacza konieczności utraty kończyn – mówię, przysuwając się do pocałunku.
– No właśnie – szepcze, a jej usta szybko odnajdują moje.
To niewinny pocałunek, przecież nie zaczniemy się pieścić na siedzisku w sekcji dziecięcej biblioteki. Ale i tak czuję lodowaty prysznic na plecach, kiedy rozlega się głos matki George’a – zszokowanej i wściekłej.
– Co ty sobie myślisz? – woła. Zakładam, że mówi do mnie, jednak kiedy się zbliża, przystępuje do ataku na Rhiannon. – Nie wiem, kim są twoi rodzice, ale nie po to wychowywałam mojego syna, żeby się teraz zadawał z dziwkami!
– Mamo! – krzyczę. – Zostaw ją w spokoju!
– Do samochodu, George. Natychmiast.
Wiem, że tylko komplikuję jego sytuację, lecz mam to gdzieś. Nie zostawię Rhiannon na pastwę tej kobiety.
– Uspokój się, proszę – zwracam się do matki George’a, aż głos mi się robi piskliwy. A potem szybko obiecuję Rhiannon, że pogadamy później.
– To absolutnie wykluczone! – protestuje kobieta.
Jak dobrze, że zostało mi jeszcze tylko około ośmiu godzin pod jej nadzorem.
Rhiannon całuje mnie na pożegnanie i szepcze, że znajdzie sposób, żebyśmy mogli się wymknąć gdzieś na weekend. Matka George’a chwytą syna za ucho i ciągnie na zewnątrz.
Śmieję się, a to tylko pogarsza sytuację.



Jestem jak Kopciuszek, tyle że odwrotnie. Zatańczyłem z księciem, a teraz wróciłem do domu i czyszczę toalety. Na tym polega moja kara – muszę wyszorować każdą muszlę klozetową, wanny, wszystkie kosze na śmieci. Już sama kara jest wystarczająco paskudna, a na dodatek matka George’a co kilka minut przychodzi, żeby wygłosić wykład o „grzesznych uciechach ciała”. Mam nadzieję, że George nie przejmie po niej tego przerażającego zachowania. Miałbym ochotę wszcząć z nią dyskusję, powiedzieć, że te jej „grzeszne uciechy ciała” to mechanizm kontrolny – jeśli zacznie się demonizować przyjemności drugiego człowieka, można w ten sposób przejąć kontrolę nad jego życiem. Nie zliczę, ile razy taka taktyka była stosowana wobec mnie – w rozmaitej formie. Nie widzę jednak grzechu w pocałunku. Widzę za to grzech w potępieniu.

Nie odzywam się jednak. Powiedziałbym coś, gdyby była moją prawdziwą matką.

Gdybym to ja miał ponosić konsekwencje tej dyskusji. Ale nie mogę zrobić czegoś takiego George'owi, już i tak wystarczająco namieszałem mu w życiu. Mam nadzieję, że na lepsze, lecz być może na gorsze.

Pisanie maili do Rhiannon nie wchodzi w grę. Nasza rozmowa będzie musiała poczekać do jutra.

Po skończeniu karnych prac, po tym, jak ojciec George'a wystosował własną przemowę, ewidentnie pod dyktando żony, idę wcześniej spać, zadowolony, że będę miał ciszę i spokój. Jeśli czas spędzony w ciele Rhiannon może posłużyć za dowód, powinienem dać sobie radę ze stworzeniem wspomnień dla George'a. Leżę więc w jego łóżku i wymyślam alternatywną wersję prawdy. Będzie pamiętał, że poszedł do biblioteki i spotkał tam dziewczynę. To przyjezdna nieznajoma, którą mama zostawiła w bibliotece, a sama pojechała odwiedzić dawno niewidzianą koleżankę. Dziewczyna zapytała go, co czyta, i tak wywiązała się rozmowa. Poszli razem do restauracji chińskiej i naprawdę miło spędzili czas. Spodobała mu się. A on jej. Wrócili do biblioteki, rozmawiali na temat *Drzewa, które umiało dawać* i zaczęli się całować. Było to coś niespodziewanego, ale cudownego. Wtedy właśnie wparowała jego matka i im przerwała.

Dziewczyna zniknęła. Nawet się sobie nie przedstawili. Nie ma pojęcia, gdzie ona mieszka. To była tylko chwila, jednak jakże istotna.

Zostawiam go z tęsknotą. Może to okrucieństwo z mojej strony, ale mam nadzieję, że wykorzysta ją, by wyrwać się z tego swojego małego więzienia.

DZIEŃ 6019

Następnego dnia mam więcej szczęścia, ponieważ budzę się w ciele Surity, której rodzice wyjechali, i dlatego zajmuje się nią dziewięćdziesięcioletnia babcia. Staruszka nie interesuje się tym, co robi jej wnuczka, pod warunkiem, że nie przeszkadza jej w oglądaniu programów na Game Show Network. Znajduję się zaledwie godzinę drogi od Rhiannon, ale żeby nie została wezwana na dywanik do dyrektora w związku z licznymi nieobecnościami, spotykam się z nią w Clover Bookstore już po lekcjach.

Jest pełna planów.

– Powiedziałam wszystkim, że podczas weekendu wyjeżdżam do babci, a rodzicom oznajmiłam, że spędzę ten czas u Rebekki, więc jestem wolna. Dzisiaj rzeczywiście będę u niej spała, ale jutro wieczorem moglibyśmy... gdzieś pojechać.

Mówię jej, że jestem za.

Idziemy do parku, spacerujemy, wchodzimy na drabinki, rozmawiamy. Zauważam, że kiedy jestem w ciele dziewczyny, nie jest aż tak wylewna, jednak nic nie mówię. Nadal jest ze mną, czuje się szczęśliwa, a to się liczy.

Nie rozmawiamy o Justinie ani o tym, że nie mamy pojęcia, gdzie będę jutro. Nie

rozmawiamy o tym, co zrobić, żeby to wszystko się kręciło.
Ignorujemy takie myśli, po prostu dobrze się bawimy.

DZIEŃ 6020

Xavier Adams na pewno nie przypuszczał, że w sobotę sprawy przyjmą taki obrót. Miał iść na próbę przedstawienia na dwunastą, ale ledwo wyszedłem z domu, od razu zadzwoniłem do reżysera, informując go, że jestem chory – jakiś wirus, miejmy nadzieję, że jutro będzie lepiej. Reżyser wykazuje zrozumienie – przygotowują *Hamleta*, Xavier gra rolę Laertes, więc mogą przećwiczyć mnóstwo scen bez jego udziału. Xavier jest wolny... w związku z czym od razu pędzi do Rhiannon.

Podaje mi kierunek, ale nie sprecyzowała szczegółów docelowego miejsca. Jadę przez prawie dwie godziny na zachód. Wskazówki prowadzą mnie do niewielkiej chaty ukrytej wśród drzew. Gdyby przed budynkiem nie stał samochód Rhiannon, pomyślałbym, że się zgubiłem.

Kiedy wysiadam, ona już na mnie czeka na progu. Wydaje się szczęśliwa, a zarazem zdenerwowana, gdyż nadal nie ma pojęcia, kim dzisiaj będę.

– Niezłe z ciebie ciacho – zauważa, gdy podchodzę bliżej.

– Ojciec to Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia, a matka jest Kreolką – wyjaśniam. – Ale nie mówię ani słowa po francusku.

– Mam nadzieję, że tym razem twoja mama się nie pojawi.

– Nieee.

– To dobrze, wolałabym przeżyć.

Całuje mnie mocno, a ja odpowiadam tym samym. Nagle pozwalamy naszym ciałom przejąć całą rozmowę. Przesuwamy się ku drzwiom, do środka. Nie rozglądam się wcale po pomieszczeniu. Napawam się jej dotykiem, smakuję ją, przywieram do niej, a ona przywiera do mnie. Ściąga ze mnie kurtkę, skopujemy buty, popycha mnie do tyłu. Uderzam o łóżko, przewracamy się niezręcznie, ale radośnie, ja pod spodem, ona na mnie. Całujemy się, całujemy i całujemy. Oddechy, fale gorąca, ściągnięte koszule, skóra na skórze, uśmiechy, szepty i to coś potężnego, co ujawnia się w najdrobniejszych nawet gestach, w najdelikatniejszych doznaniach.

Odsuwam się i patrzę na nią. Przerywa pocałunek i odwzajemnia spojrzenie.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada.

Przesuwam palcem po jej twarzy, obojczyku. Ona muska moje ramiona i plecy, całuje mnie w szyję, w ucho.

Po raz pierwszy się rozglądam. To mała chatka, zaledwie jedno pomieszczenie – łazienka z pewnością znajduje się na tyłach. Na ścianach wiszą głowy jeleni, wbijają w nas spojrzenie swoich szklanych oczu.

– Gdzie jesteśmy? – pytam.

– To domek myśliwski mojego wuja. Wyjechał do Kalifornii, uznałam, że możemy się tu

bezpiecznie włamać.

Szukam wybitej szyby, innych śladów sforsowanego wejścia.

– Włamałaś się?

– No, za pomocą zapasowego klucza.

Dotyka kępy włosów rosnących na środku mojej klatki piersiowej, a potem przykłada rękę do mojego serca. Ja opieram dłoń na jej biodrze, przesuwam ją po gładkiej skórze.

– Piękne powitanie – mówię.

– Jeszcze się nie skończyło – odpowiada. I znów do siebie przywieramy.

Pozwalam jej dominować. Pozwalam jej odpiąć guzik moich dżinsów i zamek. Patrzę, jak zdejmuje stanik. Podążam za nią, jednak z każdym krokiem rośnie mój niepokój. Jak daleko się posuniemy? Jak daleko powinniśmy się posunąć?

Wiem, że nasza nagość coś oznacza. Wiem, że nasza nagość to nie tylko efekt pożądania, lecz także wyraz zaufania. Tak właśnie wyglądamy, kiedy jesteśmy wobec siebie absolutnie szczerzy, kiedy nie chcemy się już ukrywać. Pragnę jej. Pragnę tego. Ale się boję.

Nasze ciała ogarnia miłosna gorączka, a potem zwalniamy i nasze ruchy wydają się niczym ze snu. Nie ma między nami żadnych ubrań, tylko pościel. To ciało nie należy do mnie, ale to właśnie tego ciała ona pragnie. Czuję się jak oszust.

To właśnie stanowi źródło mojego niepokoju. To powód mojego wahania. W tej chwili jestem z nią całkowicie, lecz jutro może mnie tu nie być. Mogę cieszyć się tym, co jest dzisiaj, mogę uważać, że to właściwe, jednak co będzie jutro – to pozostaje zagadką. Jutro mogę być daleko.

Pragnę się z nią kochać. Tak bardzo tego pragnę.

A jednocześnie chciałbym obudzić się rano u jej boku.

Moje ciało jest gotowe, aż kipi od doznań i pożądania.

Kiedy Rhiannon pyta, czy tego chcę, wiem, jaka byłaby odpowiedź ciała.

A jednak odmawiam. Mówię, że nie powinniśmy. Jeszcze nie. Nie teraz.

I chociaż to było autentyczne pytanie, Rhiannon wydaje się zaskoczona moją odpowiedzią. Odsuwa się nawet, by na mnie spojrzeć.

– Jesteś pewien? Bo ja chcę. Jeżeli martwisz się o mnie, nie musisz. Naprawdę chcę. I jestem... przygotowana.

– Uważam, że nie powinniśmy.

– Okej. – Odsuwa się jeszcze bardziej.

– Nie chodzi o ciebie. I nie to, że nie chcę.

– Więc o co chodzi?

– To trochę nie fair.

Chyba ją uraziłem odpowiedzią.

– Pozwól, że ja się będę martwić o Justina – mówi. – Tu chodzi o nas, to coś innego.

– Nie tylko o nas. Także o Xaviera.

– Xaviera?

Pokazuję na moje ciało.

– Ach.

– On tego nigdy jeszcze nie robił. Więc wydaje mi się nie w porządku... żeby miał to przeżyć i nic o tym nie wiedzieć. Czuję się tak, jakbym mu coś zabierał. Nie mogę.

Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale nie zamierzam wnikać w jego umysł. To wystarczający powód, żeby przerwać nasze zbliżenie i nie zranić przy tym jej dumy.

– Och – mówi. A potem przysuwa się bliżej i wtula we mnie. – Myślisz, że miałby coś przeciwko temu? – pyta.

Ciało rozluźnia się. Jest przyjemnie w inny sposób.

– Nastawiłam budzik – mówi. – Możemy się przespać.

Odpływamy razem w sen, nadzy w jednym łóżku. Serce mi nadal wali jak oszalałe, a gdy w końcu zacznie zwalniać, bije w rytm jej serca. Wsunęliśmy się w najbezpieczniejszy kokon, jaki może stworzyć nasze uczucie, leżymy w nim, napawamy się cudowną chwilą i łagodnie zapadamy się w siebie nawzajem oraz w sen.



Jednak to nie budzik nas podrywa, lecz dźwięk ptaków za oknem, wiatru uderzającego w dach.



Muszę napomnieć sobie, że zwykli ludzie też to czują: pragnienie, by chwila trwała i trwała w nieskończoność. Pragnienie, żeby to wszystko zatrzymać na zawsze.



– Wiem, że o tym nie rozmawiamy – odzywam się. – Dlaczego właściwie z nim jesteś?

– Nie wiem – odpowiada. – Kiedyś wydawało mi się, że wiem, ale teraz już nie.



– Kto był twoim ulubionym? – pyta.

– Moim ulubionym?

– Ciałem. Życiem.

– Kiedyś znalazłem się w ciele niewidomej dziewczyny – zaczynam opowieść. – Miałem wtedy jedenaście lat, może dwanaście. Nie wiem, czy to było moje ulubione wcielenie, ale w ciągu jednego dnia nauczyłem się od niej więcej niż od większości innych osób przez rok. Pokazało mi to, jak umowny i subiektywny jest sposób postrzegania i doświadczania świata. I nie chodzi jedynie o to, że miałem wyostrzone wszystkie

pozostałe zmysły, ale także o to, że zwykle meandrujemy przez życie ścieżkami, jakie nam wyznaczono. Dla mnie to było ogromne wyzwanie. Dla niej – codzienność.

– Zamknij oczy – szepcze Rhiannon.

Przymykam powieki, ona robi to samo.

Poznajemy nasze wzajemne ciała w zupełnie inny sposób.



Dzwoni budzik. Nie chcę, żeby cokolwiek przypominało mi o mijającym czasie.



Nie zapaliliśmy światła, więc kiedy na dworze zapada zmierzch, w domku także robi się ciemnawo. To zapowiedź ciemności, a jednocześnie cień jasności.

– Zostanę tu – mówi Rhiannon.

– Wrócę tu jutro – obiecuję.



– Skończyłbym z tymi wszystkimi zmianami, gdybym tylko mógł. Żeby z tobą zostać.

– Nie możesz tego zrobić – odpowiada. – To oczywiste.



Czas sam w sobie staje się naszym budzikiem. Nie jestem w stanie spojrzeć na zegar, nie uświadamiając sobie jednocześnie, że już dawno powinienem wyjechać. Próba się skończyła. Nawet jeśli po występie Xavier spotyka się z przyjaciółmi, niebawem powinien wracać do domu. Zdecydowanie powinien to zrobić przed północą.



– Będę na ciebie czekać – obiecuje Rhiannon.

Zostawiam ją w łóżku. Ubieram się, biorę kluczyki i zamykam za sobą drzwi. Odwracam się. Co chwilę się odwracam, żeby ją zobaczyć – nawet kiedy dzielą nas mury domu. Nawet kiedy rozdzielają nas kilometry. Ciągle się odwracam w jej stronę.

Budzę się i przez dobrą minutę nie mam pojęcia, kim jestem. Wiem tylko, że znajduję się w ciele, które aż pulsuje od bólu. Moje myśli zasnuwa mgła, a mózg ścisną imadło. Otwieram oczy i mam wrażenie, że światło śmiertelnie mnie razi.

– Dana! – rozlega się czyjś głos. – Już południe.

Mam w nosie, która jest godzina. Mam wszystko w nosie. Chcę tylko, żeby minął ten ból. Albo nie. Bo kiedy ból na moment cichnie, mój organizm reaguje mdłościami.

– Dana, nie będziesz spała przez cały dzień. To, że masz szlaban, nie oznacza, że możesz leżeć w łóżku do wieczora.

Dopiero przy trzecim podejściu udaje mi się podnieść powieki i ich ponownie nie zamykać. Światło w pokoju bije po oczach jak słońce.

Matka Dany wpatruje się we mnie ze smutkiem i złością.

– Za pół godziny będzie tu doktor P – oznajmia. – Wydaje mi się, że powinnaś się z nią zobaczyć.

Wnikam gorączkowo do umysłu Dany, ale mam wrażenie, że moje synapsy zostały zanurzone w smole.

– Po tym wszystkim, co przeszliśmy, wywinęłaś taki numer... nie mam słów. Przez cały czas otaczaliśmy cię opieką, a ty odpłacasz się nam w taki sposób? Mamy z ojcem dosyć. Dosyć.

Co ja robiłem poprzedniego wieczoru? Pamiętam, że byłem z Rhiannon. Wróciłem do domu jako Xavier. Rozmawiałem przez telefon z jego przyjaciółmi, dowiadywałem się o próbę. Nie mam jednak dostępu do wspomnień Dany. Ma zbyt wielkiego kaca, żeby cokolwiek pamiętać.

Czy to samo czuje dzisiaj Xavier? Zupełną pustkę w głowie?

Mam nadzieję, że nie, bo to okropne uczucie.

– Masz pół godziny na to, żeby się ubrać i wziąć prysznic. I nie oczekuj, że ci w tym pomogę.

Matka Dany zatrzaskuje za sobą drzwi, a echo tego dźwięku przeszywa mnie na wylot. Gdy się poruszam, mam wrażenie, że zostałem uwięziony dziesięć kilometrów pod powierzchnią wody, a kiedy próbuję wstać, odczuwam skutki dekompresji. Muszę się przytrzymać łóżka, co wcale nie jest takie proste, bo ledwo trafiam na nie ręką.

Nie obchodzi mnie ani doktor P, ani rodzice Dany. Jak się domyślam, Dana sama to sobie zrobiła, więc należy jej się awantura. Żeby doprowadzić się do takiego stanu, musiała naprawdę ostro pić. To nie z jej powodu wstaję. Wstaję, ponieważ gdzieś tam, w wielkim świecie Rhiannon czeka na mnie samotnie w myśliwskiej chatce. Nie mam pojęcia, jak się stąd wydostanę, ale muszę to zrobić.

Ledwo zdołałem dojść do łazienki. Uruchamiam prysznic i stoję przed nim ponad minutę, zapominając kompletnie, po co tu przyszedłem. Szum wody to jedynie muzyczny akompaniament dla cierpień, jakie przeżywa moje ciało. Przypominam sobie, że miałem się wykapać, więc wchodzę do brodzika. Woda mnie nieco orzeźwia, ale proces budzenia nie jest łatwy. Bez trudu mógłbym przewrócić się i zasnąć pod strumieniem prysznica, ze stopą

w odplywie.

Wracam do pokoju Dany, zrzucam z siebie ręcznik na podłogę po czym zakładam pierwsze lepsze ubranie, które znajduje się najbliżej. Nie ma tu ani komputera, ani telefonu. Nie mam jak skontaktować się z Rhiannon. Wiem, że powinienem przeszukać dom, jednak już sama myśl o czymś takim kosztuje mnie zbyt wiele energii. Muszę usiąść. Położyć się. Zamknąć oczy.



– Wstawaj!

Polecenie jest tak samo ostre jak wcześniejsze trzaśnięcie drzwiami, ale głos dochodzi ze znacznie mniejszej odległości. Otwieram oczy i widzę przed sobą rozwścieczonego ojca Dany.

– Doktor P już jest – wtrąca jej mama zza pleców swojego męża. Jej ton jest bardziej pojednawczy. Może mi współczuje, a może po prostu nie chce, by ojciec zabił mnie przy świadkach.

Zastanawiam się, czy mój stan nie wynika wyłącznie z przepicia, skoro lekarka została wezwana do domu. Tymczasem doktor P siada obok mnie bez żadnej torby lekarskiej, za to z notesem w rękę.

– Dana – mówi łagodnie.

Spoglądam na nią i siadam, chociaż w głowie mi aż huczy.

Lekarka odwraca się do moich rodziców.

– Okej. Czy możecie nas teraz zostawić?

Nie trzeba im tego dwa razy powtarzać.



Wnikanie do umysłu Dany nadal sprawia mi trudności. Wiem, że gdzieś tam tkwią wszystkie informacje, ale oddziela je ode mnie ciemny mur.

– Opowiesz mi, co się stało? – pyta doktor P.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Aż tak źle?

– Owszem. Źle.

Pyta, czy rodzice dali mi tabletkę przeciwbólową, a kiedy mówię, że nie, wychodzi na moment i wraca z dwiema pastylkami Tylenolu i szklanką wody.

Nie udaje mi się połknąć tabletek, jestem zażenowany, gdy w przełyku cofa mi się kredowa zawartość. Wreszcie połykam, wypijam też resztę wody. Lekarka przynosi mi drugą szklankę, co daje mi czas na zastanowienie się. Jednak myśli nadal mam zamglone, przytępione.

Wraca i od razu przechodzi do rzeczy:

– Rozumiesz, dlaczego rodzice są zdenerwowani, prawda?

Czuję się jak idiota, ale przecież nie będę udawał.

– Naprawdę nie wiem, co się stało – mówię. – Nie kłamię, sama chciałabym wiedzieć.

– Byłaś na imprezie u Camerona. – Lekarka patrzy na mnie i czeka, czy coś mi zaświta. A ponieważ nie ma odzewu, kontynuuje: – Wymknęłaś się z domu, żeby na nią pójść. A kiedy dotarłaś na miejsce, od razu zaczęłaś pić. I to sporo. Twoi koledzy i koleżanki niepokoiли się – z oczywistego powodu. Ale nie powstrzymywali cię. Próbowali cię powstrzymać dopiero wtedy, kiedy postanowiłaś wracać samochodem do domu.

Nadal tkwię pod wodą, a wspomnienie chwili, o której ona mówi, znajduje się gdzieś na powierzchni. Wiem, że tam jest. Wiem, że lekarka mówi prawdę. Tylko że nie mogę do niego dotrzeć.

– Wróciłam samochodem?

– Tak. Chociaż nie powinnaś. Wykrałaś kluczyki swojemu ojcu.

– Wykrałam ojcu kluczyki – mówię na głos, z nadzieją, że dzięki temu wróci jakieś wspomnienie.

– Wsiadłaś do auta i koledzy próbowali cię powstrzymać. Uparłaś się jednak. Próbowali ponownie, a wtedy ich zaatakowałaś. Obrzuciłaś ich okropnymi wyzwiskami. A gdy Cameron chciał ci zabrać kluczyki...

– Co zrobiłam?

– Ugryzłaś go w nadgarstek. I uciekłaś.

Pewnie tak właśnie czuł się Nathan następnego dnia.

– Lisa zadzwoniła po twoich rodziców – ciągnie doktor P. – Gdy twój ojciec przyjechał, siedziałaś już w aucie. Chciał cię zatrzymać i o mały włos go nie przejechałaś.

O mały włos go nie przejechałam?

– Daleko nie zajechałaś. Byłaś zbyt pijana, żeby wycofać samochód. Wylądowałaś na posesji sąsiadów i uderzyłaś w słup telefoniczny. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

Wypuszczam powietrze z płuc. Wpycham się do umysłu Diany, szukając informacji.

– Chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego zrobiłaś coś takiego. Dlaczego wywinęłaś taki numer po tym, co stało się z Anthonym.

Anthony. To imię świeci tak jasno, że trudno je przeoczyć.

Moje ciało zwija się z bólu. Ból to jedyne, co czuję.

Anthony. Mój brat.

Mój nieżyjący brat.

Brat, który umarł obok mnie.

Na siedzeniu pasażera.

Ponieważ miałam wypadek.

Ponieważ byłam pijana.

Zginał przeze mnie.

– O mój Boże! O mój Boże!

Widzę go. Zakrwawione ciało. Krzyczę.

– Ciii – mówi lekarka. – Już dobrze.
Wcale nie jest dobrze.
Nic a nic.



Doktor P daje mi coś mocniejszego niż Tylenol. Próbuję się opierać, ale bezskutecznie.
– Muszę powiedzieć Rhiannon – wymknęło mi się, choć wcale nie chciałem tego mówić.
– Kim jest Rhiannon? – pyta lekarka.
Opadają mi powieki. Poddaję się, zanim zdoła wyciągnąć ze mnie odpowiedź.



Wspomnienia zaczynają wracać we śnie, więc kiedy się budzę, pamiętam nieco więcej. Nie samo zakończenie – naprawdę nie mogę sobie przypomnieć wsiadania do auta i prawie rozjechania ojca czy uderzenia w słup. Ale pamiętam imprezę. Picie wszystkiego, co ktokolwiek mi zaoferował. Lepsze samopoczucie po każdym drinku. Flirtowanie z Cameronem. Znowu picie. Kompletny brak myślenia. Po tylu godzinach spędzonych na rozmyślaniach Dana przestała dopuszczać do siebie jakiegokolwiek myśli.

Jestem jak rodzice Dany i lekarka – chciałbym ją zapytać, dlaczego to zrobiła. Nie rozumiem tego, chociaż przecież widzę ją od środka. Jej ciało nie potrafi udzielić mi odpowiedzi.

Mam ciężkie, drewniane kończyny, ale podpieram się i siadam. Muszę znaleźć komputer albo telefon. Docieram do drzwi i przekonuję się, że zostały zamknięte na klucz, który ktoś zabrał.

Jestem uwięziony we własnym pokoju.



Teraz, kiedy wreszcie pamiętam przynajmniej część tego, co się wydarzyło, chcę, żebym dusił się w sosie własnych wyrzutów sumienia.

Co najgorsze: to działa.



Brakuje mi wody. Wołam, że potrzebuję wody. Minutę później moja mama stoi w drzwiach ze szklanką w ręku. Wygląda, jakby płakała. Jest zdruzgotana. To ja jestem powodem jej rozpacz.

– Proszę – mówi.
– Czy mogę wyjść? – pytam. – Muszę sprawdzić parę rzeczy do szkoły.
Kręci przecząco głową.
– Może później. Może po kolacji. Teraz doktor P chciałaby, żebyś spisała na kartce wszystkie swoje emocje.
Wychodzi, zamyka za sobą drzwi. Znajduję kartkę i długopis.
„Czuję wyłącznie bezradność” – piszę.
Przerywam. To nie jest pismo Dany. Piszę jako ja.



Ból głowy i nudności powoli ustępują. Jednakże za każdym razem, gdy wyobrażam sobie Rhiannon samotną w opuszczonym domku, ogarniają mnie mdłości.
Obiecałem jej. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, a jednak jej obiecałem.
Jestem dowodem na to, że przyjmowanie moich obietnic jest zbyt ryzykowne.
Jestem dowodem na to, że nie uda mi się pokonać przeciwności.



Mama Dany przynosi mi obiad na tacy, jakbym była obłożnie chora. Dziękuję jej za to.
A potem znajduję słowa, które już dawno powinny wyjść z moich ust.
– Przepraszam – mówię. – Naprawdę bardzo przepraszam.
Kiwa głową, ale widać, że to za mało.
Pewnie wcześniej córka zbyt wiele razy ją przepraszała. W którymś momencie – być może wczoraj wieczorem – przestała wierzyć w szczerść jej słów.
Kiedy pytam, gdzie jest ojciec, odpowiada, że pojechał oddać samochód do naprawy.



Twierdzą, że jutro Dana będzie musiała iść do szkoły i przeprosić przyjaciół.
Oświadczają, że może skorzystać z komputera, by odrobić lekcje, ale siedzą obok, więc muszę szybko wymyślić coś, co niby muszę odszukać w internecie.
Mail do Rhiannon nie wchodzi w grę.
Nic nie wskazuje na to, że mieliby oddać mi komórkę.



Wspomnienia z poprzedniego wieczora nigdy do mnie nie wracają. Do końca dnia wpatruję się jedynie w próżnię mojego umysłu. Odnoszę wrażenie, że próżnia odpowiada

podobnym spojrzeniem.

DZIEŃ 6022

Mam plan, żeby obudzić się wcześniej – około szóstej – i napisać do Rhiannon ze szczegółowymi wyjaśnieniami. Pewnie w końcu zrezygnowała z czekania.

Ale mój plan zawodzi, bo przed piątą ktoś mną potrząsa.

– Michael, czas wstawać.

To moja – czy raczej Michaela – mama, ale w przeciwieństwie do matki Dany w jej głosie słyhać jedynie współczucie.

Domyślam się, że Michael ma zapewne trening pływacki przez lekcjami – czy coś w tym rodzaju. Jednak kiedy wstaję, potykam się o walizkę.

Moja mama jest teraz w sąsiednim pokoju i budzi moje siostry.

– Czas lecieć na Hawaje! – woła entuzjastycznie.

Hawaje.

Wnikam do pamięci chłopaka i rzeczywiście: dzisiaj rano lecimy na Hawaje. Starsza siostra Michaela bierze tam ślub, w związku z czym cała rodzina postanowiła zrobić sobie tygodniowe wakacje.

Tylko że dla mnie to nie będzie tydzień. Żeby tu wrócić, musiałbym znaleźć się w ciele szesnastolatka, który akurat tego dnia leci do Maryland. To może potrwać wiele tygodni. Miesiące nawet.

Może się nigdy nie zdarzyć.

– Samochód przyjeżdża za czterdzieści pięć minut! – woła tata z dołu.

Nie ma mowy, żebym z nimi leciał. To wykluczone.

Garderoba Michaela składa się głównie z koszulek z nadrukiem zespołów heavymetalowych. Wybieram jedną z nich oraz dzinsy.

– Prosisz się o to, żeby na lotnisku zrobili ci kontrolę osobistą – rzuca jedna z moich sióstr, kiedy mijam ją na korytarzu.

Nadal nie wiem, co zrobić.

Michael nie ma prawa jazdy, zresztą wykradzenie samochodu rodziców w niczym by mu nie pomogło. Wesele odbędzie się dopiero w piątek, więc przynajmniej nie opuści go przeze mnie. Tylko kogo ja próbuję oszukać? Przecież nawet gdyby wesele było dzisiaj i tak nie wsiadłbym do samolotu.

Żałuję, że narobię Michaelowi mnóstwa kłopotów. Przepraszam go z całego serca, piszę liścik do rodziców i zostawiam na stole w kuchni.

Nie mogę dzisiaj z wami lecieć. Przepraszam. Wrócę dzisiaj wieczorem, lećcie beze mnie. Dotrę do Was do czwartku.

Kiedy wszyscy są na górze, wymykam się z domu.



Mógłbym wezwać taksówkę, ale obawiam się, że rodzice obdzwonią wszystkie korporacje, żeby sprawdzić, czy któraś nie wiozła dzisiaj chłopaka w stroju heavymetalowym. Znajduję się przynajmniej dwie godziny od Rhiannon. Jadę pierwszym autobusem, jaki się trafia, i pytam kierowcę, jak najszybciej dojechać do jej miasta. „Samochodem” – odpowiada ze śmiechem. Kiedy wyjaśniam, że taka opcja nie wchodzi w grę, oznajmia, że powinienem dostać się do Baltimore i stamtąd jechać dalej.

To zajmuje mi łącznie siedem godzin.

Gdy docieram na miejsce i idę pieszo półtora kilometra z centrum miasta do jej szkoły, lekcje jeszcze się nie skończyły. Jednak nikt mnie nie zatrzymuje, chociaż jestem wielkim, owłosionym, spoconym kolesiem w koszulce Metalliki i biegnę po schodach jak szalony.

Próbuję przypomnieć sobie plan Rhiannon z czasów, kiedy zajmowałem jej ciało, i coś mi świta, że teraz powinna mieć wychowanie fizyczne. Sprawdzam na sali gimnastycznej, ale nikogo tam nie ma. Alternatywą są boiska za szkołą. Idę tam i widzę, że akurat rozgrywany jest mecz softballa. Rhiannon stoi na trzeciej bazie.

Dostrzega mnie kątem oka. Kiwam ręką. Nie wiem, czy mnie rozpoznaje, lecz czuję się zbyt odsłonięty, wystawiony na czujne spojrzenie nauczyciela. Cofam się więc do budynku szkoły i staję przy drzwiach. Ot, kolejny próżniak, który zrobił sobie przerwę od nauki.

Rhiannon podchodzi do nauczyciela i coś mówi. Ten patrzy na nią ze współczuciem i ustawia inną osobę na trzeciej bazie. Rhiannon rusza do szkoły. Wchodzę do środka i czekam na nią w pustej sali gimnastycznej.

– Hej – mówię, gdy wchodzi.

– Gdzie ty się podziewałeś, do diabła? – odpowiada.

Jeszcze nigdy nie była taka wściekła. To ten rodzaj gniewu wywołanego świadomością, że zawiódł się nie tylko jeden człowiek, ale cały wszechświat.

– Byłem zamknięty w pokoju – mówię. – Straszne. Nie miałem nawet komputera.

– Czekałam na ciebie – odpiera. – Wstałam, pościeliłam łóżko. Zjadłam śniadanie. I czekałam. Mój telefon ciągle gubił zasięg, myślałam, że to jest przyczyna. Zaczęłam czytać jakieś stare numery czasopisma myśliwskiego, bo tylko to znalazłam. A potem usłyszałam kroki. Ucieszyłam się i podbiegłam do drzwi. Oczywiście to nie byłeś ty, tylko jakiś osiemdziesięcioletni facet. Miał ze sobą martwego jelenia. Nie wiem, kto z nas był bardziej zaskoczony. Na jego widok wrzasnęłam, a on niemal dostał zawału. Nie byłam naga, chociaż niewiele brakowało. Wstydziłam się strasznie. A on był bardzo niemiły, powiedział, że weszłam do cudzej posiadłości. Wyjaśniłam, że Artie to mój wujek, ale wcale mi nie uwierzył. Uratowało mnie chyba tylko to, że mam takie samo nazwisko. Stałam w majtkach, pokazując temu facetowi legitymację. Miał zakrwawione ręce, mówił, że przyjadą tu też inni. Sądził, że mój samochód należy do jednego z myśliwych. Problem

polegał na tym, że cały czas wierzyłam, że przyjedziesz. Nie mogłam więc wyjechać. Ubrałam się, po czym musiałam siedzieć i patrzeć, jak oni patroszą to biedne zwierzę. Czekałam do wieczora. Cała chata cuchnęła krwią, a ja musiałam tam siedzieć. A ty się nie zjawiłeś.

Opowiadam jej o Danie. A potem o Michaelu i ucieczce z domu.

To coś. Ale i tak za mało.

– Jak mamy to robić? – pyta Rhiannon. – Powiedz mi, jak.

Chciałbym, żeby istniała odpowiedź. Chciałbym ją znać.

– Chodź tu – mówię i przytulam ją do siebie, ponieważ to jedyna odpowiedź, jaką mam.

Stoimy tak przez minutę, nie wiedząc, co będzie dalej. Nagle otwierają się drzwi do sali, a wtedy odrywamy się od siebie. Niestety, za późno. Przypuszczam, że to wuefista albo koleżanka z klasy. Jednak to nie te drzwi się otworzyły, lecz wejście od strony szkoły. Na salę wparowuje Justin.

– Co to ma być, do cholery? – pyta. – Co to ma być?

– Justin... – Rhiannon próbuje się tłumaczyć, ale on jej przerywa.

– Lindsay przysłała mi SMS-a, że się źle poczułaś, więc przyszedłem sprawdzić, czy wszystko okej. Ale jak widzę, czujesz się świetnie. Nie przeszkadzajcie sobie.

– Przestań – mówi.

– Ja mam przestać, suko? – pyta.

– Justin – wtrącam się.

– Ty się nawet nie odzywaj, gościu.

Chcę coś dodać, ale on już rzuca się na mnie z pięściami. Jego pięść ląduje na moim nosie. Upadam na podłogę.

Rhiannon zaczyna krzyczeć i pomaga mi wstać. Justin ciągnie ją za rękę.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś zdzirą – mówi.

– Przestań! – płacze Rhiannon.

Justin ją puszcza i znów rusza na mnie. Zaczyna mnie kopać.

– To jest twój nowy chłopak? – wyje. – Kochasz go?

– Nie kocham! – krzyczy Rhiannon w odpowiedzi. – Ale ciebie też nie!

Kiedy znów mnie kopie, chwytam go za nogę i przewracam. Opada z łoskotem na parkiet sali gimnastycznej. Już sądziłem, że to go powstrzyma, jednak wyrzuca stopę i trafia mnie w brodę. Aż mi zęby dzwonią.

Z boiska dochodzi dźwięk gwizdka i pół minuty później do sali wbiegają dziewczęta z klasy Rhiannon. Na widok pogromu aż się zapowietrzają. Jedna z nich szybko podchodzi do Rhiannon, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

Justin podnosi się i wymierza mi kolejnego kopniaka – żeby wszystkie dobrze to widziały. Ledwo mnie muska, wykorzystuję unik, żeby się wyprostować. Mam ochotę go uderzyć, zrobić mu krzywdę, ale nie wiem, jak.

Zresztą muszę stąd wiać. Nietrudno będzie odkryć, że nie chodzę do tej szkoły. A chociaż ewidentnie to ja przegrałem bitwę, i tak mogą wezwać policję, ponieważ

wszedłem na cudzy teren i zakłóciłem porządek.

Podchodzę do Rhiannon, jej koleżanka próbuje ją ode mnie ogrodzić, ale ona zbywa ją gestem.

– Muszę iść – mówię. – Spotkajmy się w Starbuksie, tam, gdzie za pierwszym razem. Przyjdź, kiedy będziesz mogła.

Wyczuwam czyjąś rękę na ramieniu. To Justin mnie odwraca. Nie uderzy mnie, dopóki stoję do niego tyłem.

Wiem, że powinienem stanąć z nim twarzą w twarz. Wymierzyć cios. Jednakże wysuwam się spod jego ręki i puszczam się biegiem. Nie zamierza mnie gonić. Będzie kąpał się w blasku chwały, że doprowadził mnie do ucieczki.

Nie chciałem, by Rhiannon płakała, ale zostawiam ją zalaną łzami.

Wracam do przystanku autobusowego i korzystam ze znajdującej się nieopodal budki telefonicznej, żeby wezwać taksówkę. I już wkrótce siedzę w Starbuksie. Jeśli wcześniej byłem wielkim, owłosionym, spoconym kolesiem w koszulce Metalliki, teraz jestem wielkim, owłosionym, spoconym kolesiem w koszulce Metalliki, który jest pobity, posiniaczony i zakrwawiony. Zamawiam czarną kawę venti i zostawiam w puszcę dwadzieścia dolarów napiwku. Teraz mogę siedzieć tu do woli, chociaż swoim wyglądem budzę strach.

Doprowadzam się trochę do porządku w łazience. A potem siadam i czekam.

Czekam.

Czekam.

Czekam.

Rhiannon pojawia się dopiero po osiemnastej.

Nie przepasza. Nie wyjaśnia, dlaczego trwało to tak długo. Nawet nie podchodzi od razu do mojego stolika. Zatrzymuje się przy ladzie i najpierw kupuje sobie kawę.

– Naprawdę tego potrzebuję – oznajmia, siadając. Wiem, że mówi o kawie, o niczym innym.

Ja piję już czwartą i jem drugie ciastko.

– Dziękuję, że przyszedłeś – stwierdzam. Zabrzmiało to tak oficjalnie.

– Pomyślałam, że tego nie zrobię – odpowiada. – Ale nie brałam takiej możliwości pod uwagę. – Spogląda na moją twarz, na siniaki. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Przypomnij mi tylko – jak masz dzisiaj na imię?

– Michael.

Znów na mnie patrzy.

– Biedny Michael.

– Nie tak sobie wyobrażałem ten dzień.

– To jest nas dwoje.

Mam wrażenie, że znajdujemy się bardzo daleko od prawdziwego tematu. Muszę nas przybliżyć.

– Czyli koniec? Z wami?

– Tak. Jak widać masz to, czego chciałeś.

– Fatalnie to ujęłaś. Ty sama też tego nie chciałaś?

– Owszem, ale nie w taki sposób. Nie przy wszystkich.

Unoszę rękę, żeby dotknąć jej twarzy, lecz ona się wzdryga. Zabieram dłoń.

– Uwolniłaś się od niego – mówię.

Kręci głową. A więc znów powiedziałem coś nie tak.

– Zapominam, jak ty mało wiesz na ten temat. Jaki jesteś niedoświadczony. Nie uwolniłam się od niego, A. Bo kiedy zrywasz z drugim człowiekiem, wcale się od niego nie uwalniasz. Nadal jestem związana z Justinem na sto różnych sposobów. Po prostu już ze sobą nie chodzimy, ale całkowite uwolnienie się od niego zajmie mi kilka lat.

Przynajmniej zrobiłaś dobry początek – mam ochotę powiedzieć. – Przynajmniej zerwałaś jeden łańcuch. – Milczę jednak. Być może ona zdaje sobie z tego sprawę, lecz na pewno nie chce tego słyszeć.

– Uważasz, że powinienem był lecieć na Hawaje? – pytam.

Od razu łagodnieje. Pytanie jest absurdalne, ale ona wie, o co mi chodzi.

– Nie, nie powinieneś. Chcę, żebyś tu był.

– Z tobą?

– Ze mną. Kiedy tylko będziesz mógł.

Chciałbym obiecać jej coś więcej, lecz to niemożliwe. Stoimy więc na naszych linach, rozpiętych wysoko nad ziemią. Nie patrzymy w dół, ale i nie idziemy do przodu.

Korzystając z jej telefonu, sprawdzamy najbliższe połączenia na Hawaje i kiedy mamy pewność, że rodzina Michaela nie wsadzi go dzisiaj do samolotu, Rhiannon odwozi mnie do domu.

– Opowiedz mi o dziewczynie, którą byłeś wczoraj – prosi.

Robię to, a gdy kończę, samochód wypełnia taki smutek, że postanawiam opowiedzieć jej o innych dniach, innych życiach. Radośniejszych. Przywołuję wspomnienia kołysanek śpiewanych mi przed zaśnięciem, słoni w ogrodach zoologicznych i cyrkach, wspomnienia pierwszych pocałunków i prawie pierwszych pocałunków, noclegach u kolegów z zastępu skautów i przerażających filmach, które razem oglądaliśmy. To mój sposób na uświadomienie jej, że chociaż nie przeżyłem aż tak wiele, udało mi się mieć jakieś życie.

Jesteśmy już coraz bliżej domu Michaela.

– Chciałbym spotkać się z tobą jutro – mówię.

– Ja też bym tego chciała – odpowiada. – Ale dobrze wiemy, że to nie od nas zależy.

– W takim razie mam nadzieję, że się spotkamy.

– Ja również mam taką nadzieję.



Pragnę całować ją na dobranoc, a nie na do widzenia. Jednak kiedy dojeżdżamy na miejsce, ona w ogóle nie wykazuje chęci do pocałunków. Nie chcę wywierać na niej presji, zmuszać do wykonania pierwszego kroku. Nie chcę też prosić, bo boję się, że odmówi.

Żegnamy się więc, dziękuję jej za podwiezienie, cała reszta pozostaje niedopowiedziana.

Nie wchodzę od razu do domu, spaceruję dookoła, żeby minęło więcej czasu. Jest już dwudziesta druga, kiedy staję przed drzwiami. Wnikam do umysłu Michaela, by dowiedzieć się, gdzie trzymają zapasowy klucz, jednak zanim go znajdę, drzwi się otwierają, a na progu staje ojciec chłopaka.

Początkowo milczy. Stoję oświetlony światłem latarni, a on na mnie patrzy.

– Mam ochotę sprać cię na kwaśne jabłko – mówi. – Ale widzę, że ktoś mnie uprzedził.

Moja mama i siostry poleciały na Hawaje. On został, żeby na mnie zaczekać.

Żeby go przeprosić, muszę wymyślić jakieś wytłumaczenie. Prezentuję coś równie żalostnego jak mój wygląd: był koncert, na który koniecznie musiałem iść, a nie było mowy, żebym mu o tym wcześniej powiedział. Czuję się paskudnie, że aż tak bardzo namieszałem w życiu Michaela – i to moje samopoczucie najwyraźniej przebija w moim głosie, bo ojciec traktuje mnie z mniejszą wrogością niż na to zasługuję. Oczywiście kara mnie nie minie: opłata za przebukowanie zostanie mi potrącona ze wszystkich kieszonkowych w następnym roku, a kiedy znajdziemy się na Hawajach, będę miał szlaban na wszystko, co nie wiąże się z weselem siostry. No i zostaną mi wyrzuty sumienia do końca życia. Szczęście w nieszczęściu, że były jeszcze bilety na jutro.

Leżąc w łóżku, wspominam najlepszy koncert w życiu Michaela. To jedyne, co mogę mu podarować, by zrekompensować to, co zrobiłem.

DZIEŃ 6023

Jeszcze zanim otworzę oczy, już lubię Vica. Płeć biologiczna: dziewczyna. Płeć społeczna: chłopak. Żyje według własnej prawdy, zupełnie jak ja. Wie, kim chce być, co nie jest typowe dla osób w naszym wieku. Większość nastolatków pozostaje w świecie najłatwiejszych wyborów. Jeśli chce się żyć według własnej prawdy, najpierw trzeba przejść przez początkowo bolesny, później przynoszący ulgę, proces jej odnajdywania.

Vic ma przed sobą pracowity dzień. Sprawdziany z historii i z matematyki. Próbę zespołu, której nie może się już doczekać. No i randkę z dziewczyną o imieniu Dawn.

Wstaję. Ubieram się. Biorę kluczyki i wsiadam do samochodu. W miejscu, w którym powinienem skrócić do szkoły, jadę prosto.

Od Rhiannon dzielą mnie ponad trzy godziny jazdy. Wysłałem jej maila z informacją, że Vic i ja przyjeżdżamy. Nie dałem jej czasu na odpowiedź ani na protest.

Po drodze wnikam do umysłu Vica. Mało co bywa w życiu trudniejsze niż przyjście na świat w niewłaściwym ciele. Wielokrotnie musiałem się z tym zmagać, na szczęście tylko przez jeden dzień. Zanim nauczyłem się przystosowywać, zanim poddałem się mojemu życiu, opierałem się niektórym zmianom. Uwielbiałem mieć długie włosy, więc gdy następnego dnia budziłem się w krótkiej fryzurze, bardzo mi się to nie podobało. Czasami czułem się jak chłopak, a czasami jak dziewczyna, co nie zawsze zgadzało się z ciałem, które aktualnie zamieszkiwałem. Wierzyłem, kiedy ludzie mówili, że należy się albo do jednej, albo do drugiej płci. Wszyscy to powtarzali, a ja byłem zbyt młody, żeby myśleć samodzielnie. Musiałem się jeszcze nauczyć, że jeśli chodzi o płeć, byłem obiema, a jednocześnie nie byłem żadną.

To straszne, kiedy ciało cię zdradza, nie za bardzo bowiem można o tym rozmawiać. Człowiek ma wrażenie, że to sprawa wyłącznie między nim a jego ciałem. Bitwa, z której nigdy nie można wyjść zwycięsko, a jednak trzeba ją toczyć w samotności dzień w dzień, co bardzo wyczerpuje. Nawet jeśli starasz się to ignorować, to taki wysiłek także jest wycieńczający i pochłania wiele energii.

Vic miał szczęście, że trafili mu się tacy, a nie inni rodzice. Nie przejmowali się, że ich córka woli nosić dzinsy zamiast spódniczek i wybiera autka zamiast lalek. Dopiero gdy miał kilkanaście lat, zaczęli się nad tym głębiej zastanawiać. Wiedzieli, że ich córka lubi dziewczyny, jednak minęło sporo czasu, nim Vic przyznał się – także przed samym sobą – że lubi je jako chłopak. Że powinien być chłopakiem, a przynajmniej żyć jako chłopak, ktoś nieokreślony pomiędzy chłopczycą a zniewieściałym chłopcem.

Jego ojciec, cichy, spokojny mężczyzna, rozumiał problem i wspierał Vica na swój milczący sposób. Matce przyszło to trudniej. Szanowała to, że Vic chce być tym, kim musi być, ale jednocześnie nie potrafiła pogodzić się z myślą, że ma syna, a nie córkę. Jeśli chodzi o rówieśników, niektórzy zrozumieli, chociaż mieli dopiero po trzynaście, czternaście lat. Innych to spłoszyło – bardziej dziewczęta niż chłopców. Dla chłopaków Vic zawsze był aseksualnym towarzyszem, który za nimi łąził. To się akurat nie zmieniło.

Dawn zawsze tkwiła gdzieś w tle. Chodzili razem do przedszkola i do szkoły, znali się, ale nie przyjaźnili. W liceum Vic trzymał się z nastolatkami, którzy zawzięcie pisali wiersze i trzymali je w szufladzie, natomiast Dawn – z ludźmi, którzy wysyłali swoje wiersze do czasopism literackich, ledwie postawili w nich ostatnią kropkę. Dawn była popularna, została skarbnikiem klasy, brała udział w debatach, a Vic trzymał się na uboczu i tylko stał na czatach, gdy koledzy ruszali plądrować sklep 7-Eleven. Vic nie zwróciłby uwagi na Dawn i nawet nie ośmieliłby się sądzić, że to możliwe, gdyby nie to, że to ona zwróciła na niego uwagę.

A tak właśnie się stało. To w jego stronę ciągle uciekał jej wzrok. Gdy zamykała oczy przed zaśnięciem, myśl o nim kołysała ją do snu. Nie miała pojęcia, kto ją tak pociąga – ta chłopczyca czy raczej zniewieściały chłopak. Czuła pociąg do Vica, a on nie miał pojęcia o jej istnieniu. Przynajmniej nie w taki sposób.

W końcu – co Dawn później wyznała – to wszystko stało się dla niej trudne

do zniesienia. Mieli mnóstwo wspólnych znajomych, mogłaby więc przeprowadzić rekonesans, jednak wolała zaryzykować osobiście. Któregoś dnia, kiedy zauważyła, że Vic i jej koledzy wybierają się do 7-Eleven, szybko wsiadła do samochodu i pojechała za nimi. Tak jak się spodziewała, Vic kręcił się przed sklepem, a jego kumple myszkowali pomiędzy regałami. Podeszła i przywitała się. Początkowo Vic nie rozumiał, dlaczego Dawn z nim rozmawia i czemu wydaje się taka zdenerwowana, ale powoli zaczęło do niego docierać, o co chodzi, i doszedł do wniosku, że on też tego chce. Kiedy dzwonek przy drzwiach obwieścił, że jego koledzy wyszli ze sklepu z łupami, Vic machnął na nich ręką i został z Dawn, która już dawno przestała udawać, że przyjechała na zakupy. Staliby tak i rozmawiali godzinami, gdyby Vic nie zaproponował, żeby pójść na kawę. Tak to wszystko się zaczęło.

Oczywiście mieli później swoje wzloty i upadki, jednak najważniejsze pozostało niezmienione: Dawn widziała Vica dokładnie takim, jakim on chciał być widziany. Jego rodzice nie mogli zapomnieć, kim był wcześniej, a tylu znajomych i obcych dostrzegają w nim osobę, którą on nie chciał być. Dawn widziała jego i tylko jego. I wcale nie był niejasną, bezpłciową postacią – dla niej był wyraźną, charakterystyczną osobą.

Przesiewam wspomnienia Vica, składam ze sobą elementy jego historii i czuję ogromną wdzięczność oraz tęsknotę – nie jego, ale moje własne. Tego właśnie pragnę od Rhiannon. To właśnie chciałbym jej dać.

Ale jak dostrzec coś poza niejasnością: jeśli jestem ciałem, którego nigdy nie zobaczy, w życiu, którego nigdy nie utrzymam?



Przyjeżdżam w trakcie lekcji poprzedzającej przerwę obiadową i parkuję na moim zwykłym miejscu. Teraz już wiem, w której klasie jest Rhiannon, więc czekam przed drzwiami, aż zadzwoni dzwonek. Wychodzi w tłumie innych osób, rozmawia z Rebekką. Nie zauważa mnie, nie podnosi nawet głowy. Idę za nią, nie wiedząc, czy jestem duchem jej przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości. W końcu dziewczyny rozdzielają się i mogę porozmawiać z Rhiannon na osobności.

– Cześć – mówię.

Widzę ten moment zawahania, zanim się odwróci. Jednakże kiedy patrzy na mnie, w jej oczach dostrzegam, że mnie poznaje.

– Cześć – odpowiada. – Przyjechałeś. Czemu mnie to nie dziwi?

Nie jest to przywitanie, jakiego oczekiwałem, ale rozumiem. Kiedy jesteśmy sami, pozostaję dla niej celem. Tutaj, w szkole, stanowią przeszkodę.

– Obiad? – pytam.

– Jasne – mówi. – Ale potem naprawdę muszę wracać.

Odpowiadam, że nie ma sprawy.

Idziemy w milczeniu. Kiedy nie skupiam się na Rhiannon, wyczuwam, że ludzie patrzą

na nią inaczej niż zwykle. Niektórzy pozytywnie, lecz większość negatywnie.

Zauważa, że to dostrzegam.

– Najwyraźniej jestem teraz metalową zdziłą – mówi. – Według niektórych źródeł spałam z członkami Metalliki. To nawet zabawne, chociaż nie do końca – dodaje i spogląda na mnie. – Za to ty jesteś dzisiaj zupełnie inny. Nawet nie jestem pewna, z kim mam do czynienia.

– Mam na imię Vic. Z biologicznego punktu widzenia jestem dziewczyną, ale należę do płci męskiej.

Rhiannon wzdycha.

– Nawet nie wiem, co to oznacza.

Zaczynam wyjaśniać, ale mi przerywa.

– Poczekaj, aż znajdziemy się poza szkołą, okej? Może przez jakiś czas będziesz szedł za mną? Tak będzie chyba prościej.

Nie mam wyboru, muszę się zgodzić.



Idziemy do lokalu, w którym średnia wieku klientów wynosi pięćdziesiąt cztery lata, a najczęściej zamawianą potrawą z menu wydaje się mus jabłkowy. To niezbyt popularne miejsce wśród licealistów.

Siadamy, zamawiamy coś do jedzenia, a wtedy wypyuję ją o konsekwencje tego, co się ostatnio wydarzyło.

– Nie powiem, żeby Justin był aż tak bardzo zrozpaczony – mówi. – Poza tym, nie brakuje dziewczyn, które chcą go pocieszać. To żałosne. Rebecca za to okazała się boska. Naprawdę, gdyby istniał taki zawód jak piarowiec przyjaźni, byłaby najlepsza. Rozpowszechnia dookoła moją wersję wydarzeń.

– Czyli?

– Czyli, że Justin to kretyn. A ja po prostu tylko rozmawiałam z tym metalowcem.

Pierwsze nie ulega wątpliwości, ale drugie nawet mnie wydaje się słabe.

– Przykro mi, że tak to wyszło – mówię.

– Mogło być gorzej. No i musimy przestać się wiecznie przepraszać. Nie może być tak, że każde nasze zdanie zaczyna się od „przykro mi”. – W jej głosie słychać rezygnację. Nie wiem, dlaczego się poddaje.

– A więc dzisiaj jesteś chłopakiem w ciele dziewczyny? – pyta.

– Coś w tym rodzaju. – Wyczuwam, że wolałaby nie wchodzić w szczegóły.

– Długo jechałeś?

– Trzy godziny.

– A co tracisz?

– Dwa sprawdziany. I randkę z moją dziewczyną.

– Uważasz, że to fair?

Przez chwilę milczę.

– Nie rozumiem.

– Słuchaj – mówi Rhiannon. – Cieszę się, że przyjechałeś taki kawał drogi. Naprawdę. Ale źle spałam tej nocy, jestem cholernie rozdrażniona, więc kiedy rano odebrałam maila od ciebie, pomyślałam sobie: „Czy to fair?”. I nie wobec mnie czy ciebie, ale wobec tych... ludzi, których życie przejmujesz na jeden dzień.

– Rhiannon, ja zawsze uważam...

– Wiem. I wiem, że to tylko jeden dzień. A jeśli w ten właśnie dzień miało zdarzyć się coś niespodziewanego? Twoja dziewczyna chciała zorganizować przyjęcie-niespodziankę dla ciebie? Koleżanka z klasy dostanie jedynkę, bo nie było cię na zajęciach laboratoryjnych i jej nie pomogłeś? Albo – nie wiem... dojdzie do strasznego wypadku, a ty miałeś przechodzić obok i uratować niemowlę?

– Wiem – odpowiadam. – A co jeśli to mnie miało się coś przydarzyć? Jeśli miałem się znaleźć właśnie w tym miejscu i o tej porze, bo inaczej coś pójdzie nie tak? W jakiś mikroskopijny, ale istotny sposób.

– Nie sądzisz, że powinieneś przedkładać ich życie ponad swoje?

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteś tylko gościem w ich ciałach.

Wiem, że to prawda, a jednak czuję się zszokowany. Zabrzmiało to jak oskarżenie, więc od razu próbuje złagodzić swoje słowa.

– Nie twierdzę, że ty jesteś mniej ważny, to nie tak. W tej chwili jesteś osobą, którą kocham najbardziej na całym świecie.

– Naprawdę?

– Co to za pytanie?

– Wczoraj powiedziałaś, że mnie nie kochasz.

– Mówiłam o metalowcu, nie o tobie.

Dostajemy zamówione jedzenie, ale Rhiannon tylko się bawi frytkami, zanurzając je w keczupie.

– Ja też cię kocham – mówię.

– Wiem – odpowiada. Jednak wcale nie czuje się szczęśliwsza.

– Przejdziemy przez to. Każdy związek napotyka na początku na trudności. Nasz również. Przecież to nie puzzle, gdzie każdy element pasuje idealnie do pustego miejsca. W związku trzeba nad każdym elementem pracować, żeby je wszystkie do siebie dopasować.

– A do tego twoje elementy codziennie zmieniają kształt.

– Tylko na zewnątrz.

– No tak. – W końcu zjada jedną frytkę. – Widocznie powinnam popracować nad moimi elementami. Tyle się ostatnio dzieje, a twoja obecność tylko dodaje do tego „tyle”.

– Pojadę sobie – mówię. – Jak zjemy.

– Nie, żebym tego chciała, ale uważam, że musisz.

- Rozumiem – odpowiadam. I rzeczywiście tak jest.
– To dobrze. – Uśmiecha się. – A teraz opowiedz mi o randce, na którą się dzisiaj wybierasz. Skoro nie mogę być z tobą, chcę wiedzieć, kto zajmie moje miejsce.



Napisałem SMS-a do Dawn, że nie było mnie w szkole, ale nasza randka nadal jest aktualna. Umawiamy się na kolację po jej treningu hokeja na trawie.

Wracam do domu Vica w czasie, w którym on zwykle wraca ze szkoły. Gdy już jestem w swoim pokoju, czuję typowe podenerwowanie przedrandkowe. Widzę, że Vic ma w szafie sporą kolekcję krawatów i przypuszczam, że lubi je nosić. Komponuję więc elegancki strój – może nawet zbyt elegancki – ale jeśli to, co znalazłem w umyśle Vica na temat Dawn, jest prawdą, powinno jej się spodobać.

Godziny dzielące mnie od randki spędzam w sieci. Nic nie przyszło od Rhiannon, za to mam osiem nowych wiadomości od Nathana. Żadnej z nich nie otwieram. Zaglądam do playlisty Vica i słucham jego ulubionych kawałków. Często w ten sposób odkrywam nową muzykę.

W końcu, tuż przed osiemnastą, wychodzę z domu. To dziwne, jak bardzo się cieszę na to spotkanie. Chcę wreszcie być częścią czegoś udanego, bez względu na to, jak wielkie to będzie dla mnie wyzwanie.

Dawn nie przynosi mi rozczarowania. Bardzo jej się podoba wygląd Vica, zamiast „elegancki” używa słowa „wytworny”. Zarzuca mnie informacjami z przebiegu dzisiejszego dnia oraz pytaniami o to, co porabiałem. To delikatny temat – nie chcę, żeby później Vic został przyłapany na kłamstwie – więc mówię, że pod wpływem impulsu zrobiłem sobie dzień wolny. Żadnych sprawdzianów i lekcji, tylko jazda samochodem przed siebie, tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłem... byle wrócić na czas i się z nią spotkać. Dawn popiera moją decyzję i nie pyta, dlaczego nie zabrałem jej z sobą. Mam nadzieję, że tak właśnie Vic zapamięta ten dzień.

Żeby nadać za tokiem mojej rozmówczyni, muszę w pośpiechu wnikać do umysłu Vica, ale i tak dobrze się bawię. Obraz Dawn, jaki znalazłem w jego głowie, jest całkowicie zgodny z prawdą – ona traktuje go naturalnie, cudownie, bez dorabiania teorii. I nie afiszuje się ze swoim zrozumieniem. Po prostu rozumie.

Zdaję sobie sprawę, że ich sytuacja różni się od naszej. Nie jestem Vikiem, a Rhiannon nie jest Dawn. Jednak dostrzegam analogię. Chciałbym, żeby nasza miłość była tak silna, tak potężna.

Oboje mają własne samochody, ale na prośbę Dawn Vic jedzie za nią do domu, żeby móc ją odprowadzić do drzwi i pocałować na dobranoc. Uważam, że to urocze, więc poddaję się chwili i wchodzimy po schodach, trzymając się za ręce. Dochodzimy do drzwi i zatrzymujemy się na chwilę, zupełnie jak para narzeczonych z lat pięćdziesiątych. A potem Dawn pochyla się i całuje mnie mocno, a ja odpowiadam tym samym. Jednak to

nie o drzwi się opieramy, ale o krzaki. Dawn popycha mnie w ciemność, a ja napawam się nią całą. To tak intensywne doznanie, że tracę głowę, a może tracę głowę Vica i znajduję się wyłącznie w swojej. Całuję ją, czuję to całym sobą, z ust wydobywa mi się słowo „Rhiannon”. Początkowo sędzę, że nie usłyszała, ale ona odsuwa się i pyta, co mówiłem. Odpowiadam, że to z piosenki – naprawdę nie zna tego kawałka? – zawsze zastanawiałem się, co to słowo oznacza, a teraz już to wiem: chodzi o to, co teraz czuję. Dawn nie ma pojęcia, jaką piosenkę mam na myśli, lecz jej to nie przeszkadza. Przyzwyczaiła się już do moich dziwactw. Mówię, że później zagram ją dla niej, a tymczasem jest to, i to, i tamto. Jesteśmy obsypani liśćmi, krawat zahaczył mi się o gałąź, ale jesteśmy pełni życia, więc nie ma to znaczenia. Zupełnie nie ma to znaczenia.



Późnym wieczorem przychodzi mail od Rhiannon.

A,

dzisiaj było niezręcznie, ale chyba dlatego, że to ogólnie dość niezręczny moment. Nie chodzi o Ciebie ani o naszą miłość. Tylko o to, że wszystko razem wali mi się na głowę. Chyba wiesz, o co mi chodzi.

Spróbujmy jeszcze raz, jednak nie w szkole. To dla mnie zbyt wiele. Spotkajmy się po lekcjach. Gdzieś, gdzie nie ma żadnych śladów reszty mojego życia. Gdzie będziemy tylko my.

Nie mam pojęcia, jak to zrobić, ale chciałabym, żeby wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

Buziaki

R

DZIEŃ 6024

Następnego dnia to nie budzik wyrywa mnie ze snu. Budzę się i widzę, że na krawędzi łóżka siedzi matka – czyjaś, moja – i na mnie patrzy. Jest jej przykro, że musi przerwać mój sen, ale to zaledwie ułamek smutku, jaki odczuwa. Dotyka delikatnie mojej nogi.

– Czas wstawać – mówi cicho, jakby chciała, żeby moje przejście ze snu do jawy było jak najłagodniejsze. – Powiesiłam ci ubranie na drzwiach szafy. Wyjeżdżamy za około czterdzieści pięć minut. Tata jest... załamany. Wszyscy jesteśmy, lecz on to najbardziej przeżywa, więc... miej to na uwadze, dobrze?

Kiedy do mnie mówi, nie mam jak się skupić, żeby wnikać do umysłu chłopaka i dowiedzieć się, kim jestem i co się dzieje. Gdy wychodzi z pokoju, a mój wzrok pada na ciemny garnitur wiszący na szafie, składam elementy układanki w jedną całość.

Mój dziadek zmarł, za chwilę pojedę na pierwszy w życiu pogrzeb.



Mówię mamie, że zapomniałem powiedzieć kolegom, by przekazali moje zadanie domowe, i szybko siadam przy komputerze. Daję znać Rhiannon, że dzisiaj chyba nie możemy się zobaczyć. Z tego, co się orientuję, nabożeństwo potrwa co najmniej dwie godziny, ale przynajmniej nie będziemy tam nocować.

Mój ojciec od rana nie wychodzi z sypialni. W końcu wyłania się – w momencie, w którym naciskam „wyślij”. Nie wydaje się załamany – raczej sprawia wrażenie człowieka, który właśnie stracił wzrok. W oczach ma ogromne poczucie straty, które promieniuje na całą jego osobę. Z szyi zwisa mu luźno krawat, ledwo przewiązany.

– Marc – mówi do mnie. – Marc. – To moje imię w jego ustach brzmi jak zaklęcie, ale i jak płacz z niedowierzania. Nie mam pojęcia, jak powinienem zareagować.

Do pokoju wchodzi mama Marka.

– Och, kochanie – mówi. Obejmuje męża na krótką chwilę, a potem odsuwa się i poprawia mu krawat. Odwraca się do mnie i pyta, czy jestem gotów jechać.

Czyszcze historię, wyłączam komputer i odpowiadam, że muszę jeszcze założyć buty.

Podróż upływa nam w milczeniu. W radiu lecą wiadomości, jednak po trzeciej powtórcie nikt z nas już ich nie słucha. Wyobrażam sobie, że rodzice Marka robią to samo co ja – przywołują wspomnienia dziadka.

Większość z nich to obrazy bez słów. Ciche, wyraźne chwile, kiedy siedzieliśmy razem w łodzi rybackiej, czekając, aż coś chwyci. Widok dziadka przy stole w święto dziękczynienia, krojącego indyka w taki sposób, jakby to było jego święte prawo. Kiedy byłem młodszy, zabrał mnie do zoo, ale pamiętam jedynie jego autorytarny ton, gdy opowiadał mi o lwach i niedźwiedziach. Samych zwierząt już nie pamiętam, tylko ich wizerunek z jego opowieści.

Babcia zmarła, zanim jeszcze zrozumiałem, co tak naprawdę oznacza śmierć. Jest tylko duchem na tle tych wszystkich wspomnień. Z pewnością moi rodzice lepiej ją pamiętają. Wracam myślami do ostatnich kilku miesięcy, podczas których dziadek się w sobie zapadał. Jakie to było dziwne, że go przerosłem, podczas gdy on się skurczył. Jego zgon wszystkich nas zaskoczył. Spodziewaliśmy się tego, ale nie akurat w ten dzień. To mama odebrała telefon. Od razu domyśliłem się, że coś się stało. Pojechała do ojca, do biura, żeby mu powiedzieć. Mnie przy tym nie było.

Teraz mój ojciec wydaje się zapadnięty w sobie. Zupełnie jakby chciał natychmiast zająć miejsce tego, który odszedł. Starając się uporać z odejściem bliskich, przeżywamy ich życie wstecz, od śmierci do pełnej egzystencji, od choroby do zdrowia.



Ryby w pobliskich rzekach i jeziorach będą dzisiaj zupełnie bezpieczne, bo chyba wszyscy wędkarze z całego Marylandu przyjechali na pogrzeb. Mało kto założył garnitur, jeszcze mniej jest krawatów. Zjawiała się także moja dalsza rodzina – zapłakane kuzynki, załamane ciotki, wujowie o stoickich minach. Mój ojciec przeżywa to najbardziej

ze wszystkich i jak magnes przyciąga kondolencje. Stoję z mamą u jego boku, czasem ktoś mi kiwnie głową albo klepnie mnie w ramię.

Czuję się jak intruz. Obserwuję i staram się zapamiętać jak najwięcej dla Marka – wiem, że chciałby zachować te wspomnienia, chciałby zapamiętać pogrzeb.

Gdy wchodzimy do kaplicy, nie jestem przygotowany na widok otwartej trumny i spoczywających w niej zwłok. Zajmujemy miejsca w pierwszym rzędzie. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku. A więc tak wygląda ciało, w którym nic już nie ma. Gdybym mógł na moment opuścić ciało Marka – gdyby on nie wrócił o północy – tak właśnie by to wyglądało. W niczym nie przypomina to widoku śpiącego człowieka, chociaż pracownicy zakładu pogrzebowego zrobili co w ich mocy, żeby uzyskać taki efekt.



Dziadek Marka wychował się w tym miasteczku, przez całe życie należał do tej parafii. Ksiądz ma wiele do powiedzenia i jest to bardzo emocjonalne wystąpienie. Wydaje się wzruszony, bo chociaż wypowiadał te słowa wielokrotnie, to jednak nie pod adresem kogoś, kogo lubił. Ojciec chłopaka podchodzi do mównicy, ale jego ciało wyraźnie buntuje się: za każdym razem, kiedy próbuje coś powiedzieć, oddech grzęźnie mu w ustach, a ramionami wstrząsa dreszcz. Matka podnosi się z miejsca i staje obok niego. Spodziewam się, że ojciec poprosi, by przeczytała przygotowany przez niego tekst, jednak on odkłada kartkę i zaczyna mówić. Przywołuje pewne wspomnienia, czasami poplątane albo postrzępione, ale w taki właśnie sposób rozpamiętuje o swoim ojcu. Zebrani śmieją się, płaczą i kiwają głowami.

Czuję, że w oczach wzbierają mi łzy, płyną po twarzy. Początkowo nie rozumiem, dlaczego, przecież tak naprawdę nie znam człowieka, o którym mowa, nie znam nikogo w tym pomieszczeniu. Nie należę do nich... i właśnie dlatego płaczę. Ponieważ nigdy nie będę częścią takiego wydarzenia. Od dawna zdawałem sobie z tego sprawę, ale czasem człowiek coś wie przez długie lata, lecz jakoś to do niego nie dociera. Teraz właśnie do mnie dotarło. Nigdy nie będę miał rodziny, która będzie po mnie płakała. Nikt nie będzie czuł do mnie tego, co czują ci ludzie wobec dziadka Marka. Nie zostawię po sobie wspomnień, nikt nie będzie miał pojęcia, że w ogóle istniałem, nie będzie wiedział, jak żyłem. Jeżeli umrę, nie zostanie po mnie nawet ciało, nie będzie pogrzebu ani pochówku. Jeśli umrę, tylko Rhiannon będzie widziała, że istniałem.

Płaczę, ponieważ tak bardzo zazdroszczę zmarłemu dziadkowi, zazdroszczę wszystkim, którzy mają bliskich.

Gdy mój ojciec kończy przemowę, szlocham. Rodzice wracają do ławki, zajmują miejsca po obu stronach i próbują mnie pocieszyć.

Płaczę jeszcze przez chwilę. Wiem, że Marc zapamięta to jako łzy po dziadku, nigdy się nie dowie, że to ja tu byłem.



Jakiż to dziwny rytuał, to chowanie ciała pod ziemią. Stoję i patrzę, jak opuszczają trumnę. Odmawiam modlitwy ze wszystkimi. Ustawiam się w kolejce, kiedy każdy z zebranych po kolei rzuca garść ziemi na trumnę.

Już nigdy się nie zdarzy, że tyle osób jednocześnie będzie o nim myślało. I chociaż go nie znałem, żałuję, że nie może tego zobaczyć.



Po zakończeniu uroczystości jedziemy do niego do domu. Wkrótce zacznie się rozdzielanie przedmiotów, porządkowanie i wyrzucanie, chwilowo jednak to wystawa rozpaczy w muzeum dziadka. Pojawiają się kolejne historie, niekiedy te same opowiadane przez różne osoby w różnych pokojach. Większości zebranych nie znam, jednak nie dlatego, że mam trudności z wnikaniem do umysłu Marka, ale ponieważ w życiu jego dziadka było więcej ludzi, niż jestem w stanie sobie wyobrazić.



Gdy kończy się posiłek, opowieści i wzajemne pocieszenia, zaczyna się picie. A potem wszyscy rozjeżdżają się do domów. Matka Marka nie wypła ani kropli, więc to ona prowadzi ciemnymi szosami. Nie wiem, czy jego ojciec śpi, czy rozmyśla.

– To był długi dzień – szepcze mama. A potem słuchamy kolejnych wydań wiadomości nadawanych co pół godziny – dopóki nie dojedziemy do domu.

Próbuję udawać, że to moje życie. Moi rodzice. Czuję jednak pustkę, wiem bowiem, że to nieprawda.

DZIEŃ 6025

Następnego dnia z trudem podnoszę głowę z poduszki. Z taką samą trudnością unoszę rękę i gramolę się z łóżka.

To dlatego, że dzisiaj ważę chyba co najmniej sto pięćdziesiąt kilo.



Już wcześniej miewałem pokaźne rozmiary, ale chyba nigdy nie osiągnąłem aż takiej wagi. Zupełnie jakby ktoś przywiązał mi do kończyn i korpusu worki z mięsem. Podjęcie

jakiegokolwiek czynności kosztuje mnie mnóstwo wysiłku. To nie są mięśnie ani ciężka sylwetka gracza w futbol amerykański. Nie, to tłuszcz. Obwisły, sflaczały i potężny.

Kiedy w końcu rozglądam się dookoła i zaglądam do wewnątrz, niezbyt mi się podoba to, co widzę. Finn Taylor wycofał się z życia. Jego rozmiar to wynik zaniedbania, lenistwa i patologicznej wręcz bez troski. Jestem pewien, że gdybym wniknął głębiej w jego umysł, trafiłbym na jakieś ślady człowieczeństwa, jednak to, co widać na powierzchni, to wielkie beknienie wielkiego olewusa.

Z trudem docieram do łazienki i wyjmuję z pępka Finna kłębek kłaczek wielkości kociej łapy. Poruszanie się jest bardzo trudne. Zapewne nastąpił kiedyś ten moment, gdy Finn uznał, że życie jest zbyt wyczerpujące i dlatego z większości jego aspektów po prostu zrezygnował.

Po pięciu minutach od wyjścia spod prysznica znów jestem cały spocony.



Nie chcę, żeby Rhiannon widziała mnie w takim stanie, a jednak muszę się z nią zobaczyć – nie mogę odwołać spotkania drugi dzień z kolei, zwłaszcza że sytuacja między nami jest dość niepewna.

Ostrzegam ją. W mailu piszę, że jestem wielki, ale i tak chcę się z nią spotkać. Ponieważ mieszkam dość blisko Clover Bookstore, proponuję, żebyśmy tam właśnie się umówili.

Modłę się, żeby przyszła.



We wspomnieniach Finna nie ma nic, co kazałoby przypuszczać, że opuszczenie lekcji go zdenerwuje, ale idę do szkoły. Niech zostawi sobie wagary na dni, w których spędzi je świadomie.

Ze względu na rozmiary muszę się skupiać bardziej niż zwykle. Nawet drobiazgi, takie jak stopa przyciskająca pedał gazu czy miejsce potrzebne do przejścia korytarzem, wymagają znacznych modyfikacji w podejściu.

No i te spojrzenia rzucone w moją stronę – patrzący nawet nie kryją swojego obrzydzenia. Nie tylko uczniowie – nauczyciele, obcy ludzie. Wszyscy łatwo ferują wyroki. Być może to reakcja na obraz, jaki Finn pozwolił stworzyć, ale mam wrażenie, że w tym wstręcie kryje się coś bardziej prymitywnego, jakiś mechanizm obronny. Jestem – jako Finn – tym, czym oni boją się stać.

Dzisiaj ubrałem się na czarno, bo kiedyś słyszałem, że to podobno wyszczupla. W efekcie jestem ciemną kulą toczącą się po szkolnych korytarzach.



Jedyną ulgę przynosi przerwa obiadowa, bo Finn spotyka się wtedy ze swoimi przyjaciółmi, Ralphem i Dylanem. Kumplują się od trzeciej klasy. Owszem, wyśmiewają się z jego rozmiarów, ale widać, że im to nie przeszkadza. Gdyby Finn był chudy, też by się naśmiewali. Czuję, że w ich obecności mogę się zrelaksować.



Po szkole wracam do domu, żeby wziąć znowu prysznic i się przebrać. Wycierając się, zaczynam się zastanawiać, czy mógłbym zasiać w umyśle Finna jakieś traumatyczne wspomnienie – coś tak szokującego, by przestał się objadać. Chwilę później ogarnia mnie przerażenie, że coś takiego w ogóle mogło mi przyjść do głowy. Napominam się, że pouczanie Finna to nie moja sprawa.



Na spotkanie z Rhiannon zakładam najlepsze ubranie Finna – koszulę w rozmiarze XXXL oraz dżinsy rozmiar 56. Przymierzam nawet krawat, ale wygląda idiotycznie na moim wielkim brzuchu.

Zajmuję miejsce w księgarnianej kawiarni i czuję, jak chwieje się pode mną krzesło. Postanawiam więc przespacerować się między regałami, jednak przejścia okazują się zbyt wąskie, co chwilę coś zrzucam z półki. Ostatecznie czekam na nią przed wejściem.

Od razu mnie dostrzega, trudno byłoby mnie nie zauważyć. Rozpoznaje mnie, ale chyba nie jest uszczęśliwiona moim widokiem.

– Hej – mówię.

– No hej.

I tak stoimy.

– O co chodzi? – pytam.

– Próbuję cię ogarnąć wzrokiem.

– Nie zwracaj uwagi na opakowanie, patrz na to, co jest w środku.

– Łatwo ci mówić, ja się nigdy nie zmieniam.

I tak, i nie. Jej ciało pozostaje takie samo, ale często mam wrażenie, że spotykam nieco odmienną wersję Rhiannon – jakby każdy jej nastrój wprowadzał pewną wariację.

– Chodźmy – mówię.

– Dokąd?

– Byliśmy już nad oceanem, w górach i w lesie, pomyślałem więc, że może tym razem pójdziemy... na obiad i do kina.

Uśmiecha się.

– To podejrzenie przypomina randkę.

– Mogę ci nawet kupić kwiaty, jeśli chcesz.

– No dawaj. Kupuj te kwiaty.



Rhiannon jest w kinie jedyną dziewczyną z tuzinem róż. A także jedyną, której towarzyszy zajmuje własny fotel i jeszcze kawałek jej miejsca. Żeby nie wyglądało to tak niezręcznie, obejmuję ją ramieniem. Tylko że wtedy zdaję sobie sprawę z własnego potu, z tego, jak moja tłusta ręka dotyka jej szyi. Czuję swój oddech, świszający lekko, jeśli wypuszczam więcej powietrza. Kiedy kończą się reklamy, przesuwam się na siedzenie obok. Kładę jednak rękę na fotelu między nami, a ona ją chwyta. Siedzimy tak przez dziesięć minut, po czym Rhiannon udaje, że coś ją swędzi i zabiera rękę. Tak już zostaje.



Wybrałem fajny lokal, jednak to nie gwarantuje, że będzie fajnie.

Rhiannon ciągle się we mnie wpatruje – czy raczej w Finna.

– Co jest? – pytam w końcu.

– Bo... nie widzę cię w środku. Zwykle widzę jakiś przebłysk ciebie w oczach. Ale nie dzisiaj.

Na swój sposób to komplement, jednak przygrybia mnie sposób, w jaki to powiedziała.

– Przyrzekam, że jestem w środku.

– Wiem. Ale nic nie mogę. Po prostu nic nie czuję. Kiedy cię widzę takiego – nic. Nie mogę.

– W porządku. Nie widzisz mnie, ponieważ on jest zupełnie do mnie niepodobny. Nic nie czujesz, bo ja jestem całkiem inny. W sumie to logiczne.

– Chyba tak – mówi i nabiera szparagi na widelec.

Nie wydaje się przekonana, a ja mam wrażenie, że skoro muszę ją o tym przekonywać, to już przegrałem.



To nie przypomina randki. Ani przyjaźni. Raczej jak coś, co spadło z zawieszanej wysoko liny, ale jeszcze nie dotknęło rozpiętej pod nią siatki.



Nasze samochody stoją koło księgarni, więc wracamy pieszo. Rhiannon nie trzyma róż przy sobie, zwiesza je z boku, jakby w każdej chwili miała ich użyć zamiast kija baseballowego.

– Co ci się stało? – pytam.

– Mam chyba gorszy dzień. – Unosi róże, wacha je. – Chyba wolno nam mieć gorsze dni,

prawda? Zwłaszcza że...

– Tak. Zwłaszcza że.

Gdybym teraz znajdował się w innym ciele, nadszedłby właściwy moment, by ją pocałować. Gdybym znajdował się w innym ciele, ten pocałunek zamieniłby gorszy wieczór w lepszy. Rhiannon dostrzegłaby mnie w środku, gdybym zajmował inne ciało. Widziałyby to, co chciałyby widzieć.

Zamiast tego jest niezręcznie.

Podsuwa mi róże pod nos, a ja wdycham ich zapach.

– Dzięki za kwiaty – mówi.

To nasze pożegnanie.

DZIEŃ 6026

Mam wyrzuty sumienia, kiedy następnego dnia budzę się w normalnym rozmiarze. Wcześniej nie interesowało mnie, co sądzą inni ludzie i jak mnie postrzegają, teraz zaczynam zwracać na to uwagę. A co gorsze, sam wydaję podobne osądy i patrzę na siebie oczami Rhiannon. To upodabnia mnie do innych, a jednocześnie mam wrażenie, że coś straciłem.

Lisa Marshall przypomina przyjaciółkę Rhiannon – Rebekkę. Też ma ciemne, proste włosy, sporo piegów i niebieskie oczy. To nie jest dziewczyna, która przyciąga spojrzenia na ulicy, ale z pewnością łatwo ją zauważyć, jeśli usiądzie obok.

Dzisiaj Rhiannon nie miałaby nic przeciwko mojemu wyglądowi, myślę, i od razu czuję się paskudnie, że coś takiego mogło mi przyjść do głowy.



W skrzynce czeka na mnie wiadomość od niej. Zaczyna się tak:

Bardzo chcę się z Tobą zobaczyć

To super, myślę. A potem czytam dalej:

Musimy porozmawiać.

Teraz już sam nie wiem, co mam myśleć.



Ten dzień staje się odliczaniem, jednym wielkim oczekiwaniem, chociaż nie jestem pewien na co. Każde drgnięcie wskazówki zegara przybliża mnie do celu. Mój strach rośnie.

Przyjaciółki nie mają dzisiaj większego pożytku z Lisy.



Rhiannon poprosiła, żebym czekał na nią w parku obok szkoły. Ponieważ jestem dzisiaj dziewczyną, uznaję, że to bezpieczny, neutralny teren. Nikt z jej znajomych, który przypadkiem nas zobaczy, nie pomyśli, że w grę wchodzi sprawa sercowa. Zresztą i tak wszyscy uważają, że ona uwielbia metalowców.

Przyjeżdżam wcześniej, więc siadam na ławce z należąca do Lisy książką autorstwa Alice Hoffman. Co jakiś czas przerywam czytanie i obserwuję mijających mnie biegaczy. Tak zatapiam się w lekturze, że zauważam Rhiannon dopiero wtedy, gdy siada obok mnie.

Na jej widok nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada.

Zanim powie mi cokolwiek zamierzała powiedzieć, wypytuję ją, jak minął jej dzień, co słyhać w szkole, pytam o pogodę – o wszystko, byle tylko nie rozmawiać o nas. Udaje mi się unikać tematu przez dziesięć minut.

– A – mówi w końcu Rhiannon. – Mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

Wiem, że rzadko kiedy po takim zdaniu następuje coś dobrego, jednak nie tracę nadziei.

I chociaż użyła słowa „parę”, chociaż zasugerowała, że chodzi o coś więcej, wszystko sprowadza się w zasadzie do jednego zdania:

– Ja chyba nie dam rady dłużej.

– Wydaje ci się, że nie dasz rady, czy po prostu tego nie chcesz?

– Chcę. Naprawdę. Ale jak, A? Jak? To niemożliwe.

– Nie rozumiem.

– Codziennie jesteś kimś innym, a ja nie mogę każdej z tej osób kochać tak samo. Wiem, że pod spodem kryjesz się ty, wiem, że to tylko opakowanie. Ale nie mogę. Próbowалам i nie mogę. Chciałabym potrafić. Dopiero co zerwałam z Justinem, potrzebuję czasu, żeby to przetrwać, zapomnieć. Poza tym jest tyle rzeczy, których nie możemy razem robić. Nigdy nie będziemy mogli spotkać się z moimi przyjaciółmi. Nawet nie mogę z nimi o tobie porozmawiać, co doprowadza mnie do szaleństwa. Moi rodzice nigdy cię nie poznają. Nigdy nie zaśniemy razem i nie obudzimy się obok siebie następnego ranka. Nigdy. Próbowалам tłumaczyć sobie, że to wszystko nie ma znaczenia. Naprawdę próbowałam. Jednak nie byłam w stanie przekonać samej siebie. Nie mogę udawać, że to nic nie znaczy, skoro wiem, że jest inaczej.

To ten moment, w którym powinienem powiedzieć: zmienię się. To ten moment, w którym powinienem zapewnić ją, że wszystko się jakoś ułoży, pokazać jej, że to możliwe. Tymczasem jestem w stanie jedynie podzielić się z nią moją najskrytszą fantazją, o której dotąd bałem się powiedzieć na głos.

– To wcale nie jest niemożliwe – mówię. – Myślisz, że ja też nie przekonywałam siebie w podobny sposób? Że nie myślałam podobnie? Cały czas próbuję dojść do tego, jak możemy to rozwiązać. Doszedłem do wniosku, że gdybyśmy mieszkali w dużym mieście, być może nie przemieszczałbym się na znaczne odległości. W końcu dookoła byłoby mnóstwo osób w podobnym wieku – co prawda, nie wiem, w jaki sposób przechodzę od ciała do ciała, jednak jestem pewien, że odległość ma znaczenie o tyle, o ile niesie ze sobą określone możliwości. Gdybyśmy mieszkali w Nowym Jorku, pewnie nigdy nie znalazłbym się poza nim. Tam jest tylu rówieśników do wyboru. I dlatego moglibyśmy się codziennie spotykać. Być ze sobą. Wiem, że to szaleństwo, wiem, że nie możesz wyjeżdżać

z domu na zawołanie. Jednak w końcu udałoby się nam. Nigdy nie obudzę się u twojego boku, lecz mogę być z tobą nieustannie. Wiem, że to nie byłoby normalne życie, ale jednak jakieś życie. Wspólne.

Wyobrażam sobie, że mamy własne mieszkanie. Codziennie wracam do domu, zdejmuję buty, gotujemy wspólnie obiad, a potem idziemy do łóżka, a ja wymykam się przed północą. Razem dorastamy. Poznając ją lepiej, lepiej poznawałbym też świat.

Ale ona kręci głową. W jej oczach pojawia się zapowiedź łez – i tak pryska bańka mydlana mojej fantazji. Moje marzenie staje się urojeniem głupca.

– Tak nigdy nie będzie – mówi Rhiannon cicho. – Chciałabym wierzyć, że to możliwe, jednak nie potrafię.

– Ale, Rhiannon...

– Musisz wiedzieć, że gdybyś był codziennie tym samym chłopakiem, gdyby to, co w środku, znajdowałoby się także na zewnątrz, z dużym prawdopodobieństwem kochałabym cię na wieki. Nie chodzi o ciebie jako ciebie, mam nadzieję, że to rozumiesz. Po prostu cała reszta jest zbyt trudna. Być może istnieją dziewczyny, które dałyby sobie z tym radę. Mam nadzieję, że takie są. Ja do nich nie należę. Po prostu nie mogę.

Teraz łzy napływają mi do oczu.

– Czyli... co? To by było na tyle? Koniec?

– Chciałabym, żebyś nadal był częścią mojego życia, a ja twojego. Ale nie może być tak, że twoje życie będzie ciągle zaburzało moje. Muszę chodzić do szkoły, iść na bal na koniec roku – robić to wszystko, co powinnam. Cieszę się – naprawdę się cieszę – że zerwałam z Justinem, jednak nie mogę zrezygnować ze wszystkiego.

Jestem zaskoczony rozgoryczeniem, jakie czuję.

– Nie możesz zrobić dla mnie tego, co ja robię dla ciebie?

– Nie. Przepraszam, ale nie potrafię.

Znajdujemy się na zewnątrz, a i tak mam wrażenie, że ze wszystkich stron przytłaczają mnie ściany. Stoimy na twardej ziemi, a mnie wydaje się, że opadamy w dół.

– Rhiannon... – zaczynam, jednak więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Nie wiem, co mam mówić. Skończyły mi się argumenty. Rhiannon pochyla się i całuje mnie w policzek.

– Muszę iść – mówi. – Nie na zawsze. Na razie. Porozmawiajmy za parę dni. Jeśli przeanalizujesz to wnikliwie, dojdiesz do podobnego wniosku. A wtedy uznasz, że nie jest aż tak źle. I wtedy to rozpracujemy, zobaczymy, co dalej. Chciałabym, żeby było jakieś „dalej”, tyle że nie...

– Miłość?

– Nie związek. Nie randki. To, czego oczekujesz.

Wstaje, a ja zostaję opuszczony na ławce.

– Pogadamy niedługo – zapewnia mnie.

– Pogadamy – powtarzam. Te słowa wydają się takie puste.

Rhiannon nie chce zostawiać mnie w takim stanie. Postanawia posiedzieć ze mną,

dopóki nie uzna, że wszystko ze mną w porządku, że przeżyłem.

– Kocham cię, Rhiannon – mówię.

– I ja kocham ciebie – odpowiada.

Tym samym mówi, że to nie jest pytanie.

Ale i nie odpowiedź.



Chciałem, żeby miłość wszystko zwyciężyła, ale to niemożliwe.

Sama nie da rady.

Liczyła na to, że my pokonamy wszystko w jej imieniu.



Wracam do domu. Mama Lisy przygotowuje kolację. Po domu roznosi się cudny zapach, ale nie wyobrażam sobie, że miałbym usiąść przy stole i prowadzić rozmowę. Nie wyobrażam sobie żadnej wymiany słów. Nie wyobrażam sobie przetrwania najbliższych godzin bez krzyku.

Mówię, że źle się czuję i idę do góry. Zamykam się w pokoju Lisy z poczuciem, że to właśnie moje miejsce. Zamknięty pokój. Ja w potrzasku z samym sobą.

DZIEŃ 6027

Następnego dnia budzę się ze złamaną kostką. Na szczęście to nie jest świeża przypadłość, więc przy moim łóżku znajdują się kule. Moja stopa to jedyna część całego mnie, która wydaje się świeżo zagojona.

Sprawdzam pocztę – nie mogę się powstrzymać. Ani słowa od Rhiannon. Czuję się samotny, zupełnie opuszczony, a potem dociera do mnie, że przecież jest jeszcze jedna osoba na tym świecie, która mniej więcej orientuje się, kim jestem. Sprawdzam, czy ostatnio do mnie pisał.

Jak się okazuje – owszem. Mam dwadzieścia nieprzeczytanych wiadomości od Nathana, w każdej wykazuje się o wiele większą desperacją niż w poprzedniej.

Proszę tylko o wyjaśnienie. Potem zostawię Cię w spokoju, ale muszę wiedzieć.

Odpisuję mu:

Dobrze. To gdzie się spotkamy?



Ze względu na złamaną kostkę Kasey nie może prowadzić, a po szalonej jeździe, z której nic nie pamiętał, Nathan też nie może korzystać z samochodu. Dlatego rodzice muszą nas podwieźć. I chociaż nie zdradzam niczego moim rodzicom, z góry zakładają, że wybieram się na randkę. Szkopuł w tym, że Nathan spodziewa się gościa o imieniu Andrew, bo tak mu się ostatnio przedstawiłem. Skoro jednak mam mu wyjawić prawdę, ciało Kasey powinno mi w tym pomóc.

Spotykamy się w restauracji meksykańskiej niedaleko jego domu. Chciałem, żeby to było miejsce publiczne, ale jednocześnie by rodzice mogli nas tam podrzucić bez zbytniego zdziwienia. Widzę, jak wchodzi – jest ubrany niemal jak na randkę, i chociaż nie sprawia wrażenia muskularnego ciacha, to jednak postarał się wyglądać jak najlepiej. Unoszę kulę i macham nią w jego stronę. Wie, że mam złamaną kostkę, lecz nie ma pojęcia, że jestem dziewczyną. Podchodzi, wydaje się zupełnie dezorientowany.

– Nathan – mówię. – Usiądź.

– Jesteś... Andrew?

– Zaraz ci to wyjaśnię. Siadaj.

Zanim napięcie sięga zenitu, pojawia się kelner i zaczyna zarzucać nas propozycjami. Zamawiamy coś do picia. Zostajemy zmuszeni do rozmowy.

– Jesteś dziewczyną – mówi Nathan.

Mam ochotę się roześmiać. Jak widać myśl, że został opętany przez dziewczynę, przeraża go bardziej, niż gdyby chodziło o chłopaka. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Czasami – odpowiadam, co go jeszcze bardziej dezorientuje.

– Kim jesteś? – pyta.

– Powiem ci, obiecuję. Ale najpierw coś zamówmy.



Mówię, że mu ufam, choć to nieprawda – w ten sposób chcę wzbudzić jego zaufanie. Podejmuję ryzyko, ponieważ nie widzę innego sposobu na to, by odzyskał spokój.

– Tylko jedna osoba o tym wie – zaczynam, a potem opowiadam, kim jestem. Jak to działa. Jeszcze raz mówię mu, co się wydarzyło tamtego dnia, kiedy znalazłem się w jego ciele. I skąd wiem, że to się nie powtórzy.

Mam pewność, że – w przeciwieństwie do Rhiannon – on mi uwierzy. Moje wyjaśnienia są dla niego wiarygodne, wpasowują się idealnie w to, co przeżył. Ponieważ w jakiś sposób przygotowałem go, by to zapamiętał. Nie wiem, dlaczego, ale kiedy mój umysł i jego umysł spreparowały historię będącą przykrywką wydarzeń, zostawiły w niej lukę. Teraz właśnie ją wypełniam.

Gdy kończę, Nathan nie wie, co powiedzieć.

– Czyli... o ja... rozumiem, że... znaczy jutro już nie będziesz nią?

– Nie.

– A ona...?

– Coś będzie pamiętała z dzisiejszego dnia, prawdopodobnie to, że umówiła się z chłopakiem, ale nic z tego nie wyszło. Nie zapamięta, że to byłeś ty. Będzie miała bardzo mgliste wyobrażenie twojej osoby, wystarczające, żeby na pytanie rodziców o to, jak było, nie czuła zaskoczenia. Lecz nigdy się nie dowie, że jej tutaj nie było.

– Dlaczego więc ja wiedziałem?

– Być może zbyt szybko opuściłem twoje ciało. A może nie przygotowałem podłoża pod twoje wspomnienia. A może podświadomie chciałem, żebyś mnie znalazł. Nie wiem.

Podczas rozmowy kelner przyniósł nam jedzenie, ale niczego jeszcze nie tknęliśmy.

– To niewiarygodne – mówi Nathan.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć – przypominam mu. – Zaufałem ci.

– Wiem, wiem. – Kiwa głową z roztargnieniem i zaczyna jeść. – To zostanie między nami.

Pod koniec obiadu Nathan oznajmia, że rozmowa ze mną i poznanie prawdy bardzo mu pomogły. Pyta, czy możemy spotkać się następnego dnia, bo chciałby zobaczyć, że faktycznie zamienię się w kogoś innego. Odpowiadam, że niczego nie mogę obiecywać, ale się postaram.

Przyjeżdżają po nas rodzice. W drodze do domu mama Kasey pyta, jak było.

– Dobrze... chyba – odpowiadam.

To jedyne prawdziwe stwierdzenie, jakie wypowiadam podczas całej jazdy.

DZIEŃ 6028

Następnego dnia, w niedzielę, budzę jako Ainsley Mills. Nie toleruje glutenu, boi się pajaków i jest dumną posiadaczką trzech terierów szkockich, z których dwa spały z nią w łóżku.

W normalnych okolicznościach uznałbym, że zapowiada się zwyczajny dzień.

Nathan pisze do mnie maila, potwierdza, że chce się spotkać i pyta, czy – o ile mam samochód – mógłbym przyjechać do niego do domu. Rodzice wyjechali na cały dzień, więc nie ma jak się ruszyć.

Rhiannon się nie odzywa, wobec czego godzę się na propozycję Nathana.

Ainsley oznajmia rodzicom, że wybiera się z koleżankami na zakupy. Nie mają zastrzeżeń. Dają jej kluczyki do samochodu mamy i proszą, żeby nie wracała zbyt późno. O siedemnastej ma zająć się młodszą siostrą.

Jest dopiero jedenasta. Ainsley zapewnia ich, że niedługo wróci.



Nathan mieszka piętnaście minut drogi ode mnie. Nie zamierzam siedzieć u niego długo – udowodnię mu tylko, że jestem tą samą osobą, którą spotkał wczoraj. I to wszystko, nic więcej nie mam mu do zaoferowania. Reszta należy do niego.

Na mój widok wydaje się zaskoczony, przypuszczam, że nie do końca wierzył, że to prawda, a tu proszę. Jest chyba zdenerwowany. Przypisuję to mojej wizycie w jego domu. Rozpoznaję budynek, ale już zaczął mi się zlewać ze wspomnieniami innych domów, w których mieszkałem. Gdybym stanął w przedpokoju, a wszystkie drzwi byłyby pozamykane, nie byłbym w stanie powiedzieć, które prowadzą do jakiego pokoju.

Wprowadza mnie do salonu – a więc do pomieszczenia, do którego zaprasza się zwykle gości. Chociaż byłem nim przez jeden dzień, nadal jestem tylko gościem.

– A więc to naprawdę ty – mówi. – W innym ciele.

Kiwam głową i siadam na sofie.

– Napijesz się czegoś? – proponuje.

Proszę o wodę. Nie mówię mu, że zamierzam zaraz wyjść, więc woda i tak okaże się pewnie zbyteczna.

Idzie do kuchni, a ja przyglądam się portretom rodzinnym. Na każdym z nich Nathan wygląda tak, jakby pozowanie nie sprawiało mu przyjemności – tak samo jak jego ojcu. Tylko matka promienieje radością.

Słyszę, że Nathan wchodzi do pokoju, ale nie podnoszę głowy. Tym większe moje zaskoczenie, gdy słyszę zupełnie obcy głos:

– Ogromnie się cieszę, że mam okazję cię poznać.

To siwowłosa mężczyzna w popielatym garniturze. Ma krawat, ale poluzowany przy szyi, to dla niego nieoficjalne spotkanie. Wstaję, jednak przy drobnym ciele Ainsley nie jestem w stanie spojrzeć mu prosto w oczy.

– Ależ proszę – mówi ksiądz Poole. – Siadaj. Nie musisz wstawać.

Zamyka za sobą drzwi, a potem siada w fotelu. Mężczyzna jest chyba dwukrotnie większy od Ainsley; gdyby chciał, z łatwością mógłby mnie zatrzymać. Pytanie, czy naprawdę tego chce. Już sam fakt, że intuicja każe mi się nad tym zastanawiać, to znak, że być może mam powód do niepokoju.

Postanawiam grać twardziela.

– Jest niedziela – mówię. – Nie powinien pan być w kościele?

Uśmiecha się.

– Mam tu ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Wyobrażam sobie, że tak to właśnie musiało wyglądać, kiedy Czerwony Kapturek po raz pierwszy spotkał wilka. Zapewne czuł jednocześnie przerażenie i zaintrygowanie.

– Czego pan chce?

Mężczyzna zakłada nogę na nogę.

– Cóż. Nathan opowiedział mi fascynującą historię i zastanawiam się, czy jest

prawdziwa.

Nie mam po co zaprzeczać.

– Nathan miał nikomu nie mówić! – odzywam się głośno, z nadzieją, że mnie usłyszy.

– Podczas gdy ty przez ostatni miesiąc zostawiłeś Nathana w niepewności, ja próbowałem udzielić mu informacji. To naturalne, że postanowił mi się zwierzyć po usłyszeniu takich rewelacji.

Poole ma swoje podejście do sprawy, to pewne. Tyle że ja jeszcze nie wiem, na czym ono polega.

– Nie jestem diabłem – mówię. – Nie jestem demonem. Ani nikim innym, kogo chciałby pan we mnie widzieć. Jestem zwykłym człowiekiem, który na jeden dzień pożycza sobie życie innych ludzi.

– Nie widzisz, że to dzieło szatana?

Kiwam przecząco głową.

– Nie. Żaden szatan nie zamieszkał w Nathanie, nie ma też diabła w ciele tej dziewczyny. Jestem tylko ja.

– I tu się mylisz. Owszem, to ty znajdujesz się w tych wszystkich ciałach. Ale co znajduje się w tobie, drogi przyjacielu? Jak myślisz, dlaczego jesteś taki, a nie inny? Nie uważasz, że to może być robota diabła?

– Nie jestem dziełem szatana – odpowiadam ze spokojem.

Poole wybucha śmiechem.

– Wyluzuj, Andrew. Wyluzuj. Stoimy po tej samej stronie.

– To dobrze. – Wstaję. – W takim razie proszę mnie wypuścić.

Robię krok w stronę drzwi, ale –jak się spodziewałem – blokuje mi przejście. Popycha Ainsley z powrotem na sofę.

– Nie tak szybko – mówi. – Jeszcze nie skończyłem.

– Właśnie widzę, że stoimy po tej samej stronie.

Uśmiech znika z jego twarzy. Przez ułamek sekundy dostrzegam coś w jego wzroku. Nie jestem pewien, co to takiego, ale aż mnie paraliżuje.

– Znam cię o wiele lepiej niż podejrzewasz – mówi Poole. – Uważasz, że to przypadek? Masz mnie za jakiegoś religijnego narwańca, który chce wypędzić z ciebie demony? Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego gromadzę informacje o takich przypadkach jak twój? Podpowiem ci: ze względu na ciebie. Oraz innych podobnych do ciebie.

Próbuje złapać mnie na przynętę. Na pewno, bo cóż innego?

– Nie ma nikogo innego podobnego do mnie – oświadczam.

– Oczywiście, że są, Andrew. To, że jesteś inny, nie znaczy jeszcze, że wyjątkowy.

Nie wiem, o czym on mówi i nawet nie chcę wiedzieć.

– Popatrz na mnie – rozkazuje.

Patrzę. Spoglądam w jego oczy i już wiem. Wiem, co miał na myśli.

– Zdumiewające, że jeszcze nie nauczyłeś się zostawać w każdym ciele dłużej niż jeden dzień. Nie masz pojęcia, jaką siłą dysponujesz.

Odsuwam się od niego.

– Nie jest pan księdzem Poolem – mówię. Nie jestem w stanie pozbyć się drżenia głosu Ainsley.

– Dzisiaj nim jestem. Byłem nim wczoraj. A jutro – kto wie? Dopiero ocenię, co będzie dla mnie najlepsze. Nie zamierzałem przepuścić okazji, jaką jest to spotkanie.

Pokazuje mi okno, ale chwilowo nie podoba mi się to, co za nim widzę.

– Istnieją lepsze sposoby na życie – kontynuuję. – Mogę ci je pokazać.

Owszem, w jego oczach kryje się pewne zrozumienie, lecz także groźba. Oraz coś jeszcze – błagalna prośba. Zupełnie jakby ksiądz Poole też gdzieś tam był w środku i próbował mnie ostrzec.

– Puszczaj mnie – mówię i wstaję.

Wydaje się rozbawiony.

– Przecież cię nie dotykam. Siedzę tylko i z tobą rozmawiam.

– Puszczaj mnie! – mówię głośniej i zaczynam rozrywać na sobie bluzkę, aż odpadają guziki.

– Co ty...

– PUSZCZAJ! – wrzeszczę, a w moim krzyku kryje się szloch. Miałem nadzieję, że Nathan mnie usłyszy, i rzeczywiście, z pewnością nasłuchiwał przy drzwiach, bo te otwierają się z hukiem i stają w progu. W samą porę, żeby zobaczyć jak płaczę i krzyczę, żeby zauważyć moją rozdartą bluzkę. Poole podniósł się z miejsca, w oczach ma żądzę mordy.

Stawiam wszystko na jedną kartę, liczę na zwykłą ludzką uczciwość i przyzwoitość, jaką widziałem w Nathanie, kiedy zamieszkiwałem jego ciało. I chociaż wydaje się przerażony, przyzwoitość bierze górę nad strachem, bo nie ucieka, nie zamyka drzwi, ani nie słucha, co Poole ma do powiedzenia, tylko krzyczy:

– Co ty robisz?

A potem przytrzymuje drzwi, żebym mógł uciec i zastawia drogę księdzu – czy komukolwiek, kto tkwi w jego ciele, a ja pędzę na dwór, do samochodu. Nathan zbiera w sobie całą siłę, na jaką jest w stanie się zdobyć, dzięki czemu kupuje mi czas. Zanim Poole wypadnie na trawnik, ja już włożyłem kluczyk do stacyjki.

– Nie masz po co uciekać! – wrzeszczy za mną. – I tak będziesz później chciał mnie odnaleźć! Jak wszyscy tacy jak ty!

Drżącymi palcami włączam radio, zagłuszam go piosenką i dźwiękiem silnika.



Nie chcę wierzyć w to, co mówi. Chcę sądzić, że jest aktorem, szarlatanem, oszustem.

Ale kiedy patrzyłem na niego uważnie, widziałem, że jest w nim ktoś inny. Rozpoznałem go w taki sposób, w jaki Rhiannon rozpoznaje mnie – tylko że ja ujrzałem niebezpieczeństwo.

Ujrzałem kogoś, kto kieruje się zupełnie innymi zasadami.



Ledwo odjeżdżam, a już zaczynam żałować, że nie zostałem odrobinę dłużej, nie porozmawiałem z nim jeszcze chwilę. Mam więcej pytań niż kiedykolwiek wcześniej, a on być może mógłby mi na nie odpowiedzieć.

Jednak gdybym został jeszcze parę minut, nie wiem, czy zdołałbym stamtąd wyjść. Poza tym skazałbym Ainsley na taką samą wewnętrzną szamotaninę, jakiej doświadcza Nathan, o ile nie gorszą. Nie wiem, co Poole by z nią zrobił – co my byśmy z nią zrobili, gdybym został.

Być może kłamał. Muszę pamiętać, że mógł kłamać.



Nie jestem jedyny.

Nie jestem w stanie ogarnąć tego rozumem – tego, że mogą być inni tacy jak ja. Być może chodzili ze mną do szkoły, przebywali w tym samym pomieszczeniu, nawet należeli do tej samej rodziny. Ponieważ jednak nikt z nas nie zdradza sekretu, nie można się o tym przekonać.

Pamiętam tego chłopaka z Montany, którego historia tak bardzo przypominała moją. Czy była prawdziwa? Czy to tylko pułapka, którą zastawił Poole?

Nie jestem jedyny.

To może wszystko zmienić.

Albo nic.

Gdy dojeżdżam do domu Ainsley, zdaję sobie sprawę, że wszystko zależy ode mnie.

DZIEŃ 6029

Następnego dnia Darryl Drake jest bardzo rozkojarzony.

Prowadzę go przez lekcje i mówię to, co trzeba, gdy pojawia się taka konieczność, ale jego koledzy ciągle powtarzają, żeby wreszcie zszedł na ziemię. Na zajęciach lekkoatletycznych trener kilkakrotnie zwraca mu uwagę, że jest niewystarczająco skupiony.

– Co cię dręczy? – pyta Sasha, jego dziewczyna, kiedy odwozi ją do domu.

– Dzisiaj nie jestem sobą – odpowiada. – Ale jutro wszystko będzie w porządku.



Popołudnie i wieczór spędzam przy komputerze. Rodzice Darryla są w pracy, jego brat na uczelni, więc mam cały dom dla siebie.

Moja historia zajmuje najważniejsze miejsce na stronie Poole'a – ubarwiona wersja tego, co opowiedziałem Nathanowi, z błędami wynikającymi albo z jego chęci ukrycia pewnych informacji, albo ze złośliwości Poole'a.

Przeglądam internet, żeby dowiedzieć się czegoś o tym księdzu – nie znajduję zbyt wiele danych. Wygląda na to, że póki Nathan nie pojawił się ze swoją opowieścią, Poole nie wypowiadał się głośno na temat opętania przez diabła. Oglądam zdjęcia sprzed i z teraz, staram się znaleźć jakieś różnice. Wszędzie wygląda tak samo, a płaski obraz nieuchronnie rozmywa głębię jego spojrzenia.

Czytam wszystkie relacje, które zamieścił na swojej stronie, próbuję odnaleźć w nich siebie albo ludzi takich jak ja. Widzę dwie osoby z Montany oraz kilka innych opowieści, które mogą być prawdziwe – o ile rewelacja Poole'a, że ograniczenie do jednego dnia to kwestia braku doświadczenia i można je jakoś obejść, jest prawdą.

Oczywiście, że tego pragnę. Chcę zostać w jednym ciele. Wieść jedno życie.

Z drugiej jednak strony wcale tego nie chcę. Nie potrafię przestać myśleć o tym, co stałoby się z osobą, której ciało bym zajął. Czy ot tak, po prostu, przestałaby istnieć? A może wtedy wyklęta dusza musiałaby przechodzić z ciała na ciało – może nasze role by się odwróciły? To chyba najsmutniejsza rzecz z możliwych: człowiek prowadzi normalne życie i nagle nie jest w stanie zostać dłużej niż jeden dzień w jednym ciele. Dla mnie to oczywistość, nie znałem niczego innego. Jednak normalny człowiek załamałby się, gdyby musiał nagle porzucić wszystko i wieść taką tułaczą egzystencję.

Gdyby w grę nie wchodził nikt inny, wybór byłby prosty. Ale czy to nie jest powszechny dylemat? Zawsze w grę wchodzi inna osoba.



Dostaję wiadomość od Nathana. Przeprasza gorąco za to, co się stało. Uważał, że Poole będzie w stanie mi pomóc, lecz teraz nie jest już niczego pewien.

Odpisuję mu, że to nie jego wina. Radzę, żeby zerwał kontakty z księdzem i spróbował wrócić do dawnego życia.

Piszę także, że to mój ostatni mail do niego. Nie wyjaśniam, że już mu nie ufam. Sam powinien to zrozumieć.

A potem przesyłam naszą korespondencję na mój nowy adres mailowy i zamykam stare konto. Tym samym zamykam kilka lat życia. Zniknęła jedyna ścieżka łącząca mnie z niedawną przeszłością. To głupie, że żal mi adresu mailowego, ale tak właśnie czuję. Żyję w wiecznym tu i teraz, więc kiedy odchodzi jeden z nielicznych elementów mojej

przeszłości, pozwalam sobie na cień żałoby.



Późnym wieczorem przychodzi wiadomość od Rhiannon.

Co słyszeć?

R

Tylko tyle.

Chciałbym opowiedzieć jej o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Chciałbym wyłożyć przed nią minione dwa dni, zobaczyć, jak zareaguje, przekonać się, czy zrozumie, ile dla mnie znaczą. Potrzebuję jej pomocy. Rady. Wsparcia.

Ale wiem, że ona wcale tego nie chce. Nie zamierzam zarzucać jej swoimi problemami. I dlatego piszę:

To były ciężkie dni. Być może nie jestem jedyną taką osobą na świecie. Trudno mi to ogarnąć.

A

Zostało jeszcze kilka godzin do północy, ale ona żadnej z nich nie wykorzystuje, by do mnie znów napisać.

DZIEŃ 6030

Otwieram oczy – leżę w czyichś objęciach. W mieście bardzo odległym od miejscowości Rhiannon.

Staram się nie obudzić dziewczyny, która mnie obejmuje. Oczy ma zakryte złotymi włosami, jej serce uderza prosto w moje plecy. Ma na imię Amelia i wczoraj wieczorem zakradła się przez okno do mojego pokoju, żeby spędzić ze mną noc.

Ciało, w którym się znajduję, ma na imię Zara – to imię sama sobie wybrała. Urodziła się jako Clementine i uwielbiała to imię aż do dziesiątych urodzin. Potem zaczęła eksperymentować i ostatecznie stanęło na Zarze. „Z” to od zawsze jej ulubiona litera. Jej szczęśliwa liczba to dwadzieścia sześć.

Amelia porusza się.

– Która godzina? – pyta zaspana.

– Siódma – mówię.

Nie wstaje, tylko się we mnie wtula.

– Bądź tak dobra i sprawdź, co robi twoja mama. Wolałabym nie wracać tą samą drogą, którą przyszłam. Rano moja koordynacja ruchowa jest znacznie gorsza niż wieczorem, a poza tym zwykle wykazuję się większą inspiracją, kiedy podchodzę do zadania po raz pierwszy.

– Jasne – odpowiadam, a ona całuje mnie w nagie ramię.

Czułość między dwojgiem ludzi przenosi się niekiedy na powietrze, cały pokój, obejmuje nawet czas. Wstaję, zakładam obszerną koszulkę i czuję, że wszystko dookoła emanuje szczęściem. To, co czułem poprzedniego wieczora, wcale się nie rozplynęło, lecz stworzyło bezpieczny kokon, w którym się teraz znajduję.

Podchodzę na palcach do sypialni mamy i nasłuchuję pod drzwiami. Słyszę tylko jej oddech, jesteśmy więc bezpieczne. Gdy wracam do pokoju, Amelia jest nadal w łóżku, ale bez przykrycia – tylko ona, jej koszulka i majtki. Mam przeczucie, że Zara nie przepuściłaby takiej okazji i położyłaby się obok, jednak nie mogę tego zrobić zamiast niej.

– Śpi – zdaję raport.

– Tak mocno, że nie usłyszysz prysznic?

– Tak mi się wydaje.

– Pierwsza, druga czy razem?

– Ty idź najpierw.

Wstaje i zatrzymuje się jeszcze, żeby mnie pocałować. Wsuwa rękę pod moją koszulkę, a ja wcale się nie opieram. Poddaję się chwili, całuję ją odrobinę dłużej.

– Jesteś pewna? – pyta.

– Idź pierwsza – mówię.

Ledwie wyszła z pokoju, a już za nią tęsknię – tak samo jak czułaby to Zara.



Chciałabym, żeby na jej miejscu znalazła się Rhiannon.



Amelia wymyka się z mojego domu, kiedy się kąpię. Dwadzieścia minut później wraca, żeby mnie zabrać do szkoły. Mama już nie śpi, stoi w kuchni przy oknie, na widok Amelii zmierzającej ścieżką w stronę drzwi uśmiecha się.

Ciekawe, ile się domyśla.



Większość czasu w szkole spędzamy razem, ale nie tak, żeby ograniczało to nasze kontakty z innymi ludźmi. Włączamy naszych przyjaciół w to, co nas łączy. Istniejemy jako dwie odrębne istoty, lecz także jako para, jako element tria, kwartetu i tak dalej. Wszystkie te kombinacje są zupełnie naturalne.

Nie mogę przestać myśleć o Rhiannon. Przypominam sobie, jak powiedziała, że jej koleżanki nigdy mnie nie poznają. Że nikt nie będzie wiedział o moim istnieniu. W naszym wypadku będzie tylko nas dwoje i nic więcej – zawsze tylko tak.

Zaczyna do mnie docierać, co to oznacza i jakie to byłoby smutne.

Odczuwam część tego smutku już na samą myśl o takim scenariuszu wydarzeń.

Na siódmej lekcji Amelia ma okienko, a ja WF. Kiedy spotykamy się na przerwie, pokazuje mi książki, które dla mnie wypożyczyła, uznając, że powinny mi się spodobać.

Czy kiedykolwiek poznam tak dobrze Rhiannon?



Po szkole Amelia ma trening koszykówki. Zwykle zostaję z nią i odrabiam lekcje, ale to wszystko wzbudziło taką tęsknotę za Rhiannon, że muszę coś z tym zrobić. Pytam, czy mogę pożyczyć od niej samochód, bo mam parę rzeczy do załatwienia.

Podaje mi kluczyki, nie zadaje żadnych pytań.



Dwadzieścia minut później jestem pod szkołą Rhiannon. Parkuję w moim zwykłym miejscu, większość aut wyjeżdża w przeciwnym kierunku. A potem siadam i patrzę na drzwi, z nadzieją, że jeszcze nie wyszła.

Nie zamierzam z nią rozmawiać. Nie chcę zaczynać wszystkiego od nowa. Chciałbym tylko ją zobaczyć.

Pojawia się pięć minut po moim przyjeździe. Rozmawia z Rebekką i dwiema innymi koleżankami. Nie wiem, o czym mówią, ale wszystkie są zaangażowane w rozmowę.

Z tej odległości nie wygląda jak osoba, która niedawno coś straciła. Jej życie wydaje się pełne. W pewnej chwili – w ułamku sekundy – podnosi głowę i rozgląda się. Wierzę, że szuka mnie. Jednakże nie wiem, co dzieje się dalej, bo odwracam wzrok i wpatruję się w jakiś punkt. Nie chcę, żeby podchwyciła moje spojrzenie.

Dla niej to życie „po”, a w takim razie dla mnie to też musi być życie „po”.



W drodze powrotnej zatrzymuję się w Targecie. Zara doskonale wie, co Amelia lubi najbardziej, głównie są to rozmaite batoniki i drobne smakołyki. Kupuję całą siatkę i układam na desce rozdzielczej, tworząc w ten sposób jej imię. Jestem pewien, że Zara by to pochwaliła.



Nie jestem wobec siebie szczery. Chciałem, żeby Rhiannon mnie zobaczyła. Nawet gdy odwróciłem wzrok, chciałem, żeby podeszła i potraktowała mnie tak, jak Amelia potraktowałaby Zarę po trzydniowej rozłące.



Wiem, że tak nigdy nie będzie. Ta świadomość jest jak błysk światła, który utrudnia mi widzenie.



Amelia jest zachwycona niespodzianką na desce rozdzielczej i koniecznie chce zaprosić mnie na obiad. Dzwonię do domu, mama nie ma nic przeciwko temu.

Wyczuwam, że Amelia zdaje sobie sprawę, iż jestem częściowo nieobecny duchem, ale pozwala mi na to, skoro właśnie tego mi trzeba. Wypełnia ciszę opowieściami o tym, jak minął jej dzień. Niektóre historie są prawdziwe, inne całkowicie zmyślane. Każe mi zgadywać, które są które.

Jesteśmy ze sobą dopiero od siedmiu miesięcy, ale ze względu na ilość wspomnień, jakie zgromadziła Zara, wydaje się, że to bardzo długo.

Właśnie czegoś takiego pragnę.

A potem nie mogę się powstrzymać i dodaję w myślach: I właśnie tego nie mogę mieć.

– Mogę cię o coś zapytać? – zwracam się do Amelii.

– Pewnie. O co?

– Gdybym codziennie budziła się w innym ciele, gdybyś nigdy nie miała pojęcia, jak będę wyglądała następnego dnia, nadal byś mnie kochała?

Moje pytanie nie wytrąca jej z równowagi, chyba nawet nie widzi w nim nic dziwnego.

– Nawet gdybyś była zielona, miała brodę i penisa między nogami. Nawet gdybyś miała pomarańczowe brwi i wielki pieprzyk na całym policzku i długi nos, który wsadzałabyś mi w oko przy każdym pocałunku. Nawet gdybyś ważyła trzysta pięćdziesiąt kilo, a pod pachami miała kępę włosów wielkości dobermana. Nawet wtedy bym cię kochała.

– Ja ciebie też – mówię.

Łatwo powiedzieć, skoro tak nigdy nie będzie.



Zanim się pożegnamy, całuje mnie, wkładając w pocałunek wszystko, co ma.

A ja odwzajemniam się, wkładając w pocałunek wszystko to, czego pragnę.

To przyjemna nuta kończąca dzień, myślę.

I zupełnie jak nuta, ledwo rozbrzmi w powietrzu, a już zaczyna się rozplýwać.



Kiedy wchodzę do domu, mama Zary mówi do mnie:

– Wiesz, powinnaś kiedyś zaprosić Amelię.

Kiwam głową, a potem biegnę do mojego pokoju, bo to dla mnie za wiele. Tyle szczęścia wywołuje mój smutek. Zamykam drzwi i zaczynam płakać. Rhiannon ma rację. Nigdy nie będzie nam to dane.

Nawet nie sprawdzam poczty. Cokolwiek tam jest, wolę nie wiedzieć.



Amelia dzwoni, żeby powiedzieć dobranoc. Nie odbieram, najpierw muszę się opanować, przypominać Zarę najlepiej, jak potrafię.

– Przepraszam – mówię, oddzwaniając. – Rozmawiałam z mamą. Powiedziała, że powinnaś częściej wpadać.

– Miała na myśli drzwi czy okno?

– Drzwi.

– Wygląda na to, że na ramieniu usiadł nam mały ptaszek o imieniu „Postęp”.

Ziewam i zaraz przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać, śpiochu. Bylebyś śniła o mnie.
 - Tak będzie.
 - Kocham cię – mówi.
 - Kocham cię – odpowiadam.
- Rozłączamy się, bo po czymś takim nic już nie trzeba dodawać.



Chcę oddać Zarze jej życie. Bo chociaż czuję, że ja też zasługuję na coś podobnego, to jednak nie zamierzam korzystać z tego jej kosztem.

Postanawiam, że zapamięta wszystko. Lecz nie mój smutek, tylko szczęście, które go wywołało.

DZIEŃ 6031

Budzę się rozgorączkowany, niespokojny.

Mama July przychodzi, żeby mi się przyjrzeć. Stwierdza, że poprzedniego wieczoru wszystko było ze mną w porządku.

Czy to choroba, czy złamane serce?

Nie mam pojęcia.

Termometr mówi, że nic mi nie jest, ale najwyraźniej się myli.

DZIEŃ 6032

Mail od Rhiannon. Wreszcie.

Chciałabym się z Tobą zobaczyć, chociaż nie jestem pewna, czy powinniśmy się spotykać. Chciałabym dowiedzieć się, co u Ciebie, chociaż boję się, że wszystko zacznie się od nowa. Kocham Cię, ale boję się, żeby ta miłość nie stała się zbyt ważna. Bo Ty zawsze będziesz ode mnie odchodził, A. Nie ma co zaprzeczać, tak właśnie będzie.

R

Nie mam pojęcia, jak na to zareagować. Postanawiam więc zatracić się w życiu Howiego Middletona. Podczas obiadu jego dziewczyna wszczyna kłótnię, ponieważ uważa, że on spędza z nią za mało czasu. Howie nie ma zbyt wiele do powiedzenia na ten temat. Milczy przez cały czas, co ją jeszcze tylko bardziej rozwściecza.

Muszę odejść, myślę. Są tu rzeczy, których nigdy nie będę miał, rzeczy, których nigdy nie znajdę. A być może powinienem znaleźć.

DZIEŃ 6033

Następnego dnia budzę się jako Aleksander Lin. Jego budzik rozbrzmiewa piosenką, którą bardzo lubię. Od razu łatwiej mi wstać.

Podoba mi się także jego pokój. Mnóstwo książek na półkach, niektóre grzbiety zniszczone od ciągłego czytania. W rogu stoją trzy gitary, w tym jedna elektryczna, wzmacniacz nadal jest podłączony. W innym rogu znajduje się limonkowa sofa. Od razu wiem, że to tutaj rozsiadają się zwykle jego koledzy, to ich dom poza domem. Wszędzie wiszą samoprzylepne karteczki z przypadkowymi cytatami. Na komputerze przykleił słowa George'a Bernarda Shawa: „Taniec to pionowe odzwierciedlenie poziomego pożądanego”. Niektóre zapisane są jego pismem, inne – pismem kolegów, jak te tytuły wierszy i piosenek: *I'm the walrus*^[5], *I'm nobody – who are you?*^[6], *Let all the dreamers wake the nation*^[7].

Jeszcze go nie poznałem, a już wywołał uśmiech na mojej twarzy.



Rodzice Aleksandra cieszą się na jego widok. Mam wrażenie, że zawsze tak go witają.

– Jesteś pewien, że dasz sobie radę przez weekend? – pyta mama. Otwiera lodówkę, można by pomyśleć, że zgromadziła tam zapasy na co najmniej miesiąc. – Powinno ci wystarczyć, ale gdybyś czegokolwiek potrzebował, pieniądze są w kopercie.

Mam poczucie, że czegoś brakuje, że coś powinienem zrobić. Wnikam do jego umysłu i odkrywam, że jutro jest rocznica ślubu rodziców i dlatego wybierają się w podróż. Aleksander coś dla nich przygotował.

– Momencik – mówię. Biegnę na górę i z szafy w jego pokoju wyciągam torebkę oklejoną karteczkami. Na każdej znajduje się coś, co jego rodzice powiedzieli do niego w ciągu tych wszystkich lat: od „A jak arbuz” po „Zawsze sprawdzaj lusterka i uważaj na martwe pole”. To tylko opakowanie. Kiedy schodzę na dół, państwo Lin otwierają prezent i znajdują dziesięć godzin muzyki na dziesięciogodzinną jazdę, a także ciasteczka, które upiekł dla nich syn.

Ojciec obejmuje go z wdzięcznością, za chwilę dołącza do nich mama.

Na chwilę zapominam, kim naprawdę jestem.



Szafka szkolna Aleksandra także pokryta jest karteczkami z cytatami, zapisanymi

rozmaitymi charakterami pisma. Podchodzi jego najlepszy przyjaciel, Mickey, i podaje połowę muffinki – dolną, bo Mickey zawsze zjada tylko górę.

Mickey zaczyna opowiadać mi o Gregu, chłopaku, w którym podkochuje się od wieków – co oznacza przynajmniej trzy tygodnie. Odczuwam perwersyjne pragnienie, żeby opowiedzieć mu o Rhiannon, która znajduje się tak daleko stąd. Wnikam do umysłu Aleksandra i przekonuję się, że obecnie w nikim nie jest zakochany, ale jeśli już, byłaby to dziewczyna. Mickey nie zadaje zbytecznych pytań. Wkrótce przyłączają się do nich pozostali koledzy, rozmowa schodzi na nadchodzący konkurs Battle of the Bands. Wychodzi na to, że Aleksander zagra w co najmniej trzech zespołach, w tym także w grupie Mickeya. To dla niego typowe, zawsze jest gotów dołączyć ze swoją muzyką.

Wraz z upływem dnia nie mogę pozbyć się wrażenia, że Aleksander jest osobą, którą ja próbuję być. Jego wyjątkowa osobowość to po części wynik umiejętności trwania, bycia dla ludzi dzień w dzień. Przyjaciele mogą na nim polegać, on natomiast może polegać na nich – na tej prostej równowadze opiera się życie tylu osób.

Postanawiam sprawdzić, czy to prawda. Na matematyce wyłączam się zupełnie i zanurzam we wspomnieniach tego chłopaka. Wnikanie do jego umysłu to jak włączenie stu odbiorników telewizyjnych jednocześnie, bo tyle jego twarzy widzę od razu. Dobre wspomnienia, choć i trudne chwile.

Jego koleżanka, Cara, mówi mu, że jest w ciąży. To nie on jest ojcem dziecka, ale dziewczyna ufa mu bardziej niż swojemu chłopakowi. Jego tata nie chce, żeby spędzał tyle czasu, grając na gitarze, twierdzi, że muzyka to powołanie bez przyszłości. Wypija trzecią puszkę Red Bulla, gdy próbuje dokończyć wypracowanie o czwartej nad ranem po tym, jak siedział do pierwszej z przyjaciółmi. Wspina się po drabince do domu na drzewie. Oblewa egzamin na prawo jazdy i przetyka łyż, gdy informuje go o tym instruktor. Zamyka się w swoim pokoju, na okrągło gra ten sam kawałek na gitarze akustycznej, próbując go rozgryźć. Ginny Dulles zrywa z nim, mówiąc, że lubi go jako przyjaciela, ale prawda jest taka, że woli Brandona Rogersa. Sześciolatek Aleksander siedzi na huśtawce, unosi się coraz wyżej, aż w końcu jest pewien, że tym razem na pewno polecą wysoko. Wsuwa pieniądze do portfela Mickeya, gdy ten nie patrzy, żeby Mickey mógł później dołożyć się do rachunku w knajpie. Na Halloween przebiera się za Blaszanego Drwala. Jego mama poparzyła sobie rękę o piekarnik, a on nie wie, co ma robić. Pierwszego poranka po odebraniu prawa jazdy jedzie nad ocean, żeby obserwować wschód słońca. Jest jedyną osobą na plaży.

Przerzywam eksplorację jego wspomnień. Wracam do siebie. Więcej nie dam rady.



Nie potrafię oprzeć się pokusie, jaką przedstawił mi Poole. Czy gdybym mógł zostać w tym życiu, zdecydowałbym się na to? Za każdym razem, gdy zadaję sobie to pytanie, mój umysł wyrzuca mnie z umysłu Aleksandra. Mam pomysły, marzenia, a kiedy już się

we mnie załęgna, nie jestem w stanie ich powstrzymać.

A jeśli rzeczywiście istnieje sposób, by zostać?



Każda osoba to jakaś szansa. Najlepiej czują to beznadziejni romantycy, ale nawet dla innych jedynym sposobem na przetrwanie jest traktowanie ludzi jako możliwości. Im dłużej patrzę na odbicie Aleksandra w otaczającym go świecie, tym bardziej postrzegam go jako moją szansę. Szansę, która opiera się na tym, co dla mnie najważniejsze: na jego dobroci, kreatywności, zaangażowaniu. Zaangażowaniu w szansę, jakie stwarzają bliskie mu osoby.

Minęła już prawie połowa dnia. Zostało mi niewiele czasu, żeby rozgryźć, co mogę zrobić z szansą, jaką daje mi Aleksander.

Zegar zawsze tyka. Niekiedy go po prostu nie słyszysz, ale czasem dźwięk jest bardzo wyraźny.



Piszę maila do Nathana i proszę go o adres Poole'a. Szybko mi odpowiada. Wysyłam Poole'owi kilka prostych pytań.

Odpowiedź od niego także przychodzi od razu.



Piszę do Rhiannon i oznajmiam, że po południu do niej przyjadę.

Mówię, że to ważne.

Odpowiada, że będzie na mnie czekała.



Aleksander musi jeszcze poinformować Mickeya, że nie da rady przyjść po szkole na próbę.

– Gorąca randka? – żartuje Mickey.

Aleksander uśmiecha się przewrotnie i nic nie mówi.



Rhiannon czeka na mnie w księgarni. To nasze miejsce.

Poznaje mnie, gdy tylko wchodzę. Kiedy się zbliżam, śledzi mnie wzrokiem. Nie uśmiecha się, ale ja to robię. Tak się cieszę na jej widok.

– Hej – mówię.

– Hej – odpowiada.

Chce tu być, a jednocześnie uważa, że to kiepski pomysł. Jest wdzięczna, jednak czuje, że będzie tego żałować.

– Mam pomysł – oznajmiam.

– Jaki?

– Udawajmy, że spotykamy się po raz pierwszy. Że przyszedłeś tu po książkę, a ja na ciebie wpadłem. Nawiązaliśmy rozmowę. Spodobałaś mi się, a ja tobie. Teraz siadamy, żeby napić się kawy. To zupełnie naturalne. Nie wiesz, że codziennie zmieniam ciało, ja nie wiem o twoim byłym ani o niczym innym. Jesteśmy parą ludzi, którzy spotykają się po raz pierwszy.

– Ale po co?

– Żebyśmy nie musieli rozmawiać o niczym innym. Żebyśmy mogli być ze sobą. Cieszyć się z tego.

– Nie widzę sensu...

– Żadnej przeszłości, żadnej przyszłości. Tylko teraźniejszość. Daj nam szansę.

Wydaje się rozdarta. Opiera brodę na dłoni i spogląda na mnie. W końcu podejmuje decyzję.

– Miło mi cię poznać – mówi. Nie rozumie, o co w tym chodzi, ale spełnia moją prośbę. Uśmiecham się.

– Mnie również. Dokąd pójdziemy?

– Ty zdecyduj. Jakie jest twoje ulubione miejsce?

Wnikam do umysłu Aleksandra i mam gotową odpowiedź. Zupełnie, jakby podawał mi ją na tacy.

Uśmiecham się szerzej.

– Znam świetne miejsce – odpowiadam. – Najpierw jednak musimy zrobić zakupy.



Ponieważ spotykamy się po raz pierwszy, nie muszę jej mówić o Nathanie, Poole’u ani czymkolwiek, co się zdarzyło lub wkrótce się wydarzy. Przeszłość i przyszłość to skomplikowane twory, tylko teraźniejszość jest prosta. To wrażenie prostoty wzmagą poczucie, że jesteśmy tylko my dwoje.



Potrzebujemy tylko paru produktów, ale zabieramy wózek i przechodzimy przez każdą alejkę supermarketu. Mija chwila, a Rhiannon staje z przodu wózka, podczas gdy ja zajmuję miejsce z tyłu i pędzimy jak najszybciej się da.

Ustanawiamy zasadę: każdej sklepowej alejce musi towarzyszyć jakaś opowieść.

W dziale karm dla zwierząt poznaję więc dalsze losy Swizzle'a, złośliwego królika. W dziale warzywnym opowiadam jej, jak pojechałem na letni obóz i brałem udział w grze w natłuszczonego arbuza. Skończyło się na trzech szwach, bo arbuz wyslizgnął się wszystkim z rąk i uderzył mnie w oko – był to pierwszy przypadek brutalnego arbuza, z jakim szpital miał do czynienia. Przy półkach z płatkami prezentujemy swoje autobiografie w postaci płatków, którymi zajadaliśmy się przez lata. Staramy się określić przybliżony wiek, w którym płatki zabarwiające mleko na niebiesko przestały nam się wydawać świetne, a zaczęliśmy uważać je za obrzydliwe.

W końcu mamy wystarczająco produktów, żeby urządzić wegetariańską ucztę.

– Powinna zadzwonić do mamy i powiedzieć jej, że zjem u Rebekki – mówi Rhiannon, wyciągając komórkę.

– Powiedz jej, że zostaniesz na noc – proponuję.

Zamiera.

– Poważnie?

– Poważnie.

Mimo to nie dzwoni.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Zaufaj mi – mówię. – Wiem, co robię.

– Wiesz, co czuję.

– Wiem. Ale i tak chciałbym, żebyś mi zaufała. Nie skrzywdzę cię. Nigdy tego nie zrobię.

Rhiannon dzwoni do matki, mówi jej, że jest u Rebekki. Potem telefonuje do przyjaciółki i upewnia się, że ta będzie ją kryła. Rebecca chce wiedzieć, co jest grane, Rhiannon obiecuje, że później jej powie.

– Powiesz jej, że poznałaś chłopaka – oznajmiam, kiedy się rozłącza.

– Chłopaka, którego właśnie poznałam?

– Tak. Właśnie tak.



Wracamy do domu Aleksandra. W lodówce ledwie starcza miejsca, żeby schować to, co kupiliśmy.

– Po co szliśmy na zakupy? – pyta Rhiannon.

– Ponieważ rano nie zwróciłem uwagi, co tu jest, a chciałem, żebyśmy mieli wszystko, co nam będzie potrzebne.

– Potrafisz gotować?

– Niezupełnie. A ty?

– Niezupełnie.

– Dojdziemy do tego. Ale najpierw chciałbym ci coś pokazać.



Podoba jej się pokój Aleksandra tak samo jak mnie. Od razu to widzę. Czyta napisy na karteczkach, potem przesuwając palcem po grzbietach książek. Odwraca się i trudno ukryć bijący w oczy fakt: jesteśmy sami w pokoju, w którym stoi łóżko. Nie po to ją tu jednak ściągnąłem.

– Czas na kolację – mówię. Chwytam ją za rękę i idziemy razem do kuchni.



Gotując, wypełniamy powietrze muzyką. Poruszamy się unisono, poruszamy się w tandemie. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy, ale wypracowujemy nasz własny rytm, własny podział pracy. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tak właśnie mogłoby zawsze być – takie naturalne dzielenie wspólnej przestrzeni, pełne szczęścia milczenie osób, które dobrze się znają. Rodzice wyjechali, a moja dziewczyna przyszła, żeby mi pomóc z kolacją. I oto stoi tu, kroi warzywa, nieświadoma swojej sylwetki, nieświadoma swojej nieokiełznanej fryzury, nieświadoma nawet tego, że wpatruję się w nią z wielką miłością. Poza bańką mydlaną naszej kuchni rozlega się śpiew nocy. Widzę noc za oknem, widzę także odbicie Rhiannon na tle wieczornego nieba. Wszystko znajduje się na właściwym miejscu, a moje serce wierzy, że tak może zawsze być. Moje serce chce, by tak było, chociaż coś ciemnego, mrocznego zasłania mu widok.



Kiedy kończymy przygotowania, jest już po dziewiątej.

– Mam nakryć do stołu? – Rhiannon pokazuje ręką na salon.

– Nie. Przecież zabieram cię do mojego ulubionego miejsca, zapomniałaś?

Znajduję dwie tace, ustawiam na nich talerze. Udaje mi się nawet znaleźć kilkanaście świeczek. Prowadzę Rhiannon do ogrodu.

– Dokąd idziemy? – pyta.

– Popatrz w górę – mówię.

Początkowo nie widzi – jedyne światło pochodzi z kuchni, dociera do nas jak blada poświata z innej rzeczywistości. Dopiero gdy nasz wzrok przyzwyczaja się do ciemności, zauważa to, co jej pokazuję.

– Fajny – mówi i podchodzi do drzewa. Domek Aleksandra wisi nad naszymi głowami, drabina znajduje się w zasięgu naszych palców.

– Jest tam wciągarka do tac – mówię. – Wejdę pierwszy i ją zrzucę.

Zabieram dwie świece i wspinam się po drabinie. Wnętrze odpowiada dokładnie obrazowi, jaki ma w swoim umyśle Aleksander. To nie tylko domek na drzewie, ale

i miejsce prób, bo w narożniku stoi kolejna gitara, widzę też notesy pełne nut i słów. Chociaż można włączyć światło, wolę świece. Spuszczam na dół prowizoryczną windę i wciągam po kolei obie tace. Ledwie druga z nich ląduje bezpiecznie u góry, do domku wchodzi Rhiannon.

– Nieźle tu, co? – pytam, widząc jak się rozgląda.

– Taaa.

– To wszystko jego, rodzice tu nie zagląдают.

– Cudowne miejsce.

Nie ma stołu ani krzeseł, więc siadamy po turecku na podłodze naprzeciwko siebie i jemy w blasku rzucanym przez świece. Nie spieszymy się – pozwalamy sobie napawać się chwilą. Zapalam kolejne świece, cieszę się jej widokiem. Niepotrzebny nam tu księżyc ani słońce. Rhiannon jest piękna w swoim własnym świetle.

– Co? – pyta.

Pochylam się i całuję ją. Tylko raz.

– To – odpowiadam.



Ona jest moją pierwszą i jedyną miłością. Większość osób wie, że pierwsza miłość nie będzie jedyna. Dla mnie jednak nią jest. To moja ostatnia szansa, na więcej sobie nie pozwolę. To się już nigdy nie powtórzy.



Nie ma tu zegara, ale zdaję sobie sprawę z upływu minut i godzin. Nawet świece sprzysięgły się przeciwko mnie, bo wraz z upływem czasu stają się coraz krótsze. Tylko mi przypominają, przypominają, przypominają.



Chcę, żeby to było nasze pierwsze spotkanie. Pierwsza randka dwojga nastolatków. Chcę planować drugie spotkanie. I trzecie.

Ale są inne rzeczy, które muszę powiedzieć i zrobić.



Kończymy jeść, Rhiannon odsuwa tace. Przybliża się. Myślę, że chce mnie pocałować, tymczasem ona sięga do kieszeni i wyjmuję jeden z samoprzylepnych notesów Aleksandra. Rysuje serce, odrywa kartkę i przykleja mi do serca.

– Proszę – mówi.

Patrzę na kartkę, patrzę na nią.

– Muszę ci coś powiedzieć – odzywam się.

To znaczy, muszę jej wszystko powiedzieć.



Opowiadam jej o Nathanie i o Poole'u. Mówię, że być może nie jestem jedyny. Że być może istnieje sposób, by zostać w jednym ciele na dłużej. Albo wcale go nie opuszczać.

Świece wypalają się, zabrało mi to zbyt wiele czasu, kiedy kończę, dochodzi dwudziesta trzecia.

– A więc możesz zostać? – pyta Rhiannon. – Chcesz powiedzieć, że możesz zostać?

– Tak – odpowiadam. – I nie.



Gdy kończy się pierwsza miłość, większość osób wie, że pojawią się następne. To dla nich nie oznacza zupełnego końca miłości. Miłość jeszcze z nimi nie skończyła. Nigdy już nie będzie tak jak za pierwszym razem, ale będzie lepiej w różnych innych aspektach.

Ja nie mam takiego pocieszenia. Dlatego trzymam się jej tak desperacko.

Dlatego to dla mnie takie trudne.



– Być może istnieje sposób, żeby zostać – mówię. – Ale nie mogę tego zrobić. Nigdy nie będę mógł zostać.

Morderstwo. Gdyby przyszło co do czego, byłoby to morderstwo. Żadna miłość nie stanowi przeciwwagi dla czegoś takiego.

Rhiannon odsuwa się. Wstaje. Atakuje mnie.

– Nie możesz tak robić! – krzyczy. – Nie możesz wparowywać do mojego życia, zabierać mnie tutaj, dawać mi to wszystko, a potem twierdzić, że nic z tego nie będzie. To okrutne, A. Okrutne.

– Wiem. I dlatego to pierwsza randka. Pierwsze nasze spotkanie.

– Jak możesz tak mówić? Jak możesz wymazać to, co było?

Wstaję i podchodzę do niej. Obejmuję ją. Najpierw stawia opór, chce się wyrwać. Ostatecznie się poddaje.

– To dobry chłopak – mówię łamiącym się szeptem. Nie chcę tego robić, ale muszę. – Być może nawet świetny chłopak. Dzisiaj spotkaliście się po raz pierwszy. To była wasza pierwsza randka. On zapamięta księgarnię, to, jak ciebie zobaczył, jak poczuł, że go

do ciebie ciągnie. I nie tylko dlatego, że jesteś śliczna, ale także ze względu na siłę, którą w tobie dostrzegł. Widział, jak bardzo pragniesz być częścią tego świata. Zapamięta rozmowę z tobą, to, że była taka łatwa i zajmująca. Będzie pamiętał, że nie chciał jej skończyć, więc zapytał cię, czy masz ochotę wspólnie z nim coś zrobić. Zapamięta, że zapytałaś go o ulubione miejsce, a on od razu pomyślał o domku i zapragnął ci go pokazać. Supermarket, historie opowiadane między regałami, twoja reakcja na jego pokój – to wszystko zostanie, nie zmienię niczego. Jego puls to moje bicie serca. Takie samo. Wiem, że on cię zrozumie. Macie podobne dusze.

– A ty? – pyta Rhiannon. Jej też łamie się głos.

– Znajdziesz w nim to, co znajdujesz we mnie – mówię. – Tylko bez komplikacji.

– Nie mogę tak po prostu przenieść zainteresowania.

– Wiem, on będzie musiał udowodnić, że jest tego wart. Każdego dnia będzie to udowadniał. A jeśli tego nie zrobi, dasz sobie z nim spokój. Myślę jednak, że udowodni.

– Dlaczego to robisz?

– Ponieważ muszę odejść, Rhiannon. Tym razem naprawdę. Daleko. Są rzeczy, których chcę się dowiedzieć. Nie mogę ciągle mieszać ci w życiu. Potrzebujesz czegoś więcej.

– A więc to pożegnanie?

– Pożegnanie pewnych rzeczy, przywitanie innych.



Chcę, żeby zapamiętał, jak to jest trzymać ją w objęciach. Chcę, by pamiętał, jak to jest dzielić się z nią światem. Chcę, żeby w głębi duszy czuł, jak bardzo ją kocham. I żeby nauczył się kochać ją na swój sposób, który nie ma nic wspólnego ze mną.



Musiałem zapytać Poole'a, czy to rzeczywiście możliwe. I czy mógłby mnie tego nauczyć.

Obiecał, że to zrobi. Powiedział, że możemy pracować razem.

Nie było żadnego wahania, żadnego ostrzeżenia. Żadnej świadomości, że zniszczymy cudze życie.

Wtedy byłem już pewien, że muszę uciekać.



Obejmuje mnie. Obejmuje mnie tak mocno, jakby nie zamierzała nigdy mnie puścić.

– Kocham cię – mówię. – Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie.

– Zawsze to mówisz – odpowiada. – Ale wiesz, że ja też tak czuję. Ja też nigdy nie

kochałam nikogo tak jak ciebie.

– Ale pokochasz – mówię. – Jeszcze pokochasz.



Gdybyśmy mogli spojrzeć w sam środek wszechświata, zobaczylibyśmy chłód. I pustkę. W gruncie rzeczy wszechświat się nami nie interesuje. Tak samo jak i czas.

Dlatego my sami musimy się troszczyć o siebie nawzajem.



Mijają minuty. Zbliża się północ.

– Chciałbym zasnąć obok ciebie – szepczę.

To moje ostatnie życzenie.

Rhiannon kiwa głową, zgadza się.

Zostawiamy domek na drzewie, biegniemy szybko przez noc ku oświetlonemu budynkowi, ku muzyce, która nadal w nim rozbrzmiewa.

23:13.

23:14.

Wchodzimy do pokoju Aleksandra i zdejmujemy buty.

23:15.

23:16.

Ona wchodzi do łóżka, ja gaszę światło i do niej dołączam.

Kładę się na plecach, a ona się we mnie wtula. Przypomina mi się plaża i ocean.

Mamy tyle do powiedzenia, ale nie ma sensu mówić czegokolwiek. Wszystko przecież wiemy.

Rhiannon wyciąga rękę do mojego policzka, odwraca mi głowę. Całuje mnie. Minuta za minutą, nasz pocałunek trwa.

– Chcę, żebyś go jutro pamiętał – mówi.

A potem znów oddychamy. Leżymy. Nadchodzi sen.

– Zapamiętam wszystko – mówię.

– Ja też – obiecuje.



Nigdy nie będę nosił w kieszeni jej zdjęcia. Nie będę miał listu napisanego jej charakterem pisma, albumu z pamiątkami naszych wspólnych chwil. Nigdy nie zamieszkamy razem w wielkim mieście. Nigdy nie będę wiedział, czy w tej samej chwili słuchamy tej samej piosenki. Nie dorośniemy razem, to nie do mnie będzie dzwonić, gdy

spotka ją coś złego. To nie do niej zadzwonię, gdy będę miał ciekawą historię do opowiedzenia. Nigdy nie zachowam niczego, co mi podarowała.

Przyglądam się, jak zasypia u mojego boku. Przyglądam się, jak oddycha. Jak przenika ją sen.

To wspomnienie.

To jedyne, co mi zostanie.

Na zawsze.



On też będzie to pamiętał. Będzie to czuł. Będzie wiedział, że to było idealne popołudnie, idealny wieczór.

Obudzi się obok niej i pomyśli, że jest szczęściarzem.



Czas płynie. Wszechświat się rozciąga. Odklejam karteczkę z sercem i przyklejam ją do jej ciała.

Zamykam oczy. Żegnam się z nią. Zasypiam.

DZIEŃ 6034

Budzę się w ciele dziewczyny o imieniu Katie. Katie jeszcze tego nie wie, ale dzisiaj znajdzie się daleko stąd. To będzie całkowita aberracja jej codziennej rutyny, absolutny zwrot w jej życiu. Jednak ona ma ten luksus, że wystarczy jej czasu, by wszystko wyprostować. Później ten dzisiejszy dzień będzie drobną, ledwie zauważalną anomalią.

Dla mnie jednak to całkowita zmiana nurtu. Dla mnie to początek terażniejszości, która ma zarówno przeszłość, jak i przyszłość.

Po raz pierwszy w życiu zaczynam uciekać.

Przypisy

- [1] Kate Bush, *Running Up That Hill*. W luźnym tłumaczeniu: „Gdybym tylko mogła, zawarłabym pakt z Bogiem...” [przyp. tłum.].
- [2] Powieść o tematyce obracającej się wokół seksualności nastolatków. Ze względu na swoją treść wielokrotnie budziła kontrowersje [przyp. tłum.].
- [3] Robert Ludlum, *Ultimatum Bourne'a*, przeł. Arkadiusz Nakoniecznik, Warszawa 1990 [przyp. tłum.].
- [4] *Chłopiec, który wołał o pomoc* – jedna z bajek Ezopa, ukazująca negatywne skutki kłamstwa [przyp. red.].
- [5] Tytuł piosenki The Beatles [przyp. tłum.].
- [6] Tytuł wiersza Emily Dickinson [przyp. tłum.].
- [7] Fragment tekstu piosenki Carly Simon [przyp. tłum.].

Każdego dnia

Każdego dnia szesnastoletni A budzi się
– bez uprzedzenia – w innym ciele i w innym miejscu.
Pogodził się ze swoim wyjątkowym losem, ustalił nawet
zasady, których stara się przestrzegać: Nie angażować się.
Nie rzucać się w oczy. Nie mieszać w cudzym życiu.
Aż do pewnego poranka, kiedy A budzi się w ciele Justina
i poznaje jego dziewczynę, Rhiannon. Od tej chwili
przestają obowiązywać wszelkie reguły, ponieważ
A wreszcie znalazł kogoś, z kim pragnie być
– każdego dnia, bez wyjątku.

Fascynująca opowieść ukazująca zawilości życia i uczuć.
To historia A i Rhiannon, którzy próbują odkryć,
czy można naprawdę kochać kogoś,
kto każdego dnia jest kimś innym...

